



LISTA SZEŚCIU

Wojciech
Kulawski



KRYMINAŁY
WARSZAWSKIE

LIND&CO

Wojciech
Kulawski

Nowy polski kryminał

**Lista
sześciu**

LIND&CO

ROZDZIAŁ 1

Dwójka policjantów weszła do japońskiej restauracji. W ciemnym lokalu ujrzeli zastępcę prokuratora regionalnego Pragi Południe Mariana Suskiego. Szara eminencja warszawskiego światka prawników, wiecznie zasępiony urzędnik o twarzy przebrzmiałej gwiazdy Hollywood roztaczał wokół siebie aurę człowieka szlachetnego i prawnego. Nigdy nie brał od klientów żadnych upominków, nawet kwiatów.

– Co mamy? – zapytał komisarz Rafał Trygar, przepitym nieobecny głosem.

Wchodząc do restauracji, zamierzał powiedzieć coś bardziej odkrywczego niż oklepany zwrot, którego używają pisarze kryminałów albo aktorzy seriali kryminalnych. Mógłby zaskoczyć wszystkich stwierdzeniem „czołem o ścianę, powiedzcie, co za szambo wybiło w tym miejscu”, albo „dzień dobry wszystkim, jakże miło was widzieć, powiedzcie azaliż, co się tu stało”. Zganił się w myślach za podobnie durne pomysły, bo pytanie „co mamy?”, faktycznie było niczym kryminalna mantra.

Suski odchrząknął, mierząc Rafała prokuratorским spojrzeniem.

– Ciężka noc?

– Żle ostatnio sypiam – wymamrotał komisarz, przecierając wierzchem dłoni po trzydniowym zaroście.

Suski przymknął oko.

– Czas na emeryturę?

– Co mamy? – powtórzył Trygar.

– Na piętrze w łóżku siedzi kloc VIP-a.

– Kloc? – zapytał Trygar, ale przypomniał sobie, że pracownicy zakładów pogrzebowych nazywają w ten sposób zwłoki o dużych gabarytach.

– Kto? – dodał.

- Prezes Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska.
- Eugeniusz Tadla? – zdziwił się Rafał.
- Ostrzegam, że nie wygląda tak dobrze, jak w telewizji – dodał Suski.

Restauracja Honsiu funkcjonowała na warszawskim Wawrze już od kilku lat. Stołeczna policja podejrzewała właściciela lokalu o czerpanie korzyści z nierządu zatrudnionych w nim Tajek i Wietnamek. Kobiety, stylizowane na gejsze, uprzyjemniały gościom czas, a jeśli klient wyrażał taką chęć, w zależności od upodobań mógł zakupić dodatkowe usługi. Często widywano w restauracji urzędników państwowych spotykających się z przedstawicielami świata biznesu, krążyły nawet plotki, że miejsce to kontroluje zorganizowana grupa przestępcza, choć nigdy nie udowodniono tego faktu właścicielowi lokalu, sześćdziesięcioletniemu Japończykowi Thien Phan.

– Jak zginął? – zapytał Trygar.

– Popruł się. – Wypowiedzi Suskiego zwykle były pełne prawniczej nowomowy trudno zrozumiałej dla zwykłych śmiertelników. Nie stronił również od niewybrednych docinków okraszonych czarnym humorem.

– Słucham? – Starszy aspirant Tymon Foltynski uniósł brwi. Ze względu na swój stosunkowo krótki staż w policji kryminalnej nie zdołał jeszcze przywyknąć do specyficznego poczucia humoru Mariana.

– Wypatroszył się, wybebeszył, wypruł sobie flaki. Mam wymieniać dalej? – zapytał prokurator.

– Nie, dziękuję. Zrozumiałem aż za dobrze – uciął Tymon.

– Minister Spraw Wewnętrznych dzwonił do mnie rano i oznajmił, że jest tą sprawą wielce zaniepokojony – kontynuował Suski.

– Martwi się o stołek – skomentował Trygar, na tyle jednak cicho, aby nikt go nie usłyszał.

W mrocznym wnętrzu restauracji za barem stał wysoki, postawny mężczyzna koło pięćdziesiątki, przypominający emerytowanego kulturystę. Polerując kieliszki, zachowywał się tak, jakby nocne zajście było zwykłym folklorem restauracji Honsiu, a morderstwa gości zdarzały się równie często, jak burdy wzniecane przez podchmielonych klientów. Po prawej stronie obok parkietu do tańczenia znajdowały się łoże dla VIP-ów. W centralnym miejscu

sali stała podwieszana do sufitu przezroczysta szklana półka z barierkami i metalowymi poręczami. Ciekawe rozwiązanie pozwalało nie tylko zaoszczędzić sporo miejsca w restauracji, ale dawało niecodzienną możliwość obserwowania występów skośnookich piękności pod bardzo atrakcyjnym kątem. Lustra zawieszane na suficie potęgowały efekt, sprawiając, że żaden szczególnie kobiecych atrybutów nie mógł umknąć uwadze rozentuzjasmowanej męskiej publiczności.

Czerwone meble i krzesła z bambusowymi wstawkami, zdobione abażury z motywami smoków, japońskie znaki i symbole ludowe tworzyły specyficzną dalekowschodni klimat. Na parapetach dumnie prezentowały się kilkunastocentymetrowe ręcznie malowane posągi gejsz, trzymających w rękach bibułkowe parasolki. Wystrój wnętrza świadczył o dobrym guście właściciela Honsiu.

– Chyba z rok nic ciekawego się tu nie działo – wymamrotał Trygar, wspominając ostatnią wizytę w lokalu. – Chodźmy na górę obejrzeć eksponat.

Weszli w wąski korytarz, w którym pracował technik śledczy zabezpieczający mikroślady i odciski palców. Ruszyli schodami w górę, przyglądając się kolekcjom obrazów z samurajami i zdjęć z filmów Ishiro Hondy, Juny Fakudy i Akiro Kurosawy. Nieco wyżej na półpiętrze wisiało kilka egzemplarzy broni białej, wśród których królowały miecze i sztylety. Wygląd drugiego piętra nie pozostawiał żadnych złudzeń, że oto wkracza się w świat cielesnych uciech. Wyłożone różową tapetą ściany z rysunkami kobiecych aktów oświetlane były okrągłymi kinkietami o czerwonych abażurach. Drzwi do siedmiu pokoi zdobiły japońskie napisy, znaczenia których mężczyźni mogli się jedynie domyślać.

– Panie lekkich obyczajów witały gości w tradycyjnych strojach gejsz – powiedział prokurator, zatrzymując się obok kolekcji rycin wiszących na ścianie.

– Gejsze nie były prostytutkami – zaoponował Tymon. – To mylne przekonanie przywiezione przez żołnierzy amerykańskich z Wietnamu, gdzie często obsługiwały ich kobiety pomalowane jak gejsze. prostytutki japońskie nazywały się Djoro.

Trygar mruknął pod nosem, karcąc młodszego kolegę wymownym spojrzeniem.

Drzwi do jednego z pokoiów były otwarte, we wnętrzu pracowała policyjna ekipa dochodzeniowo-śledcza. Z każdego zakamarka emanował blichtr i kicz; różowe rolety, barek z alkoholem i ogromne łóżko, które niejedno już widziało. Technik szukający śladów skinął głową w stronę prokuratora i policjantów, którzy ostrożnie weszli do wnętrza pomieszczenia. Lekarz medycyny sądowej pochylał się nad ciałem, wykonując wstępne oględziny zwłok. Pośrodku łóżka, zgięty w pół, niczym hindus modlący się nad brzegiem Gangesu, klęczał tęgi, nagi mężczyzna.

– Chodząca reklama ekologicznego stylu życia – rzucił Tymon, jednak żart rozbił się o ścianę milczenia.

Foltyński nie znosił unoszącego się w powietrzu charakterystycznego zapachu śmierci. Był to jeden z tych elementów, do których aspirant nie był w stanie się przyzwyczaić, choć wybijał mu właśnie piąty rok pracy w policji i pierwszy rok w kryminalnych. Czasami zastanawiał się, czy dobrze zrobił, rezygnując z posady dzielnicowego. Spisywałby teraz protokoły interwencyjne związane z przemocą w rodzinie, albo przesłuchiwał świadków osiedlowej burdy sprowokowanej przez osiłka, próbującego popisać się przed nową narzeczoną.

Foltyński nie mógł zapomnieć pierwszego trupa jakiego przyszło mu oglądać podczas służby prewencyjnej w trzecim miesiącu pracy w policji. Wezwano ich do samotnego mężczyzny, który powiesił się w stodole. Kolega, z którym Tymon był w parze, wykazał się przebiegłością i sporą zapobiegliwością, albo po prostu wiedział, co się święci, bo najszybciej jak tylko potrafił, udał się po posiłki, nakazując pilnować nieopierzonemu funkcjonariuszowi ciała przed wścibskimi oczyma wiejskiej gawiedzi.

– Zostań z breloczkiem – rzucił i odszedł.

Foltyński spędził z denatem najgorszą godzinę swojego życia. Odwracał się co chwilę, patrząc, czy trup się nie poruszy. Tygodniami potem śniły mu się wybałuszone oczy, ośliniona twarz, wystawiony język i blada cera pełna zielonych żył i przebarwień. I choć minęło od tamtego czasu pięć lat, aspirant

nadal czuł się nieswojo, kiedy przyszło mu przebywać w towarzystwie zmarłych. Czasami zastanawiał się, czy tylko on ma podobne problemy, bo obserwując Rafała Trygara można było dojść do wniosku, że komisarz czerpie egzaltowaną radość z obcowania z trupami. Zresztą Rafał przypominał czasami sztywnego, szczególnie na drugi dzień po ciężkiej nocy zakrapianej alkoholem. A problemy z procentami miało wielu policjantów, którzy odreagowywali stres związany z pracą. Bo jak powiedzieć głowie, że to, na co patrzą oczy, to tylko zdarzenie, które należy odnotować w policyjnych aktach. Podświadomość cały czas pracowała, zmieniając psychikę nieodwracalnie.

Na czerwonej pościeli kłęczał Eugeniusz Tadla. Opierał się głową o łóżko, obie ręce trzymając w okolicy brzucha. Włosy z łysiejącej głowy postanowiły przewędrować niżej, wypełniając większą część pleców zmarłego. Wnętrznosci wydostały się z jamy brzusznej. Zapach nieprzetrawionego jedzenia zmieszanego z ekskrementami wypełniały powietrze.

Foltyński wyciągnął z kieszeni bawełnianą chusteczkę i przyłożył ją do ust.

Trygar wręcz przeciwnie, jakby zachłystywał się trupim odorem, zmrużył oczy i przyglądał się ciału prezesa z zainteresowaniem.

– Co o tym sądziecie? – zagadnął.

– Samobójstwo? – bardziej stwierdził niż zapytał Foltyński, nie odrywając chusteczki od ust.

Suski nie odpowiedział, drapiąc się po rzadkich, siwych włosach.

– Kilka elementów mi nie pasuje – odpowiedział wreszcie. – Po pierwsze nie miał powodu, aby popełnić samobójstwo. Tadla sprawiał wrażenie człowieka szczęśliwego. Kilka miesięcy temu został awansowany przez premiera na prezesa Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska. Całkiem spore sumy na koncie w banku, rozwijająca się kariera polityczna, piękna młoda żona, dwójka dzieci.

– Co można na szybko powiedzieć o okolicznościach śmierci Tadli? – Trygar zwrócił się do lekarza medycyny sądowej pracującego przy zwłokach.

Ubrany w biały kitel szczupły mężczyzna z wąsikami wyprostował się, próbując pohamować grymas bólu malujący się na twarzy. Technicy, czy medycy sądowi zbierający dowody z miejsc zbrodni musieli pracować w kucki,

czy nawet leżeć, co sprawiało, że często cierpieli na choroby kręgosłupa. A miejscami takimi w polskich realiach były najczęściej zapyziałe meliny cuchnące moczem, gdzie podczas libacji alkoholowej jeden sąsiad zakatrupił drugiego, albo żona wbiła mężowi nóż kuchenny pod żebro, bo spojrzał lubieżnie na inną kobietę. Foltyński zapamiętał sobie narzekania jednego z pracowników technicznych zabezpieczających dom pod Pruszkowem, który po przyjeździe na miejsce zastanawiał się, gdzie położyć kurtkę, aby nie pobrudzić jej gęstymi substancjami organicznymi niewiadomego pochodzenia.

– Cięcie sztylitem wykonane zostało od lewej strony do prawej i ma jakieś dwadzieścia centymetrów – zaczął lekarz, przeciągając się niczym kot. – Jest na tyle głębokie, że spowodowało rozległe uszkodzenia narządów wewnętrznych, które wydostały się z jamy brzusznej.

– Czy możliwe, że ofiara wykonała tak duże cięcie samodzielnie? – zapytał Trygar.

– Przy odpowiednio mocnym cięciu mija kilka sekund zanim uszkodzenia organów wewnętrznych i krwotok sprawiają, że człowiek traci przytomność – ciągnął lekarz.

– Samurajowie nie mieli z tym problemów – dodał Trygar.

– Pierwsze cięcie wykonywane było zawsze poziomo, z lewej strony na prawą. O ile samuraj miał jeszcze siły, próbował wykonać cięcie pionowe – wtrącił się Foltyński, przecierając chusteczką spocone czoło. – Dodatkowo wasał, albo jakiś przyjaciel samobójcy ścinał mu mieczem głowę i to w taki sposób, aby ta pozostała przytwierdzona do ciała fragmentem skóry i nie potoczyła się po ziemi.

– A co by się stało, gdyby głowa się potoczyła? – zapytał zaintrygowany Trygar.

– Ucierpiałby na tym honor samobójcy. W praktyce rzadko udawało się tak precyzyjne cięcie. Czasami trzeba było poprawiać, wykonując drugie i trzecie. Sekundanci potrafiący dobrze władać mieczem byli bardzo cenieni wśród samurajów chcących popełnić samobójstwo. Pożyczali ich sobie czasami w ramach starej przyjaźni.

– Chciałbym pożyczyć wasalę, aby precyzyjnie obciął mi głowę. Dziękuję za taką przysługę – dowcipkował Trygar. – A po co samurajowie odbierali sobie życie?

– Aby się oczyścić. Po samobójczej śmierci automatycznie odpuszczano im wszystkie winy. Po śmierci byli czysti i bez grzechu.

Lekarz medycyny sądowej poprosił jednego z techników i Rafała Trygara, aby pomogli mu przewrócić ciało otyłego mężczyzny na plecy. Foltyński musiał się odwrócić, aby nie zwymiotować. Obślizgłe jelita wypadły z jamy brzusznej wraz z zawartością żołądka, lekarz podniósł wnętrzności i włożył je z powrotem do otłuszczonego brzucha denata.

Technik zabezpieczył nóż, który wypadł z rąk zmarłego.

– Coś wam to mówi? – zapytał prokurator, biorąc ostry przedmiot do ręki i unosząc go w górę.

– To Tanto, specjalny sztylet do harakiri, który... – zaczął Foltyński.

– Mamy coś jeszcze? – Trygar przerwał, zdruzony wywodami młodszego kolegi.

– Znaleźliśmy jeszcze to – rzucił Suski, wręczając Rafałowi zabezpieczoną kartkę, na której ktoś napisał długopisem krótki tekst.

Trygar przyglądał się chwilę kawałkowi papieru, jakby próbował wyczytać z niego jakieś ukryte informacje.

– Wiesz? – zapytał zaintrygowany.

– To wiesz śmierci – odpowiedział Foltyński, biorąc kartkę od komisarza. – Pisane były przez samurajów chcących dopełnić samobójstwo i były sposobem pożegnania się z życiem, ostatnią formą twórczości człowieka, przejawem sztuki i uduchowienia. W buddyzmie śmierć nie jest niczym złym, dlatego w wierszach śmierci zwykle opisywano ją jako piękną, ulotną i metaforyczną.

Rafał mruknął, odebrał kartkę od Tymona, po czym z niemałym wysiłkiem odczytał tekst na głos.

Sześciu samurajów

Raz na miesiąc wybrany jeden

Wysłany do prądziejów

Karą za Eden

– Zawsze byłem kiepski z interpretacji wierszy. Rozumiecie coś z tego ? – zapytał.

– Samurajowie byli bohaterami filmu Akiro Kurosawy – zaczął Tymon. – Ale było ich siedmiu, a nie sześciu.

– Raz na miesiąc wybrany jeden – zastanawiał się głośno Stefan. – Czyżby to zapowiedź kolejnych trupów?

– Motyw zemsty – stwierdził Tymon. – To również zaprzeczałoby samobójstwu.

– Poczekajmy na mikroślady, odciski palców, obdukcję i sekcję zwłok – stwierdził Suski. – Bez tego, to jak wróżenie ze zlewek po fusach.

– Zgodnie z procedurą prowadzimy śledztwo w kierunku domniemania morderstwa – stwierdził Foltyski.

Ponieważ Marian milczał, Tymon zadał pytanie:

– A co powiedzieli pracownicy z dołu, może któryś z klientów bzykający Azjatkę coś usłyszał?

– Tamtego dnia w restauracji Honsiu przewinęło się w sumie kilkadziesiąt osób, były też ważne osobistości, że się tak wyrażę, z establishmentu – cedił słowa Suski.

– Kto taki? – zaciekawiał się Trygar.

– Politycy, sportowcy a nawet kilku całkiem znanych aktorów teatralnych.

– A ile osób korzystało z usług prostytutek?

– Kilkanaście – powiedział prokurator, wstrzymując oddech, jakby przygotowywał się do tyrady oskarżeń, jaką miał w zwyczaju wygłaszać na sali sądowej. – Tadle po skorzystaniu z usług skośnookiej gejszy powiedział, że źle się czuje i chce zostać sam. Wynajął pokój aż do rana i poszedł spać. Dopiero o świcie właściciel lokalu podenerwowany faktem, że prezes nie wychodzi z pokoju, zapukał do niego. Wtedy też znalazł ciało.

– Ktoś spokojnie mógł wejść do restauracji, pobiec na górne piętro do pokoju, zabić Eugeniusza Tadle i bez większych problemów opuścić miejsce

zbrodni – zastanawiał się głośno Tymon.

– Całkiem prawdopodobne, dziewczyny pobierały opłaty bezpośrednio przed świadczeniem usług – dodał Suski.

– Świadczeniem usług? – uśmiechnął się Folyński. – Lepiej bym tego nie ujął. A jaka była procedura umawiania się z Azjatkami?

– A co, chciałbyś skorzystać? – zapytał Trygar.

Folyński nie odpowiedział, odwrócił się w stronę prokuratora i wyjął policzki, wyczekując odpowiedzi.

– Zainteresowany klient zgłaszał się u barmana, mówiąc, którą z dziewczyn wybiera – kontynuował Marian. – Jeśli nie miał specjalnych życzeń, dostawał po prostu kolejną wolną panienkę. Kelner sprawdzał kalendarz i mówił petentowi, kiedy ma się udać na górę. Nikt nie kontrolował, kto wchodzi na piętro, nikt nie przeszukiwał gości. Większość klientów to były te same osoby, dobrze znane obsłudze, w razie problemów kobiety miały specjalne urządzenia, którymi alarmowały ochronę.

– Żadnego monitoringu? – zapytał Trygar.

– Goście chcieli być anonimowi, prywatność przede wszystkim, szczególnie że dość często byli to znamienici prominenci – powiedział Suski.

Kilka kolejnych minut upłynęło policjantom na beznamietnym gapieniu się na pracę techników śledczych. Żaden z funkcjonariuszy nie chciał się odezwać pierwszy, wyczekując na wskazówki i dyspozycje prokuratora.

I doczekali się.

– Macie wolną rękę panowie. Prokuratura nadała tej sprawie najwyższy priorytet ze względu na starą przyjaźń Tadli z premierem. Naciski przychodzą z samej góry, a to nie wróży niczego dobrego. Już teraz zrobił się wokół morderstwa spory szum medialny. A obawiam się, że to dopiero początek – westchnął Suski.

– I jeszcze jedno – dodał po chwili. – Dostaniemy z wojewódzkiej aspiranta do pomocy. Zaangażujcie go w sprawę – wymamrotał, po czym w nie najlepszym nastroju opuścił pomieszczenie.

ROZDZIAŁ 2

Adam Zaręba siedział na przystanku, i z wyrazem bezradności w oczach, wpatrywał się w tablicę z rozkładem jazdy tramwajów. Widząc nadjeżdżającą dziewiątkę, ucieszył się niczym rozbitek na widok nadpływającego statku, wskoczył do środka, skasował bilet i usiadł przy szybie. Wyciągnął ze skórzanej teczki kartkę z adresem i mapką wydrukowaną z komputera i przyglądał jej się chwilę, zastanawiając, w którym miejscu powinien wysiąść.

To był ważny dzień. Jeden z tych, które w dłuższej perspektywie czasu mógł odmienić życie. Niczym rozwidlenie na polnej drodze, od którego zależy, czy trafisz na królewski zamek i będziesz opływał w dostatki, czy zajdziesz do pieczary wiedźmy, gdzie skończysz jako potrawka dla kota.

Punktualnie o godzinie dziesiątej w centrali SpecialBanku Adam miał się stawić na rozmowę o pracę. Po przejściu początkowych telefonicznych etapów rekrutacji, przyszedł czas na spotkanie w cztery oczy z przyszłym szefem. Adam poprawił krawat, przecesał włosy, po czym zagadnął starszą kobietę siedzącą obok.

– Przepraszam, o ile dobrze wyczytałem, to tym tramwajem dojadę na skrzyżowanie Alei Jerozolimskich z Alejami Krakowskimi – bardziej stwierdził niż zapytał Zaręba.

Kobieta podskoczyła na siedzeniu niczym poparzona, uniosła się, po czym spojrzała na napastnika, jakby ten targnął się na jej bezcenne życie. Widząc jednak uśmiechniętą twarz Zaręby, rozluźniła się nieco, usiadła i odpowiedziała pytaniem.

– A co tam jest, synku?

Adam pokazał kobiecie wydruk ze strony internetowej przedstawiający duży niebieski biurowiec.

– Aaa, było tak od razu – wymamrotała. – Do toi toia synek chce?

– Nie szukam ubicacji – zdziwił się Adam.

– Pan przyjezdny? Tak warszawiacy nazywają ten niebieski wysoki biurowiec. Musi pan wysiąść za... – kobieta odliczyła na palcach do siedmiu, po czym wypaliła zadowolona – za cztery przystanki.

Wraz z kolejnymi uderzeniami nieprzyjemnych fal bólu atakującego żołądek, narastało w Zarębie poczucie zaniepokojenia. Wsiadł z tramwaju i spojrzał na ogromny biurowiec. Uczucie paniki zawładnęło nim do reszty, rozlewając się po ciele niczym trucizna. Nieokiełznane, pierwotne poczucie lęku, w obliczu narastającego zagrożenia, dawało sygnał do ucieczki. Adam miał ochotę zapaść się pod ziemię, byleby tylko odsunąć zbliżający się nieuchronnie moment konfrontacji. Powtarzał sobie w duchu, że mimo nieprzyjemnych doznań ogarniających ciało, musi się przełamać i zrobić swoje.

Z drżącymi dłońmi, wszedł do holu i spojrzał na ogromną tablicę zawieszoną obok recepcji, z której można było wyczytać rozlokowanie firm mających siedzibę w biurowcu. Wszystko zdawało się zupełnie obce, wielkie i przerażające, inne niż to, do czego Zaręba przywykł, mieszkając na prowincji.

Całymi dniami uczył się informatyki i programowania, weekendami zaś uczęszczał na studia zaoczne na wydziale Marketingu i Zarządzania, tłumacząc sobie w duchu, że z czasem wszystkie te wyrzeczenia zwrócą się z nawiązką. Widział studentów chodzących na imprezy, spotykających się z ludźmi i wymyślających coraz to głępsze sposoby marnowania sobie życia. Dla Zaręby nauka, projekty, zaliczenia i egzaminy stanowiły cały świat. Jeśli miał kilka chwil dla siebie, wykorzystywał je na czytanie, programowanie, realizację zleceń, aby móc tylko opłacić chesne za studia zaoczne, albo ulżyć samotnej matce utrzymującej dom.

Adam był cichym, spokojnym i zakompleksionym młodym człowiekiem o chuderlawej posturze i wiecznie nieobecnym wzroku. Największą obawą napawała go myśl, że kiedyś skończy jako bezdomny bez grosza przy duszy. Będzie zmuszony chodzić po śmietnikach, aby przetrwać. Myśl ta motywowała go tak bardzo, że jeszcze solidniej przykładął się do nauki. Stara matka powtarzała mu, żeby wyszedł z domu, spotykał się z ludźmi, albo znalazł sobie dziewczynę. Świat jednak był zbyt przerażający, przytłaczał i zniechęcał. Wszystkie te zależności, gierki, psychologiczne zagrywki dotyczące ludzkich

relacji były ponad jego siły. Szczególnie bał się kobiet, sama ich obecność paraliżowała go tak bardzo, że ilekroć próbował rozmawiać z nawet najbrzydszą przedstawicielką płci pięknej, zaczynał się trząść, pociły mu się ręce i kark, a mowa więzła w gardle.

Zaraz po studiach znalazł pracę w małej podkarpackiej firmie Asset tworzącej programy i strony internetowe dla lokalnych przedsiębiorstw. Dzięki niej zdobył nieco doświadczenia, ale przede wszystkim zobaczył w praktyce, jak funkcjonuje prywatny biznes. Obserwował małych, zawistnych biznesmenów, którzy o zarządzaniu mieli tyle pojęcia, co fryzjer o wypieku chleba. Ich głównym hasłem przewodnim była redukcja kosztów poprzez nabijanie pracowników i kontrahentów w butelkę. Nikt nawet nie chciał słyszeć o budowaniu długotrwałych relacji, o jakości i marce produktu. Najlepiej jak najszybciej sprzedać, zarobić i zwinąć biznes, aby otworzyć kolejny.

Po dwóch latach Adam utwierdził się w przekonaniu, że czas poświęcony na naukę nie poszedł na marne. Po prostu był o niebo lepszy od innych kolegów, którzy podczas studiów leżeli pijani, zamiast się uczyć. Wtedy również przyszła refleksja, że pozostając w Asset, poza frustracją, nie uda się niczego więcej osiągnąć. Skromne zarobki, które wraz z emeryturą starej matki ledwie starczały do pierwszego, przechyliły szalę gorczy i Zaręba mimo obaw i paraliżującego strachu postanowił, że musi zmienić coś w swoim życiu.

Wielokrotnie, podejmując pensję, zastanawiał się, jak wiele osób w Polsce na wzór Adasia Miauczyńskiego z *Dnia Świra*, dostając marne grosze jałmużny do ręki, ma dylemat, czy kupić sobie za nie butelkę wódki i natychmiast się upić, czy może nabyć dwadzieścia pięć kilogramów ziemniaków i na trzeźwo przeczekać do następnego miesiąca z nadzieją, że ten przyniesie lepszą przyszłość.

Zaręba doszedł do wniosku, że praca, o której na studiach tak marzył, nie jest celem samym w sobie, a jedynie środkiem do realizacji ambitniejszych planów. Całe dotychczasowe życie poświęcił przygotowaniom, a potem znalezieniu najlepszej z możliwych posad. Teraz, kiedy mógł powiedzieć, że zyskał względną stabilizację, czuł niedosyt, podświadomie wiedział, że pracodawca nie spełni jego oczekiwań, nie wykorzysta wiedzy gromadzonej

latami. W głębi serca tęsknił również za kobietą, towarzyszką życia, za rodziną, dziećmi, grupką przyjaciół, z którymi mógłby spędzać wolny czas. Marzenia te zdawały się tak odległe, tak mało realne, że za każdym razem, kiedy tylko o nich pomyślał, natychmiast włączała się w głowie czerwona lampka i alarm, który zagłuszał optymistyczne myśli. Bo niby co takiego Adam miał do zaoferowania drugiej osobie? Czym miałyby zasłużyć na miłość, szacunek czy przyjaźń? We własnych oczach był tylko małym, nic nieznaczącym człowieczkiem znajdującym się na komputerach.

Decyzja o wyjeździe do stolicy dojrzewała w Zarębie już od kilku miesięcy, kiedy wreszcie nadarzyła się stosowna okazja, nie czekał dłużej, tylko rzucił się na głęboką wodę. To był idealny moment, aby rozpocząć nowy etap w życiu. Stolica jawiła się niczym eldorado, kraina krzemem i bitem płynąca, stworzona dla inżynierów znających nowoczesne technologie. Kusily perspektywy rozwoju i przede wszystkim zarobki nieporównywalnie wyższe niż te w pozostałej części kraju.

Zaręba mieszkał ze starzejącą się matką, która przez ostatnie dwadzieścia lat pracowała w zakładzie krawieckim. Rok temu przeszła na emeryturę. Postanowienie, aby rodzicielka przeżyła jesień życia w godnych warunkach, było równie ważnym powodem rozpoczęcia poszukiwania pracy w Warszawie.

Adam spojrział błagalnym wzrokiem na recepcjonistkę, ładną panią o kręconych włosach i milimetrowej warstwie pudru maskującego nierówności skóry.

Pretensjonalny wzrok dziewczyny natychmiast speszył mężczyznę. Czuł, jak kropelki potu spływają wzdłuż kręgosłupa, aby ostatecznie wylądować w miejscu, o którym poeci rzadko wspominają.

– Ja na rozmowę o pracę – wymamrotał. – Do SpecialBanku.

– Proszę imię i nazwisko – pani zanotowała coś na tymczasowej karcie wstępu i wręczyła Adamowi karteczkę z zapinką, którą przymocował sobie do klapy marynarki.

Zgodnie z instrukcją przekazaną przez recepcjonistkę, wjechał windą na dwudzieste siódme piętro i ruszył długim korytarzem. Widząc trójkę młodych ludzi, czekających pod drzwiami, niczym w poczekalni u dentysty, doszedł do

wniosku, że znalazł się w odpowiednim miejscu. Usiadł na fotelu, założył nogę na nogę, i trzymając teczkę na kolanach, patrzył się w sufit.

Do głowy przysłała mu myśl, że poszukiwanie pracy to najbardziej upokarzająca i niewdzięczna czynność w życiu. Chodzi się niczym nawiedzony od drzwi do drzwi, żebrząc o garść srebrników w zamian za wątpliwe usługi. Zachwala umiejętności i zalety charakteru. Okazuje się nagle, że wszyscy kandydaci na pracowników są sumienni, obowiązkowi i potrafią pracować w grupie.

Usłyszawszy swoje nazwisko, Adam o mało nie zemdleł.

W pokoju przywitał Zarębę przystojny mężczyzna koło pięćdziesiątki, o żelowanych czarnych włosach i przenikliwym spojrzeniu sędziego losu. Biurko, szafki z różnokolorowymi segregatorami i wygodna skórzana kanapa tworzyły gustowny wystrój wnętrza. Mężczyzna, którego Zaręba nazwał w myślach Czarnym, wskazał ręką na krzesło znajdujące się przed biurkiem, sam zaś zaczął przeglądać CV i list motywacyjny wysłany przez Adama.

– Proszę powiedzieć coś o sobie – mruknął, aby zyskać na czasie.

Na tak postawione pytanie Adam przygotowany był wzorcowo. Z prędkością karabinu maszynowego rozpoczął monolog na temat dotychczasowego doświadczenia. Dwa fakultety, zainteresowania związane z bankowością i pasja programowania robiły z niego kandydata wprost idealnego. Zaręba ćwiczył nawet mimikę twarzy i intonację głosu, aby te były doskonale wyreżyserowane i podkreślały emocjonalność bardziej newralgicznych momentów wypowiedzi.

Czarny skinął głową, nie ukrywając, że przemówienie kandydata zrobiło na nim spore wrażenie. Mruknął coś pod nosem, odchrząknął, po czym zadał kolejne pytanie.

– Będzie pan skłonny przeprowadzić się do Warszawy? Jesteśmy w trakcie organizacji placówek i werbowania ludzi, którzy będą tworzyć przyszłą centralę i zaplecze nowego banku. Jako że wybraliśmy już dostawcę systemu informatycznego, z którego oprogramowaniem jak widzę się pan spotkał, nie ukrywam, że byłby pan dobrym nabytkiem dla naszego zespołu developerskiego. Chcielibyśmy uniezależnić się od dostawców zewnętrznych,

dlatego budujemy grupę programistów, którzy mogliby szybko reagować na potrzeby biznesu i zmieniający się rynek.

– Oczywiście, jestem przygotowany na przeprowadzkę do Warszawy – wymamrotał Adam z wyreżyserowanym uśmiechem na twarzy. – Byłbym zaszczycony, mogąc dołączyć do państwa projektu i zespołu developerów. Dam z siebie wszystko, aby nowy bank zyskał na rynku pozycję lidera – powiedział Zaręba niczym pierwszoklasista recytujący wiersz na szkolnym apelu.

Czarny zadał jeszcze kilka szablonowych pytań kontrolnych, na które Adam odpowiedział śpiewająco. Na koniec przeszli na tematy związane z wynagrodzeniem, co do którego kandydat do pracy nie wniósł najmniejszych uwag.

– Dobrze – mruknął rekrutujący – zapraszam jutro na testy kompetencyjne i psychologiczne. Jeśli wypadnie pan w nich zadowolająco, podpiszemy umowę o pracę – podsumował, podając Adamowi rękę.

Zaręba wyszedł na korytarz. Oddychał głęboko, próbując się nie przewrócić.

„Co oznaczało zadowolająco?” – kołatało mu się po głowie.

Czuł, jak uchodzą z niego stres i emocje, spływają po nogach i rozlewają się po podłodze, po czym przyjmują kształt pięciometrowego potwora. Z drugiej strony podświadomość podpowiadała, że rozmowa przebiegła po myśli Adama. Tygodnie przygotowań nie poszły na marne, zgrywanie błazna przed lustrem również się opłaciło.

Warszawski rynek pracy zapewniał tysiące ofert, setki możliwości dla ludzi, którzy nie boją się wyzwania i nie mają oporów, aby wziąć sprawy we własne ręce.

Tak bardzo irytowały Adama te wszystkie szemrane interesy, kolesiostwo, zatrudnianie znajomych albo rodziny. Oferty pracy w podkarpackich gazetach bardzo często zamieszczane były tylko po to, aby dopełnić ustawowych formalności, albo pochwalić się przed urzędem pracy aktywnym uczestnictwem w walce z bezrobociem. Nikomu nie przeszkadzało, że posada od samego początku zarezerwowana była dla narzeczonej syna prezesa. Jedynymi ofertami pracy, które faktycznie były do wzięcia, to wszelkiego

rodzaju stanowiska sprzedawców, a raczej sales managerów, czy key account managerów. Zatrudnił się taki delikwent z ogromnymi aspiracjami w firmie Uduś Sp. z o.o., i próbując za wszelką cenę zrealizować limity sprzedażowe, wciskał jakieś bądzie wie najpierw swojej rodzinie, potem znajomym. I owszem, przez pierwsze trzy miesiące szło mu nawet nie najgorzej, w zależności od liczebności osób wchodzących w skład drzewa genealogicznego. Niestety po kilku miesiącach sprzedaż się załamywała, więc firma zatrudniała nowego kandydata, z rozległymi kontaktami towarzyskimi. No i biznes jakoś się kręcił.

Adam nie był pewny, czy podczas rozmowy kwalifikacyjnej nie powinien zażądać większych pieniędzy, choć i tak były one pięciokrotnie wyższe od tych, jakie dostawał w Rzeszowie. Wszystko potoczyło się tak szybko, że nawet nie przyszło mu do głowy, aby negocjować. Z drugiej strony skłonny był pracować za niższe wynagrodzenie, byleby tylko zdobyć wymarzoną posesję. Doświadczenie mogło w przyszłości okazać się bezcenne, a jak dobrze będzie wyglądało w CV! Oczami wyobraźni widział, jak za dwa, trzy lata pracodawcy będą ustawiać się w kolejce, bijąc o jego względy. A on w swej nieskończonej łaskawości zgodzi się przyjąć najbardziej intratną ofertę.

O ile Zaręba nie obawiał się egzaminu z informatyki, to testy psychologiczne jawiły się jako wielka zagadka. Czy odpowiadać na pytania zgodnie z własnym sumieniem, czy może próbować coś kombinować?

Egzaminy kompetencyjne rozpoczynały się jutro o godzinie dziesiątej w siedzibie centrali SpecialBanku. Powrót autobusem do Rzeszowa wiązały się z pięciogodzinną jazdą. Skoro świt należałoby wyjechać do Warszawy, co zdawało się niezbyt dobrym pomysłem. Jedynym sensownym rozwiązaniem był nocleg w stolicy. Zaręba miał listę kilku tanich hoteli i hosteli posiadających wolne pokoje. Należało wybrać jeden z nich, zadzwonić i zarezerwować miejsce.

Już sięgał do kieszeni po telefon, kiedy zobaczył wysokiego, przystojnego mężczyznę idącego korytarzem.

– Piotrek? Piotrek Cynarski? – zapytał Adam z niedowierzaniem.

Mężczyzna zatrzymał się, spojrzął na Zarębę, mierząc go spod oka. Po kilku sekundach na twarzy pojawił się szeroki, cwaniacki uśmiech.

– Adam?

Wspomnienia z przeszłości uderzyły niczym dwudziestotonowa kula do niszczenia budynków przeznaczonych pod rozbiórkę. To był jeden z tak zwanych licealnych liderów, człowiek, który innych miał za nic, a kujonów i grzecznych uczniów mieszał z przysłowiowym błotem.

– Co ty tu robisz? – zapytał Adam.

– Pracuję. Od dobrego tygodnia. Szukają ludzi do nowego projektu, a to w Warszawie doskonała okazja na zmianę pracy i lepsze zarobki. Powiedz lepiej, co ty tu robisz?

– Ubiegam się o stanowisko programisty w SpecialBanku. Jutro mam egzaminy kompetencyjne i psychologiczne, które zadecydują, czy dostanę tę pracę – wyznał Zaręba. Z miną wykrzywioną w podkówkę, przypominał dziecko, któremu zabrano nowe klocki.

– A ja siedzę w Warszawie już od dwóch lat. Po studiach udało mi się znaleźć pracę, dlatego długo się nie zastanawiałem nad przeprowadzką. Rodzina trochę mi pomogła. W naszym zapytaliśmy miasteczku mógłbym się co najwyżej dorobić bólu krzyża.

– To wszystko wokół jest takie... ech... – wzdychał Adam. W innych okolicznościach spotkanie z Piotrkim skończyłoby się pewnie na wymianie kilku uprzejmości, jednak obecnie sojusznik na obcym terenie jawił się niczym wybawienie.

– Masz gdzie mieszkać? – zapytał Piotr.

– No właśnie... – jękał się Adam – będę musiał coś znaleźć. Mam tu kilka hosteli na kartce.

– Chyba żartujesz. Idź się przejść po starówce, pozwiedzaj galerie. Kończę pracę o szesnastej, nie będziesz się przecież plątał po nocach. Kto ma ci pomóc, jak nie stary kumpel z liceum?

– Brzmi zachęcająco – powiedział Zaręba. I choć nie pałał do Piotra wielką miłością, i daleko byłoby, aby nazwać go kumplem, to w obecnej sytuacji

pomysł wydawał się nie najgorszy. Może Cynarski zmienił się przez te lata, wydorósł i nabrał szacunku do drugiego człowieka?

– Chcesz dostać tę robotę? – rzucił Piotr.

– Pewnie – oczy Zaręby zajaśniały.

– Świetnie się składa. Powiem ci co zrobić, żeby zdać egzamin psychologiczny. Sam przez niego przechodziłem i wiem, jaki profil psychologiczny jest w firmie najbardziej pożądany. Egzaminy z wiedzy chyba zdasz.

– Mam nadzieję – wymamrotał Adam.

– Przecież zawsze byłeś kujonem – podsumował Cynarski.

Adam nie wiedział jak się zachować, z jednej strony propozycja Piotra była nieuczciwa, bo zakładała oszukiwanie podczas testów psychologicznych, z drugiej, nie wykorzystać takiej okazji, byłoby po prostu głupotą.

Zaręba płątał się bezmyślnie, zwiedzając okolice centrum miasta. Wysokie biurowce, zatłoczone ulice, karetki jeżdżące po tramwajowych torach, wszystko to przytłaczało i przygnębiało. Perspektywa przeistoczenia się w jednego z wiecznie spieszących się mieszkańców stolicy jawiła się niczym koszmar.

O godzinie szesnastej Piotr wyszedł z pracy i ruszyli z Adamem na podziemny parking.

– Podskoczmy jeszcze do Żółtych Tarasów – zakomunikował Cynarski. – Muszę odebrać przesyłkę od kolegi. Potem pojedziemy do mnie. Nie masz nic przeciwko?

– Spoko, z przyjemnością zwiedzę najslynniejszą warszawską galerię handlową.

Żółte Tarasy okazały się przereklamowanym molochem z setkami sklepów dla snobów. Tysiące ludzi, niczym mrówki, uganiało się za promocjami i okazjami na przedmioty, których i tak nie potrzebowali. Uwagę Zaręby zwróciła wystawa zegarków, z których jeden kosztował więcej niż luksusowy model mercedesa.

– Po co komu taki zegarek? – zastanawiał się Adam.

– Też będę kiedyś taki miał – rzucił Piotr, urywając wątek.

Przechodzili wzdłuż lśniącego blichtrzem i przepychem salonów z biżuterią, kiedy Cynarski wypalił:

– Zawsze miałeś łeb nie od parady, będziesz dobrym nabytkiem dla SpecialBanku.

– Mam nadzieję – powiedział Zaręba, kręcąc głową. Przez chwilę zdawało mu się, że właśnie przeszedł obok jakiegoś celebryty występującego w teleturnieju telewizyjnym.

– Tutaj to normalka, przywykniesz – stwierdził Cynarski.

Ruszyli ruchomymi schodami na ostatnie piętro Złotych Tarasów, gdzie znajdowała się strefa restauracji i fast foodów. Był to raj dla grubasów i obżartusów, którzy mogli napychać się wszelkiego rodzaju śmieciowym jedzeniem, pielęgnując rozwój choroby wieńcowej, nadciśnienia, czy zawału serca. W takim miejscu jak to, prezes ZUS-u mógł być spokojny o przyszłość polskiego systemu emerytalnego.

– Masz ochotę na KFC? – zapytał Piotr.

– Czemu nie. – Zaręba był głodny jak wilk, kiszki grały mu nie tylko marsza, ale zapuszczały się w niebezpieczne strefy jazzowego jam session.

Piotrek nieoczekiwanie objął Adama ramieniem, tak po przyjacielsku. – Przepraszam, że ci kiedyś dokuczałem, to były inne czasy, młodzi byliśmy, zresztą sam rozumiesz.

– Nie ma sprawy – Zaręba poczuł się niezręcznie, dlatego odwrócił wzrok, obserwując najnowszą kolekcję od Christiana Diora.

– Zmieniłem się, teraz jestem już innym człowiekiem – kontynuował Piotr.

– Daj spokój, jesteście przecież dorosłymi ludźmi – skłamał Adam, wiedząc, że nie zapomni Piotrowi dawnych uraz, docinków i smutnych dowcipów.

– To jaki plan na popołudnie? – zapytał Cynarski, stając w kilkuosobowej kolejce po kurczaka.

– Chciałbym przygotować się do jutrzejszych egzaminów – stwierdził Adam z powagą w głosie.

– Wiesz co, zawrzyjmy mały układ.

– Co proponujesz?

– Pójdiesz dziś ze mną na Milongę.

– Na co? – zdziwił się Zaręba.

– To taka impreza, gdzie tańczy się tango argentyńskie.

– Ale ja nie umiem tańczyć – zaprotestował Adam.

– Nie szkodzi, nauczysz się, ale przede wszystkim zobaczysz nocne życie Warszawy. Ja w zamian opowiem ci, co i jak. No i przede wszystkim sprzedam ci informację, jakiego profilu psychologicznego poszukują szefowie SpecialBanku. Zresztą nie obraż się, ale sędzę, że idealnie do niego pasujesz.

Adam uniósł brew.

– Napisz prawdę a zdasz na piątkę.

– Nie rozumiem – druga brew powędrowała w górę.

– Nigdy nie pracowałeś w korporacji? – uśmiechnął się Cynarski.

Adam wzruszył ramionami.

– Moja firma z Rzeszowa była kilkuosobowa – dodał.

– Podstawowa zasada korporacji, brzmi: pracownik nie myśli. Od myślenia są przełożeni, ty jesteś tylko szeregowcem wykonującym rozkazy. Bo wiesz, Adaś, życie tak naprawdę to sztuka kompromisów. Trzeba umieć dopasować się do sytuacji.

Piotr zamówił dwa kubeczki z kawałkami kurczaka.

– Patrząc na twoje zachowanie, mogę z dużą dozą prawdopodobieństwa powiedzieć, jakim jesteś człowiekiem.

– Czyżby? – Zaręba poczuł się zaintrygowany.

– Zabawmy się we wróżkę.

– Skoro chcesz – wymamrotał Adam. Odebrał od Piotra kubeczek i ruszył w poszukiwaniu wolnego stolika.

– Jesteś człowiekiem skrytym, mającym wiele kompleksów, pragnącym żyć pełnią życia, jednak z racji wychowania, okoliczności i niskiego poczucia własnej wartości, nie jesteś w stanie rozwinąć skrzydeł i zrealizować własnych marzeń i pragnień. Zgadłem?

– To truizmy, garść ogólników – rzucił Adam, wkładając do ust pierwszy kawałek kurczaka – każdy mógłby coś takiego powiedzieć.

Zaręba usiadł przy stoliku i zmrużył oczy.

– Czy aż tak bardzo to widać? Mam to napisane na czole?

Cynarski uśmiechnął się tajemniczo, po czym wypalił.

– Umówmy się tak, jeśli dostaniesz tę robotę, pomożesz mi w kilku ciekawych projektach, do których się przygotowuję. A w pojedynkę będzie mi trudno. Bez wątpienia przydadzą mi się twoje informatyczne umiejętności. Ja w zamian pokażę ci, jak czerpać z życia pełnymi garściami.

Adam nie był w stanie przejrzeć intencji kolegi.

– W każdym momencie będziesz mógł zrezygnować, jeśli stwierdzisz, że to nie dla ciebie – przekonywał Cynarski, rozglądając się nerwowo.

Zaręba żuł kurczaka w ostrej panierce, zastanawiając się nad słowami Piotra. Z każdą sekundą dochodziło do niego, że tak naprawdę może to być ogromna szansa. Ile razy błagał los o odmianę, marzył o czarodzieju, który kijem, różdżką czy choćby nawet butem, sprawi, że świat ruszy z miejsca. Piotr czuł się niczym podróżnik, który od dwudziestu siedmiu lat oczekuje na pociąg. Ile to razy Zaręba wizualizował sobie życie, w którym staje na własnych nogach i może z pełną stanowczością powiedzieć, że jest panem własnego losu a wszystko wokół dzieje się za jego zgodą i przyzwoleniem. Czy w obliczu propozycji Piotra można było się wycofać?

– Zgoda – Adam uścisnął koledze rękę. – Bądź moim guru – uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że traktuje całą sprawę z przymrużeniem oka.

– Warszawa jest miejscem o wielkich możliwościach, najważniejsze, aby potrafić je dostrzec i wykorzystać. To jak z przysłowiową rybką w akwarium. Ja chcę ci tylko pokazać, że istnieje coś poza twoim małym dotychczasowym światem, poszerzyć horyzonty i tym samym zmienić życie na lepsze. Ważne, abyś choć raz odważył się wyjść poza prywatną strefę bezpieczeństwa i wypłynąć na nieznanne wody. Twój przyjazd do stolicy był pierwszym ważnym krokiem w jedynie słusznym kierunku, teraz musisz pójść dalej, pokonać kolejne przeszkody do momentu, aż stwierdzisz, że nie potrafisz już żyć bez wyzwania, emocji i nowych doświadczeń. Uważam, że w tym tkwi

sedno i esencja życia. Bezpieczeństwo i ciepła przystań jest dla mięczaków. – Piotr zawiesił głos i zamyślił się. Jego twarz przybrała zagadkowy wyraz. – Cóż – kontynuował – jeśli stwierdzisz, że to nie dla ciebie, przynajmniej będziesz wiedział, co tracisz. Bardzo wiele osób nigdy nie dostaje takiej szansy. Tkwią w ciasnych klatkach swego umysłu, powtarzając codziennie te same schematy, aż do wyrzygania. Pewnego dnia stwierdzają, że ich życie nie ma żadnego sensu a jedyną opcją jest samobójstwo, albo staczenie się w nałogi.

– Jeszcze nie dostałem pracy w SpecialBanku. Trudno czuć się pewnie w obliczu tylu niewiadomych – wahał się Adam.

– Wiesz co, jeśli chcesz pójść do twojego kierownika i poświadczę za ciebie. O ile mi wiadomo, jest w firmie program rekomendacji pracowników. Powiem im, że będziesz doskonałym nabytkiem. Być może da ci to kilka dodatkowych punktów na starcie, a i ja dostanę premię, jeśli zostaniesz w firmie dłużej niż pół roku.

Adam rozpromienił się, nie mogąc uwierzyć, że niegdysiejszy wróg, klasowy cwaniak i stręczyciel mógłby w jednej chwili zamienić się w zbawcę, mentora prowadzącego przez ciemny tunel życia.

– Będę ci dozgonnie wdzięczny – wymamrotał Zaręba. – Muszę tylko znaleźć w Warszawie jakieś lokum.

– Mówiłem ci. Tym się nie przejmuj. Na razie zajmiesz moją kanapę. Jak staniesz na nogi, coś ci wynajmiemy. W razie gdybym potrzebował wolnej chaty, po prostu dam ci wcześniej znać, najwyżej pójdziesz do kina na enemefa. – Piotr uśmiechnął się głupkowato, mrugając oczami niczym panienka. Po chwili spowaźniał i zatroskał się, widząc, że jakiś mężczyzna z aktówką stoi przy barierce obok ruchomych schodów. Wstał od stolika, podszedł do nieznanego i przywitał się. Rozmawiali przez chwilę, gestykulując. Mężczyzna był wysoki, z ostrzyżonymi na jeża siwiejącymi włosami, krótki wąsik zdobił jego twarz. Markowy garnitur i lakierki nie pozostawiały wątpliwości, że człowiek ten musi być kimś ważnym a na pewno zasobnym. Wyciągnął z aktówki jakiś mały przedmiot i wręczył go Zarębie, ten zrewanżował się tym samym, przekazując coś siwowłosemu. Mężczyźni

uścisnęły sobie dłonie, po czym zadowolony Cynarski wrócił do stolika, aby dokończyć kurczaka.

– Kto to był? – zapytał Zaręba.

– Kolega.

Adam nie dopytywał, nie chcąc wyjść na wścibskiego. Dokończyli jedzenie, wrócili do samochodu, po czym przemieszczając się w korku w tempie pieszego, ruszyli na warszawski Mokotów.

Mieszkanie Piotra zrobiło na Adamie ogromne wrażenie. Wykończenie wnętrza, kolorystyka i umeblowanie było gustowne i stylowe, choć walające się ubrania, stół z resztkami jedzenia, poodsuwane i pootwierane szafki nie pozostawiały wątpliwości, że mieszka w nim kawaler.

– Wynajmujesz to mieszkanie? – zapytał Adam.

– Tak, i to całkiem tanio. To prawdziwa okazja jak na Warszawę – chwalił się Piotr, chowając buty w szafce w przedpokoju.

– Musisz sporo zarabiać, skoro stać cię na odstępne za mieszkanie i życie w Warszawie.

– Przez dwa lata nabrałem trochę doświadczenia, poruszam się głównie w branży finansowej i bankowej, trochę gram na giełdzie i forexie, no i cały czas jestem czujny. Obserwuję rynek pracy, jak gdzieś zaczyna się nowy projekt, pojawiaam się i proponuję usługi swojej skromnej osoby. Finansista z głową na karku zawsze jest przydatnym nabytkiem. Dzięki temu przez ostatnie dwa lata zmieniłem pracę sześć razy i również dzięki temu, stać mnie na to mieszkanie, samochód i wiele innych rzeczy, o których opowiem ci kiedy indziej.

Adam zastanawiał się, co powiedzieć. Zapewne teraz to on powinien pochwalić się swoimi osiągnięciami, problem jednak w tym, że w głowie miał zupełną pustkę.

Piotrek podszedł do skórzanej kanapy stojącej w salonie i z niemałym zażenowaniem wyciągnął spod poduszki czerwony stanik.

– Kaśka musiała to zostawić. Ciekawe w czym biega po mieście?

Adam patrzył w okno, udając, że niczego nie słyszy i nie widzi. Wreszcie, odwrócił się i zobaczył, że kolega mierzy go marsowym spojrzeniem.

– Coś nie tak? – zmartwił się.

– Musimy coś z tobą zrobić. Nie zabiorę cię w takim stanie na milongę, bo narobisz mi obciachu – rzucił Cynarski.

– O czym mówisz? – zdziwił się Adam.

– Żadna dziewczyna nie będzie chciała z tobą zatańczyć, ani tym bardziej porozmawiać.

– Coś ze mną nie w porządku? – zapytał Zaręba. Kiedy usłyszał zdanie: „rozmawiać z dziewczyną”, zrobiło mu się słabo a żołądek skurczył do rozmiarów orzecha laskowego.

– Siadaj, muszę się zastanowić. Chcesz kawy?

– Jeśli to nie kłopot, to poproszę.

Cynarski podszedł do kuchni, wyciągnął z szafki saszetki z napisem „trzy w jednym”, otworzył je, po czym wsypał do kubków. Nastawił czajnik z wodą i przeszedł do salonu, w którym znajdowała się przesuwana szafa. Otworzył ją zamaszystym ruchem. Oczom Adama ukazała się imponująca garderoba, kilkadziesiąt koszul, kilkanaście markowych garniturów, płaszcze, kurtki i buty, a wszystko w jakości, jakiej nie powstydziliby się niejeden klasowy butik.

– Napadłeś na tira wiozącego ubrania na pokaz mody? – zażartował Adam.

– Lekcja numer jeden. Wygląd to niezwykle istotny element wizerunku każdego mężczyzny.

Piotr przygryzł kciuk. Mierzył Adama wzrokiem krawca albo grabarza, zastanawiającego się, jaką dobrać długość trumny dla klienta, który lata świetności miał już dawno za sobą.

– Co? – wymamrotał Zaręba, widząc, że kolega uważnie go obserwuje i ocenia.

– Zadam ci kilka pytań, dobrze? – zaproponował Piotr.

Adam słysząc, że woda w elektrycznym czajniku się zagotowała, poszedł do kuchni i zalał brązowy proszek, który zamienił się w kawę. Z dwoma kubkami w rękach wrócił do salonu.

– Dobrze, niech tak będzie – wręczył koledze kawę, sam zaś pociągnął mały łyżeczek, i choć nie była to szczególnie wyszukana rzecz, smakowała wprost wymiennie, a co najważniejsze, była w stanie postawić na nogi zmęczonego człowieka.

– Jak można stwierdzić, jaki ktoś ma charakter? – zapytał Piotr lakonicznie.

Adam zaskoczony niecodziennym pytaniem, zastanawiał się przez chwilę, aby ostatecznie odpowiedzieć niepewnym głosem.

– Trzeba z tym kimś przebywać... zobaczyć jak się zachowuje, co myśli i mówi w różnych sytuacjach.

– Słuszne spostrzeżenie. Czyli to, jakie przypisuje się nam cechy, zależy od naszego zachowania.

– No tak – potwierdził Adam, nie do końca rozumiejąc intencje kolegi.

– Innymi słowy, sześć zmysłów musi nam wystarczyć, aby odebrać przekaz od drugiego człowieka. Zgodzisz się ze mną?

– Człowiek nie zna samego siebie, a co dopiero poznać inną osobę – stwierdził Zareba. – Ale pewnie masz rację.

– Idźmy dalej. Przypuśćmy, że ubieram się elegancko i mam swój własny styl. Jak sądzisz, co ludzie o mnie powiedzą? – kontynuował Piotr.

– Bo ja wiem – zawiesił głos Zareba – że jesteś uporządkowany, dbasz o wygląd, zależy ci na opinii i zdaniu innych.

– Właśnie. A teraz pomyśl, czy nie chciałbyś mieć takiej opinii wśród ludzi, nawet jeśli nie posiadasz wszystkich tych cech?

– To chyba oczywiste – zgodził się Adam.

– A zatem zmieniając tak prostą cechę jak ubiór, zmieniasz również podejście ludzi do ciebie, a co za tym idzie, stopniowo zmieniasz również i swoje wnętrze. Przede wszystkim jednak zaczynasz tworzyć spójny obraz. I to jest właśnie najważniejsze, wymyślić samego siebie, stworzyć własny styl, a potem poprzez zmianę wyglądu zewnętrznego, zmieniać swoje zachowanie.

– Mógłbyś nieco jaśniej – stwierdził Adam, upijając łyk kawy.

– Wierzysz w noworoczne postanowienia? – zapytał Piotr, zmieniając temat.

– Nie bardzo – przyznał Zaręba.

– Ludzie obiecują sobie naiwnie, że schudną, rzucą palenie i inne używki, będą się uczyć języka niemieckiego i takie tam głupoty. I co z tych postanowień wynika?

– Zwykle niewiele – przyznał Adam.

– I nie może być inaczej, skoro ludzie nigdy nie wyrobili w sobie nawyku samodyscypliny, motywacji i wytrwałości.

– Jasne – parsknął Zaręba. – Tylko jak wyrobić w sobie takie nawyki?

– Mam takie powiedzenie. Na psychikę można wpłynąć tylko ciężką fizyką...

Adam skrzywił się, sugerując, że nie do końca zrozumiał wywód. Piotr niezrażony, kontynuował wypowiedź.

– Nie da się zacząć od wnętrza, bo to i tak nic nie daje. Nie wystarczy powiedzieć sobie „od jutra codziennie uczę się języka angielskiego”, bo nie będziesz tego robił, po tygodniu ci się znudzi. Ludzie łudzą się, oszukując samych siebie, wmawiają sobie, że to kwestia silnej woli, zmiany myślenia, założenia sobie nowych postanowień. Ale wrodzonych cech nie da się zmienić. Jeśli to zrozumiesz, to jesteś na dobrej drodze, aby zrobić coś z własnym życiem.

– To jakie jest wyjście? – zainteresował się Zaręba.

– Psychikę można zmienić tylko poprzez fizyczne oddziaływanie na nasze ciało.

– Jak to?

Piotr podszedł do biurka i włączył komputer. Uruchomił w przeglądarce internetowej kilka witryn.

– Musisz dokonać subskrypcji tych stron, przeczytać to, co jest na nich napisane. Są o samodoskonaleniu się. – Cynarski podszedł do szafki z książkami i szukał czegoś przez chwilę, odnalazłszy jedną z pozycji, wyciągnął wolumen i wręczył go koledze.

– To tak jak z budową domu, albo oraniem pola. Nic ci nie da, że o nich myślisz, tu po prostu trzeba zakasać rękawy i wziąć się do roboty.

– A jak to się ma chociażby do tej przysłowiowej nauki języka angielskiego? – zapytał Zaręba, kartkując książkę.

– W efekcie sprzężenia zwrotnego, widząc, że nauczyłeś się stu nowych słówek, zmieniasz również nastawienie do samego siebie, zyskując kawałek pożądanego cechy, jaką jest sumienność, pracowitość, no i wiedza.

– Jak fizycznie zmusić się do nauki angielskiego, albo do rzucenia palenia? – dopytywał Adam, zatrzymując się na rozdziale książki dotyczącym atrakcyjności fizycznej i mowy ciała.

– Poprosić drugą osobę, żeby ci pomogła, wykupić intensywny kurs języka angielskiego, za który zapłacisz tak dużą kwotę, że głupio będzie ci nie uczyć się na zajęcia. Kazać się zamknąć w odosobnieniu, bez dostępu do papierosów. Tylko tak można coś zmienić, dlatego masz szczęście, bo spotkałeś mnie. – Piotr wypiął dumnie pierś i poklepał się, niczym marna imitacja Tarzana w puszczy. – Od dziś to ja będę twoją ciężką fizyką.

– Serdeczne dzięki – powiedział Zaręba, czując delikatne zażenowanie. Odłożył książkę na stół, po czym zapisał na kartce adresy polecanych przez Piotra stron internetowych.

– Oczywiście – westchnął Cynarski – człowiek cały czas się zmienia, co parę lat będąc zupełnie inną osobą, co też poniekąd jest fascynujące, bo tak naprawdę nie można mieć przez to żadnego punktu odniesienia, ciągle na nowo definiując siebie.

– Jak to człowiek się zmienia? – zainteresował się Zaręba.

– Jedynym pewnikiem jest zmienność i brak pewności, jeśli do tego przywykniesz i zrobisz sobie z tego faktu sprzymierzeńca, będziesz zawsze szczęśliwy. Ludzie są naiwni, sądząc, że to oni są we wszechświecie najważniejsi. Nie są w stanie przyjąć, że Stwórca, kimkolwiek jest, ma ich gdzieś, że ma zupełnie inne cele niż te nasze małe ludzkie problemy. Ale oczywiście człowiek musiał postawić samego siebie w centrum wszechświata i mówić innym ludziom, że Bóg przecież jest człowiekiem, myśli jak my i ma te same cele.

– Zaczynasz mnie przerażać. A jakie niby cele ma Bóg?

– Zmiana, ruch, czas, rozwój – wymieniał Piotr niczym w transie. – My, ludzie, jesteśmy tylko małą częścią tego planu i to się nie zmieni przynajmniej do czasu, kiedy nasz rozwój cywilizacyjny nie pozwoli kształtować wszechświata.

– Wróćmy może na ziemię. Czy w takim razie, zgodnie z tym co mówisz, nie ma na świecie zasad moralnych, religijnych czy choćby praw przyrody rządzących światem? – zapytał Zareba.

– Z wiekiem dojdiesz do wniosku, że faktycznie ich nie ma. Wszystko jest rozmyte a zasady nieostre. Dam ci przykład. Był sobie człowiek, który za młodu uważał pustelników indyjskich za świętych, z czasem doszedł jednak do wniosku, że oni niczego nie wytwarzają, w niczym nie są światu pomocni, aż wreszcie u kresu życia stwierdził, że ci ludzie są wręcz szkodliwi i dają zły przykład innym. Z wiekiem zmieniła się w tym człowieku tylko interpretacja niezmiennego faktu, że pustelnicy indyjscy istnieją. To cudowne, bo coś każe nam cały czas na nowo definiować cele i zasady. I to jest właśnie istota wszechświata, życia, śmierci, egzystencji, boskich prawideł, czy jak to tam nazwać. Zmienność i ruch to jedyna prawda.

– A co z zasadami kościoła, te są od lat niezienne? A dekalog? – dopytywał Adam.

– Ale te zasady się również zmieniają. Spójrz, co wydarzyło się z różnymi religiami przez ostatnie dwa tysiące lat, jak bardzo uległy metamorfozie w porównaniu z pierwowzorami, nie mówiąc o ciągle nowych odłamach starych religii. Ten proces będzie trwał. Czy sądzisz, że o ile ludzkość przetrwa, za dwa tysiące lat będzie mieć te same problemy moralne co dziś? O czymś takim jak religia nikt już nie będzie pamiętał, może kilku historyków coś o niej wspomni, tak jak my dziś wspominamy mitologię grecką czy rzymską. A dlaczego? Bo będziemy rozumieć wszechświat, dziesięć przykazań bożych się zdezaktualizuje.

– Jak to? – zdziwił się Adam. – Jak według ciebie zmieni się choćby przykazanie, aby czcić ojca swego i matkę swoją.

– Najnormalniej w świecie – powiedział Cynarski z entuzjazmem wymalowanym na twarzy – nikt już nie będzie miał ani matki ani ojca, z racji

przeludnienia, będzie musiała istnieć instytucja kontroli urodzin. Dawcą nasienia i komórki jajowej będzie ktoś zupełnie nam nieznan, obcy, o ile w ogóle ktoś taki będzie potrzebny. Jak niby będziesz mógł czcić kogoś, kogo nigdy na oczy nie widziałeś?

– No dobrze, a co z przykazaniem nie zabijaj, to się chyba nigdy nie zdezaktualizuje – prowokował Adam. Usiadł na kanapie, skrzyżował nogi i wyduł wargi.

– To przykazanie również straci na wartości, choćby dlatego, że staniemy się nieśmiertelni. Znajdziemy metody na pokonanie problemu starzenia się komórek, a w najgorszym wypadku będziemy żyć jako sztuczna inteligencja. To tylko kwestia stu, może dwustu lat.

– Nie chce mi się w to wierzyć – stwierdził Zaręba.

– A sądzisz, że ktokolwiek tysiąc lat temu skłonny był uwierzyć w samoloty, rakiety kosmiczne i telefony komórkowe z GPS. Ludzkości przybywa w postępie geometrycznym, tak samo rozwija się nauka. Przywyknij do zmian, a będziesz szczęśliwy.

Widać było, że omawiana kwestia wzbudza w Piotru spore emocje, chodził rozentuzjasmowany po pokoju, argumentując i gestykulując.

– Możemy wrócić do ludzkiej osobowości? O filozofii porozmawiamy kiedy indziej – Adam próbował sprowadzić Piotra na ziemię.

– Patrząc na całość nieco bardziej pragmatycznie, w zmienianiu siebie chodzi o nawyk, wyrabia się go po dwudziestu jeden dniach codziennych powtórek. A zatem pierwszy i najważniejszy punkt twojej zmiany, to wyrobienie nawyku ubierania się z klasą.

– Kto ci to wszystko opowiedział? Jesteś przecież za młody na taką wiedzę.

– Mam swoich mentorów i zadają się z mądrymi ludźmi. To też jedna z zasad, które się w życiu przydają. Może kiedyś ci ich przedstawię – powiedział Piotr enigmatycznie.

– Żeby się dobrze ubierać, trzeba mieć kasę – zasepił się Zaręba.

– Wcale nie.

Piotrek wyciągnął z szafy marynarkę i kazał Adamowi ubrać ją bezpośrednio na t-shirt. Ciemne płócienne spodnie i lakierki dopełniały obrazu całości.

– Widzisz, teraz znacznie lepiej. Musimy jeszcze zrobić coś z tą fryzurą. – Piotr poszedł do łazienki, po czym wrócił ze szczotką i żelem do włosów. Układał fryzurę Adama niczym rasowy stylist. Wreszcie ustawił kolekę przed lustrem dumny ze swego dzieła.

– Co ty na to?

– Nieźle – uśmiechnął się Piotr, który nie mógł uwierzyć, że osoba stojąca przed lustrem to on.

– I teraz ważna rzecz. Ubierasz się w ten sposób przez najbliższe dwadzieścia jeden dni. Moja szafa stoi przed tobą otworem. Zobaczysz, jak ludzie zaczną na ciebie reagować. Chodź, muszę zrobić małe zakupy, po drodze opowiem ci resztę.

Zeszli na dół, do pobliskiego sklepu spożywczego. Adam przechadzał się pomiędzy półkami, obserwując reakcję kobiet na swój nowy image. Za każdym razem, gdy jakaś dziewczyna na niego spojrzała, on peszył się, odwracając wzrok.

– I jak? – zapytał Cynarski.

– To chyba działa – ucieszył się Zaręba, podchodząc do kasy. – Tylko co dalej?

– Same przyjemne sprawy. Będziesz widział wzrok dziewczyn, kobiet, ale również i mężczyzn, mierzących cię od stóp do głów. Powinno ci się spodobać.

– Nie jestem przekonany – wymamrotał Zaręba.

– Ja uwielbiam to uczucie, jak kobieta zżera cię oczami i najchętniej rzuciłaby się na ciebie i schrupała. W myślach powtarzam sobie wtedy, no już maleńka, na co czekasz, zrób to.

– I co schrupała cię kiedykolwiek jakaś kobieta? – zapytał Adam.

– Co najwyżej ugryzła – odpowiedział Piotr. – Ale to wynika z ich wychowania, to ty musisz zrobić pierwszy krok.

– Jestem z natury nieśmiały. Odwracam wzrok, jak inni na mnie patrzą.

– Musisz się przełamać, nie wolno ci się peszyć, zaakceptuj fakt, że jesteś atrakcyjny. A jeśli nawet w to nie wierzysz, to dzięki spojrzeniom innych ludzi, z czasem uwierzysz. Potem nie będziesz mógł bez tego żyć. To da ci siłę i energię do działania. Nigdy już nie wrócisz do starego wizerunku. A zatem potwierdzi się moja teoria, że tylko od ciężkiej fizyki wiedzie droga do psychiki.

– Spróbuję, ale jakoś nie jestem przekonany. Może po prostu niektórzy są inni i trzeba się z tym pogodzić – wymamrotał Adam.

– Spójrz na tamtą blondynkę – Piotr wskazał średnio atrakcyjną dziewczynę stojącą dwie kasy dalej.

– No, widzę, i co? – zapytał Zaręba.

– Patrz na nią, cały czas, jak natręt, nie odwracaj wzroku – zaproponował Piotrek.

Adam, mimo oporów, wpatrywał się w kobietę niczym sroka w gnata. Dziewczyna początkowo nie zwracała na to uwagi, wreszcie widząc obserwującego ją mężczyznę, zaczęła się rumienić, odwracając wzrok. Za każdym razem jednak wracała ze spojrzeniem w stronę Adama.

– I co? Patrzy się?

– No tak. To nawet miłe i przyjemne – powiedział Zaręba.

– Czy sądzisz, że gdybyś się jej nie podobał, to prowokowałaby cię dalej. To nieformalna rozmowa dusz. Taka gra. Ona mówi ci, chodź tu do mnie i mnie poderwij, masz na to moją zgodę.

– Łatwo powiedzieć, gorzej wykonać.

Piotrek westchnął i wzruszył ramionami, widząc jak wiele ciężkiej fizycznej pracy będzie jeszcze musiał włożyć w kształtowanie osobowości kolegi.

– Lekcja numer dwa. Operowanie wzrokiem – kontynuował.

– Słucham?

– Wszystko zależy od tego, jaki chcesz odnieść efekt. Słyszałeś o zasadzie świadomego nawyku?

– Mgliście – odrzekł Adam, podając pani w kasie zakupione produkty.

– Z początku nie masz pojęcia o funkcjonowaniu jakiegoś schematu zachowania się. Jak już go zrozumiesz, starasz się wprowadzić go w życie, ale robisz to w sposób wymuszony i sztuczny, dopiero z czasem zyskujesz w nim płynność i lekkość. Najwyższy stopień wtajemniczenia jest wtedy, kiedy robisz coś instynktownie, bo twoje ciało po prostu wie, jak reagować. To właśnie chcemy osiągnąć. Zrobić z ciebie mistrza karate, który nie zastanawia się, jakiego ciosu za chwilę użyje.

– Co to wszystko ma wspólnego ze wzrokiem?

– Wyobraź sobie, że chcesz uwieść piękną kobietę. Musisz wytrzymać jej wzrok i opuścić go dopiero wtedy, kiedy ona robi to pierwsza. Inaczej zachowasz się w przypadku kobiety brzydkiej z masą kompleksów a jeszcze inaczej przed wymagającym szefem. Wtedy lepiej nie prowokować.

– I co to da, że wytrzymam jej wzrok? – zaintrygował się Adam, płacąc kartą za zakupy.

– Musisz zawsze mieć na względzie profil danej osoby i działać instynktownie. O ile możesz sobie wyobrazić, co myśli osoba podobna do ciebie, to niestety, co dzieje się w umyśle pięknej blondynki, za cholerę nie jesteś w stanie odgadnąć, bo nigdy nią nie byłeś. – Piotrek zachichotał, wyobrażając sobie kolegę jako ślicznotkę w krótkiej spódniczce, w szpilkach i kłębami włosów na nogach i klatce piersiowej.

– A co myśli piękna blondynka? – ciągnął zaciekawiony Adam.

– Ma wielu adoratorów, codziennie boryka się z problemem, jak odrzucić natręta, jak odfiltrować tych nieciekawych, od potencjalnie interesujących.

– No tak, ja raczej nigdy nie zaznam podobnego uczucia – uśmiechnął się Adam, przygryzając wargę. Spakował produkty do reklamówki i wspólnie ruszyli z powrotem do mieszkania Cynarskiego.

– Kiedyś próbowałem poderwać piękną dziewczynę i to co mi powiedziała, zapamiętam sobie na całe życie – ciągnął Cynarski.

Zaręba nadstawił uszu, zaciekawiony opowieścią kolegi.

– Otóż, powiedziała mi, że jeśli jakiś facet jej się spodoba i ona wzrokiem da mu przyzwolenie na poderwanie jej, to daje takiemu amantowi tylko jedną

szansę. Jeśli w przeciągu dziesięciu sekund facet nie pojawi się tuż obok, jest u niej skreślony.

– Dlaczego tak? – dopytywał Adam.

– To jest jej test. Dziewczyna, o której opowiadam jest faktycznie śliczna i może mieć niemal każdego mężczyznę. Po cholerę jej niezdecydowany facet, który zastanawia się, czy do niej podejść.

– A jakiego jeszcze filtru kobiety używają na adoratorach? – zapytał Zaręba.

– Żadnego. Oni sami się najlepiej filtrują – rzucił Cynarski.

– Jak to?

– Normalnie, mniej więcej osiemdziesiąt pięć procent facetów, którzy chcieliby do dziewczyny podejść, po prostu tego nie robi. Ty zasilasz właśnie tę grupę.

– Serio? Myślałem, że niewielu facetów ma takie problemy jak ja – zdziwił się Adam, patrząc na przechodzącą obok brunetkę. Ponieważ mu się nie podobała, wytrzymał jej wzrok, dziwiąc się, jak bardzo wyzywająco kobieta na niego patrzy. To było nowe uczucie, które bardzo się Zarębie spodobało. Po chwili przyszły jednak myśli, że zupełnie czym innym jest kontakt wzrokowy a zupełnie czym innym zainicjowanie rozmowy.

– Ja jestem przypadkiem szczególnym, po prostu boję się kobiet.

– Nie ty jeden, wielu facetów ma ten problem, tylko ty tego nie wiesz i wydaje ci się, że jesteś taki wyjątkowy. Dlatego zadam ci ćwiczenie, które pozwoli ci zrobić pierwszy krok, aby z czasem przejść na tę drugą, mniej liczną stronę męskiej populacji.

– Ćwiczenie? – zdziwił się Zaręba.

– Nie pytaj. Po prostu mi zaufaj. Mogę na ciebie liczyć?

– Dobrze, mów. – Adam przekrzywił szyję niczym ciekawski pies, zastanawiający się, co takiego chce od niego pan.

– Do przyszłego tygodnia podejdziesz do stu różnych osób i zapytasz ich o drogę, albo o godzinę, albo o opinię na temat twojego ubioru, co tylko

chcesz. Mniej istotne jest pytanie, chodzi tylko o to, abyś podszedł i zapytał. Dasz radę to zrobić?

– Sądzę, że tak, jednak nie rozumiem, po co to.

– Zaufaj i wykonaj.

Weszli do klatki schodowej i ruszyli windą na trzecie piętro.

– A co z tymi pozostałymi piętnastoma procentami facetów, którzy podchodzą do pięknej kobiety? – drażył Adam.

– Tu zaczyna się kolejna lekcja. Już ci mówiłem, po pierwsze ważny jest wzrok, musisz go wytrzymać, dzięki temu zostawisz w tyle kolejne kilka procent męskiej populacji.

– Co daje takie utrzymanie wzroku i spuszczenie go zaraz po tym, jak zrobi to kobieta? – zapytał Zaręba, wchodząc za Cynarskim do mieszkania.

– Odpowiem ci pytaniem – Piotr zamknął drzwi i ściągnął buty. – Jak sądzisz, co myśli kobieta, kiedy wytrzymujesz jej wzrok przez kilka sekund?

– Nie mam zielonego pojęcia, ja zwykle zastanawiam się, czy coś ze mną jest nie tak, może mam pryszczka na czole, albo brudne włosy. Choć przed chwilą jak byliśmy w sklepie zastosowałem twoją radę i muszę ci się przyznać, że było to dosyć dziwne, choć miłe doświadczenie.

Cynarski westchnął z bezsilności, poszedł do kuchni i zabrał się za robienie herbaty. Zaręba nie wytrzymał, ruszył za kolegą i wbił w niego wzrok, chcąc uzyskać odpowiedź na zadane pytanie.

– Na mnie to nie działa – uśmiechnął się Cynarski. – Pomyśl chwilę, taka kobieta której wzrok wytrzymasz, myśli sobie, że ten facet jest pewny siebie, nie boi się mnie, ma poczucie własnej wartości, a co za tym idzie, zasługuje na mnie. Rozumiesz?

– Nigdy nie patrzyłem na to z tej strony – stwierdził Adam.

– Bo nie jesteś piękną, długonogą blondynką – roześmiał się Piotr, zalewając wrzątkiem herbatę. – Wiedza o tym, jak myślą inni, to podstawa, aby uzyskać nad nimi przewagę. My chcemy pójść krok dalej i reagować w sposób nieświadomy, mechaniczny na różne ludzkie zachowania. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jakie to ważne i jak bardzo pomoże ci w życiu. Mało kto zadaje

sobie trud, aby studiować zasady ludzkiego zachowania. To jest wiedza praktyczna, a nie książkowa. Pewne sprawy dzieją się na najniższym poziomie podświadomości. Tak zaprogramowała nas natura przez tysiące lat ewolucji, wystarczy poznać te zasady i stajesz się panem świata. – Piotr położył kubek z herbatą na stoliku w salonie, po czym stanął na środku pokoju i wykonał w powietrzu kilka dziwnych gestów przypominających niemrawe próby początkującego adepta taekwondo.

– To wiedza tajemna, magia, którą chciałbym ci dać i to zupełnie za darmo.

– Jestem uczniem czarnoksiężnika? Kiedy egzamin? – zażartował Adam. – Może kupimy czarnego kota i magiczną kulę?

– Całe szczęście człowieka to relacje z innymi ludźmi. Jeśli potrafisz dobrze postępować z drugą osobą, zjednywać ją sobie, to stajesz się panem świata. Zastanów się, daję ci wiedzę, której nikt nie uczy, wykorzystaj tę szansę, bo drugiej możesz już nie mieć.

– Mów dalej, to fascynujące – powiedział Adam, upijając łyk herbaty. Piotr zdawał się posiadać umiejętności, których przez dwadzieścia siedem lat życia nikt Zarębie nie przekazał. Tyle męki i upokorzeń, a wszystko dlatego, że jedni ludzie wiedzą więcej niż inni.

– Wiesz, zrobiono kiedyś ankietę – kontynuował Cynarski – czego żałują umierający ludzie, patrzący na życie z perspektywy wielu lat doświadczenia.

– I czego żalowali? – zapytał Adam, rozsiadając się wygodnie na kanapie.

– Że nie pogłębiali relacji z innymi ludźmi, przede wszystkim z własną rodziną i najbliższymi. A na czym takie pogłębianie relacji polega?

– Na przebywaniu z ludźmi?

– Na odczuwaniu ich potrzeb, na dawaniu im tego, czego najbardziej im brakuje, czyli po prostu twojej uwagi – powiedział Cynarski.

– A żalowali jeszcze czegoś? Ci starszycy z ankiety? – dopytywał Zaręba.

– Tak, że nie rozwijali i realizowali własnych pasji i pragnień, i że mieli w życiu za mało przyjemności. Zawsze odkładali wszystko na potem, czekając na bardziej dogodny moment, który jak na złość nigdy nie przyszedł, bo został brutalnie przerwany przez śmierć, chorobę, albo jakąś tragedię. Dlatego

inwestycja w wiedzę o ludzkich relacjach to najważniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek mógłbym ci dać. Nigdy od nikogo nie dostaniesz niczego cenniejszego.

Słowa Cynarskiego sprawiły, że Zaręba poczuł się tak, jakby ujrzał własny nekrolog w prasie. Był pod ogromnym wrażeniem tego, co dotychczas usłyszał. Jakby po latach jakie przeżył, Piotr wskazał mu nową drogę, obietnicę lepszego świata. Dlaczego nikt wcześniej mu tego nie powiedział? Dlaczego nie mówiono o tym w szkole? A co z rodzicami, którzy powinni podobną wiedzę przekazywać młodym ludziom jako inwestycję w dorosłe życie?

– Zastanawiałeś się kiedyś, co zrobiliby najwięksi, najlepsi, najmądrzejsi tego świata, gdyby zabrać im władzę, pieniądze i wszystko, co posiadają? – ciągnął Cynarski.

Adam tylko wzruszył ramionami.

– Odzyskaliby by wszystko raz jeszcze, od zera, w krótkim czasie. Oczywiście, jeśli tylko tego chcieli. A wiesz dlaczego?

– Nie studiowałem życiorysów znanych i sławnych ludzi. – Zaręba czuł się przybity i przygnębiony, jakby stracił dwadzieścia siedem lat życia i przed chwilą obudził się na nowo.

– To błąd, bo ci właśnie ludzie posiadli wiedzę, potęgę zdobywania wszystkiego, na co tylko mieli ochotę. Ty również możesz tego dokonać, jednak pamiętaj, że sama wiedza to nie wszystko, musisz ją jeszcze wcielić w życie i być absolutnie spójny z tym, co wiesz i myślisz.

Cynarski spojrział na zegarek, jakby sprawdzał ile czasu zostało im jeszcze do wyjścia.

– Wróćmy jeszcze do tego momentu – drążył Adam – kiedy utrzymuję kontakt wzrokowy z dziewczyną. Co z tą pozostałą częścią mężczyzn, którzy przejdą ten etap?

– Dalej jest już tylko magia. Oczywiście istotny jest wygląd zewnętrzny, choć kobiety mniej zwracają na niego uwagę.

– Rozumiem, że nad aspektem mojego wyglądu jeszcze popracujemy? – zapytał Zaręba.

Piotr mruknął coś pod nosem, po czym dodał:

– Ważny jest jeszcze aspekt fizyczności, którego niestety bez pracy nie przeskoczymy.

Na twarzy Zaręby odmalował się wielki znak zapytania.

Cynarski wskazał Adamowi drążek rozporowy rozpostarty we framudze drzwi prowadzących do przedpokoju.

– Spróbuj. Tyle razy, ile możesz.

Na ustach Adama zawitał uśmiech, mimo to podjął wyzwanie. Złapał za drążek i z wielkim trudem uniósł się do góry a następnie opuścił. Kolejne desperackie próby spełzyły na niczym. Oderwał ręce od drążka, rozmasowując odciski.

–Widzisz, siedząc w tych swoich książkach i komputerach zaniedbałeś się fizycznie i ruchowo – podsumował Piotrek.

Adam skrzywił się, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Trochę biegam – wymamrotał wreszcie.

– Nie wiem dlaczego ludziom się wydaje, że można coś osiągnąć bez pracy. Siedzą takie lenie przed telewizorem, nic nie robią i mówią, że im się należy – wtrącił Piotr poirytowany. – Chodzi o siłownię, basen, rower, czy co tam jeszcze lubisz robić. Zrozum jedną rzecz, jeśli czujesz się sprawny, czujesz się pewny siebie i jest ci ze sobą dobrze. Jeśli jest ci ze sobą dobrze, chcesz czuć się jeszcze bardziej sprawny i mocny. To ważny element osobowości, zaryzykuję twierdzenie, że dwadzieścia pięć procent władz umysłowych, fizycznych i ogólnie dobrego samopoczucia zawdzięczamy właśnie ruchowi.

Bezradność Adama, który po raz kolejny tylko wzruszył ramionami, zadziałała na Piotra niczym płachta na byka.

– Kolejna lekcja. Od najbliższego weekendu chodzimy razem na siłownię, przynajmniej sztangę mi potrzymasz – rzucił Cynarski. Pociągnął łyk herbaty, po czym znowu spojrzał na zegarek wiszący na ścianie.

– No dobrze, ale co dalej z tą kobietą? – przerwał Zaręba. Czuł się niczym śledczy, chcący wydobyć z przesłuchiwanego jakąś wielką tajemnicę.

– Zauważyłeś, że to wszystko, co ci mówię, jest jak dżungla. Niczym walka zwierząt o pozycję w stadzie. Znajdź metodę, aby być lepszym.

– Nigdy nie lubiłem tańców godowych, po prostu źle się z tym czuję – stwierdził Adam, przecierając usta.

– Masz się stopniowo zamieniać w samca alfa – wypalił nagle Cynarski. – W przeciwnym wypadku zginiesz, pożarty przez silniejszego.

– Samca alfa? Brzmi jak tani dowcip – roześmiał się Zaręba.

– Spokojnie, to tylko taka metafora, ale daje do myślenia. Samiec alfa wśród ludzi to człowiek inteligentny, myślący, używający cech osobniczych do zdobycia przewagi. Chodzi o to, byś zaczął pracować nad własną osobowością. Czy wiesz, dlaczego jedni ludzie uznawani są za charyzmatycznych, ciągną za sobą tłumy a inni nie?

– Bo mają cechy samca alfa? – zapytał Adam.

– Bo wiedzą, jak ludzie ich postrzegają, bo zachowują się w taki sposób, aby być charyzmatycznym. Z czasem nabywają oczekiwane cechy, jednak nigdy się z nimi nie rodzą, rozumiesz? To jest praca, którą oni po prostu wykonali a inni ludzie nie. Jednak najważniejsza konkluzja z tej lekcji jest taka, że ty też możesz odrobić tę lekcję. Musisz tylko chcieć.

– Rozumiem. A jakie to cechy sprawiają, że ktoś staje się charyzmatyczny?

– Te same, które wyróżniają samca alfa. Cechy przywódcze, własny indywidualny styl. Naucz się brać sprawy w swoje ręce a ludzie zaczną do ciebie łągnąć jak muchy do kupy.

– A co, jeśli podobnie jak ja, ktoś źle się czuje w roli przywódcy? – zapytał Adam, robiąc minę zbitego psa.

– To znowu tylko pewne uogólnienie. Nie musisz być przywódcą, musisz tylko mieć cechy lidera, a to co z nimi zrobisz, to już twoja sprawa. Najważniejsze jest, że dzięki tym cechom zaczniesz żyć i staniesz się szczęśliwym człowiekiem. A teraz uważaj, zdradzę ci największą zaletę, jaką powinien charakteryzować się samiec alfa. Co równie ważne, prawie dla każdej kobiety to chyba najważniejsza cecha mężczyzny. Czy wiesz dlaczego tak dużo par się rozstaje?

– Niezgodność charakterów? Problemy z sexem, dziećmi albo pieniędzmi?

– Pewnie też, jednak najważniejsza jest w tym wszystkim inicjatywa.

– Inicjatywa?

– Tak. Wyobraź sobie grupkę ludzi, czwórkę przyjaciół, siedzą sobie przy piwie, albo na kręglach i rozmawiają. Wyobraź sobie, że jesteś jedną z tych osób.

Adam położył ręce na kolanach i zamknął oczy, wczuwając się w sytuację opisaną przez Piotra.

– Dobrze. Wyobraziłem sobie. I co dalej?

– Następuje krępujące milczenie. Nikt nic nie mówi. Co robisz?

– Nic, czekam, aż ktoś pierwszy się odezwie. Zwykle ciężko idzie mi inicjowanie rozmów, wolę raczej dopowiadać coś od siebie już w trakcie rozmowy – mówił Adam, nie otwierając oczu.

– Dobrze, a teraz zastanów się, co dzieje się w głowach twoich przyjaciół?

– Nie wiem, nie siedzę w ich głowach.

– Otóż dzieje się dokładnie to samo, co w twojej głowie.

– Niemożliwe, przecież niektórzy ludzie mają naturalną skłonność do gadulstwa – zaprotestował Zaręba.

– To nieprawda, oni podejmują inicjatywę, co ty interpretujesz jako ich skłonność do gadulstwa. I teraz zapamiętaj, ten kto podejmuje ciężar tej rozmowy, zostaje zwycięzcą.

– Nie rozumiem, co to ma do rzeczy? – zastanawiał się Adam, otwierając oczy.

– Chodzi o to, że jedni ludzie coś robią, zmieniają świat, myślą się, wstają, idą dalej, znowu się potykają a inni ludzie tylko się temu przyglądają. Zwycięzcami są zawsze ci pierwsi i ta cecha dla kobiet jest najważniejsza. Pamiętasz taką piosenkę zespołu Lombard *Przeżyj to sam?*

– Coś kojarzę – zamyślił się Zaręba, próbując przypomnieć sobie okres w historii Lombardu, kiedy wokalista był mężczyzną. Z zakamarków pamięci był w stanie wydobyć tylko Małgorzatę Ostrowską śpiewającą *Szklaną pogodę*.

– Kobieta chce czuć się bezpiecznie, chce wiedzieć, że w razie czego, to ty przejmiesz inicjatywę, poprowadzisz ją przez życie, będziesz przywódcą, kiedy ona będzie słaba. Oczywiście możesz się pomylić, zablądzić, ale to dużo

lepsze, niż nie podjąć inicjatywy w ogóle. Zapamiętaj to raz na zawsze – Piotr spojrział Adamowi głęboko w oczy, jakby chciał zwrócić koledze uwagę, że słowa, które właśnie wypowiedział są naprawdę ważne.

– To nie takie proste. – Zarębę ogarnęły wątpliwości.

– Wiem. Dlatego jestem tu, aby pomóc ci się przełamać. Zastanów się, tak na szybko, dlaczego nie odzywasz się pierwszy, kiedy zapada milczenie?

– Bo ja wiem, chyba po prostu nie mam nic ciekawego do powiedzenia – rzucił Adam.

– A teraz pomyśl, co takiego mówią ci, którzy jednak się odzywają.

Zaręba myślał przez chwilę, próbując przypomnieć sobie podobne sytuacje, które miały miejsce w jego życiu. W zasadzie nie było ich wiele, zawsze starał się trzymać na uboczu, nie wchodząc w bliższe zażyłości z żadną grupą.

– Nie pamiętam, to musiały być jakieś pierdoły – przyznał ze zdziwieniem.

– Właśnie. To dlaczego twoja pierdoła nie ma być ważniejsza od innych? Wystarczy, że zmusisz się do wypowiedzenia słowa jako pierwszy, a stanie się magia. Nawet nie wyobrażasz sobie, co się dzieje w takiej chwili w głowie twojej i innych.

– To przerażające, niczym jakaś genialna psychologia. Każda mikrosekunda to jak wszechświat, ogromna wiedza. Jak to wszystko ogarnąć? – zachłysnął się Adam. – Dotychczas zawsze działałem intuicyjnie, gdybym analizował każdą sekundę pod kątem tego, co myślą inni, po prostu zwariowałbym.

– Spokojnie. Dlatego masz mnie, żebym służył ci radą. Dam ci wiedzę, która bardzo ci się przyda. Nasz mózg to wielkie narzędzie, używajmy go zatem – Cynarski, niczym zwycięzca, skrzyżował ręce na piersi.

– Dobrze, to co dzieje się w głowach mojej i innych podczas kiedy to ja pierwszy wychodzę z inicjatywą podczas rozmowy? – zapytał podekscytowany Adam.

– Przede wszystkim rośniesz we własnych oczach, stajesz się pewniejszy siebie. W ten sposób budujesz również swoją wartość i zamieniasz w samca alfa. Tak samo odbierają cię inni, podświadomie rejestrują fakt, że to ty pierwszy się odezwałeś a zatem należy cię słuchać. Oczywiście fajnie byłoby, gdybyś miał coś ciekawego do powiedzenia, a nie przynudzał.

– A jakie jeszcze cechy posiada samiec alfa, poza tym, że przejmuje inicjatywę? – dopytywał Zaręba.

– Nie myśli, nie zastanawia się, nie robi podchodów, tylko działa, bo jest pewny swojej wartości.

Odpowiedź Piotra wywołała w Adamie przypływ zwątpienia.

– Mam kolejne pytanie – kontynuował Cynarski – ile razy widziałeś w knajpie gości, którzy stoją z piwem w ręku i patrzą na tańczące piękne kobiety?

– Często. Tak robi większość osób, które znam.

– A dlaczego oni tak robią?

– Bo boją się podejść.

– Właśnie. Dlatego samiec alfa podchodzi, nie zastanawia się, działa.

– Łatwo powiedzieć, gorzej wykonać – stwierdził Adam.

– Spokojnie, wszystko przyjdzie z czasem. Ważna jest twoja indywidualność. Piękna kobieta została poderwana setki, jeśli nie tysiące razy, ona ma już dosyć takich samych facetów, którzy przechwalają się swoimi samochodami, albo kolekcją znaczków albo tym, czego to oni w życiu nie widzieli, albo osiągnęli. Ona wyczuje twoje intencje dużo wcześniej, zanim cokolwiek pomyślisz. My, mężczyźni, nie jesteśmy w stanie konkurować z kobietami intuicją i empatią do drugiego człowieka, jesteśmy z góry skazani na niepowodzenie. Dlatego im mniej w tym wszystkim rozwagi, zastanawiania się a więcej działania, tym więcej korzyści. Takie kobiety, które spławiły w życiu setki, albo nawet tysiące mężczyzn, chcą czegoś innego, i ty masz im to coś dać. Możesz z nią konkurować tylko męskością i siłą, to są dla niej pożądane atrybuty.

– Co takiego ja miałbym dać tym kobietom? – zapytał Adam, który dopiero teraz zreflektował się, że rozmawia z Piotrem już trzecią godzinę.

– Wymyśl, a potem stwórz samego siebie, spraw, abys był inny, niepowtarzalny, charyzmatyczny.

– Sądzisz, że Mahatma Gandhi czy Martin Luter King wymyślili samego siebie? Oni po prostu tacy byli, tacy się urodzili – powiedział Adam.

– To nieprawda, oni spędzili mnóstwo czasu, aby stworzyć własny wizerunek, ten jedyny sposób, w jaki świat ma ich widzieć, choć w środku byli dokładnie tacy jak my, bojaźliwi, strachliwi i niepewni, jednak mimo tego, działali. Oczywiście z czasem wyrobili sobie cechy lidera i robili wszystko automatycznie. Stali się tym, kim chcieli, jednak ta zmiana odbywała się stopniowo, nie wyssali przywództwa z mlekiem matki.

– Czy te zasady, o których mówisz można zastosować do relacji z różnymi ludźmi? – zapytał Adam.

– W pewnym stopniu tak, choć tu potrzeba nieco wyczucia i zmiany podejścia. Przyjdzie jeszcze czas, że wytłumaczę ci to wszystko. Na razie musisz mi obiecać, że odrobisz zadanie domowe, o którym ci mówiłem.

– Obiecuję, obiecuję – wymamrotał Zaręba, który wyglądał niczym uczeń tłumaczący się przed rodzicami z niepowodzenia w szkole.

Piotr spojrzął na zegarek i klasnął w dłoń:

– Czas iść w tango.

ROZDZIAŁ 3

Rafał Trygar wrócił do domu późnym wieczorem, zaprzątnięty myślami związanymi ze sprawą domniemanego zabójstwa Eugeniusza Tadli. Dom na Tarchominie od siedmiu już lat świecił pustkami. Z rzadka komisarz kosił trawnik a żywopłot odgradzający posesję od drogi dojazdowej sąsiadów przypominał równikową dżunglę w miniaturze. Starszy wdowiec imieniem Wacław, mieszkający po drugiej stronie ulicy, wielokrotnie proponował Rafałowi pomoc w ogrodzie, czy choćby wspólnego grilla, jednak Trygar za każdym razem odmawiał, nie chcąc nawiązywać nowych znajomości. Schemat zawsze był podobny, zaprosi się takiego narwanego delikwenta raz czy drugi w gości a potem trudno się od niego uwolnić. Z czasem komisarz zyskał sobie wśród sąsiadów miano odludka i dziwaka.

Wnętrze domu było zapuszczone, część pokoi stała pusta, bo przecież i tak nie miał w nich kto mieszkać. Policjant spał w salonie na kanapie a czas spędzał najczęściej w kuchni, gdzie spożywał posiłki z gotowych produktów kupionych w supermarkecie nieopodal. Jedynym gościem Trygara był Tymon Foltiński, który wpadał czasami z kilkoma piwami sprawdzić, czy przełożony jeszcze żyje i porozmawiać o pracy. Zresztą jakakolwiek dyskusja z Rafałem na inne tematy kończyła się grobowym milczeniem. Nie ulegało wątpliwości, że komisarz ma problemy. Na jakiegokolwiek pytanie dotyczące ich genezy odpowiadał, że tak jest mu dobrze i niczego nie chce w życiu zmieniać.

Żona Anna odeszła siedem lat temu, układając sobie życie z Włochem. Do dzisiaj Rafał nie mógł zrozumieć, jak mogła mu to zrobić. I to po dwudziestu latach małżeństwa. Może nie był nigdy wzorem cnót, a w plebiscycie na najlepszego męża i ojca nie zajęłby nawet miejsca w pierwszej setce, mimo tego uważał, że skoro zbudował dom, spłodził syna i był już prawie gotowy, aby posadzić drzewo, to nie jest z nim aż tak źle.

Jedyny syn wyfrunął z rodzinnego gniazda dosyć wcześnie, bo w wieku zaledwie dziewiętnastu lat. Wojciech Trygar wyjechał na studia logistyczne do Krakowa. Tam poznał żonę, założył rodzinę, a po obronie magisterki, rozpoczął pracę w firmie spedycyjnej. Kilka razy w roku, z poczucia obowiązku, przyjeżdżał do Rafała zobaczyć, czy ten nie zaplątał się jeszcze na śmierć.

Stosunki komisarza z synem od zawsze nie układały się najlepiej. Każda rozmowa zamieniała się w kłótnię o jakieś drobiazgi, a koronnym argumentem Wojciecha, który wytaczał zwykle na koniec rozmowy, było oskarżenie Trygara, że mama odeszła i nie chce utrzymywać żadnych kontaktów z rodziną w Polsce.

W łódźce komisarza rzadko można było znaleźć coś do jedzenia, za to zawsze była tam zgrzewka piwa, potrafiąca wyratować z opresji, kiedy doskwierał gigantyczny kac. W barku w salonie stała kolekcja trunków, z których policjant najbardziej preferował polską czystą wódkę. Ta nigdy go nie zawiodła w przeciwieństwie do zagranicznych wynalazków. Zawsze wieczorem, po przyjściu do domu, Rafał włączał telewizor, nastawiając go na jakiś durny serial, tylko po to, aby sąsiedzi myśleli, że tli się w nim jeszcze życie. Przy flaszeczce mocnego trunku rozmyślał o prowadzonych śledztwach. To one stanowiły jedyny sens istnienia, były czymś w rodzaju starego dobrego przyzwyczajenia, które niczym koło ratunkowe utrzymywało go na powierzchni wody. Przez wiele lat wmawiał sobie, że praca w policji kryminalnej jest potrzebna. Z czasem tak mocno w to uwierzył, że nie śmiał nawet sprzeciwić się myślom, które negowałyby ten fakt. Już trzy lata temu mógłby odejść na emeryturę, jednak co miałby wtedy robić? Ochraniać polityków a może zostać cieciem w ministerstwie? Z drugiej strony ktoś, kto ustalił okres pracy służb mundurowych na piętnaście lat, najwyraźniej wiedział co robi. Zmiany w psychice emerytowanego policjanta kryminalnego były tak duże, że osobnik taki w mniejszym lub większym stopniu miał problemy z funkcjonowaniem w społeczeństwie i pełnieniem obowiązków wzorowego obywatela. Rafał w przypiływie nagłego impulsu, obiecując sobie, że dojdzie wreszcie do ładu z życiem, wychodził w nocy na zewnątrz i niczym w amoku kosił trawnik, przycinał żywopłot, innym razem grabił liście, albo odgarniał

śnieg. Zwykle po godzinie dochodził do wniosku, że to zbyteczne i bezsensowne, bo trawa i tak odrośnie a pracy w ogrodzie nikt nie doceni.

Przez te wszystkie lata Rafał poznał swój organizm na tyle dobrze, że wiedział doskonale, ile może wieczorem wypić, aby nazajutrz w pracy stać na nogach, nie dając po sobie poznać, że zasnął niemal kompletnie pijany. Z tego również powodu zawód policjanta był czymś w rodzaju pasów bezpieczeństwa albo izby wytrzeźwień. Gdzieś w głębi duszy komisarz czuł, że skończyłby bardzo źle, gdyby nie miał motywatora, aby rano wstać i pójść na komendę. I tylko w weekendy pozwalał sobie na dużo więcej. Z tego też powodu Foltiński starał się zabierać Trygara to na ryby, to na mecz, gdzie miał na niego baczenie. Wypijali przy okazji kilka piw, ale było to nic w porównaniu z cugiem alkoholowym, jaki fundował sobie komisarz, spędzając w domu w samotne weekendowe wieczory, o urlopie wypoczynkowym nie wspominając.

Tylko telewizor, w którym głupia blondynka przyjmowała telefony od naiwnych frajerów łudzących się, że wygrają coś w grze w cyferki, był świadkiem upadku człowieka, który reprezentował społeczeństwo, stojąc na straży prawa i porządku.

ROZDZIAŁ 4

Szczupła kobieta z nieobecny wyrazem twarzy przechadzała się alejką. Patrząc na kwitnące drzewa i trawę skoszoną dokładnie na pięć centymetrów, czuła, że wstępuje w nią nowa energia. Siedziała naprzeciwko krzewów bzu, i wdychając woń białych i fioletowych kwiatów, odzyskiwała nadzieję na lepsze jutro. Była niczym wiosna, której po mozolnej walce udało się wreszcie przegnać zimową aurę.

Szędziała w taki sposób całe dni, ogrzewając blade ciało promieniami słońca. W pewnym momencie spłoszyła się, niczym koń, który pierwszy raz w życiu usłyszał armatni wystrzał. Wstała i spojrzała za siebie. Zobaczyła budynek w kolorze ecru, który zgodnie z intencją twórców miał nie budzić negatywnych skojarzeń. Przejechała nerwowo dłońmi po długich włosach i ruszyła w stronę wejścia. Przebiegła obok mężczyzny z twarzą wykrzywioną grymasem cierpienia i zagłębiła się w mrocznym budynku. Przeszła przez korytarz i zapukała do pokoju pielęgniarek. Uchyliła drzwi i wetknęła głowę w szparę.

– Czego? – zapytała tęga kobieta w białym kitlu.

– Czy mogę skorzystać z komputera? – zapytała.

Pielęgniarka spojrzała na sufit, jakby chciała znaleźć na nim odpowiedź. Wreszcie z ociąganiem wyciągnęła z szafki klucz i podała długowłosej.

– Jak się znowu zamkniesz, dostaniesz dożywotni szlaban – dodała.

– Oczywiście. – Kobieta wzięła klucz i ukłoniła się usłudźnie. Ruszyła korytarzem w stronę drzwi z napisem „Pracownia komputerowa”. Stojąc przed wejściem, rozejrzała się, jakby chciała sprawdzić, czy nikt jej nie obserwuje. Otworzyła zamek i zanurkowała do wnętrza. Widok trzech komputerów stojących na stolikach przy ścianie sprawił, że natychmiast się ożywiła. Z niezwykłą wprawą uruchomiła urządzenie, włączyła przeglądarkę internetową i rozpoczęła poszukiwania. Na początek zagłębiła się w lekturę

kronik kryminalnych popularnych dzienników prasowych. Po kilku minutach bezowocnych poszukiwań, natrafiła wreszcie na artykuł opisujący śmierć Eugeniusza Tadli. Z wypiekami na twarzy wczytywała się w opis miejsca zbrodni i okoliczności śmierci ministra Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska. Zależniona i przestraszona dotychczas twarz zmieniła się nie do poznania, w kącikach ust pojawił się cień uśmiechu.

ROZDZIAŁ 5

Marian Suski nigdy nie ukrywał czeskiego pochodzenia. Urodził się w Pradze i tam spędził początkowe dwanaście lat życia. Po śmierci mamy, ojciec znalazł sobie młodszą o jedenaście lat kobietę z Polski i przeprowadził się dla niej do Warszawy, zabierając Suskiego ze sobą. Marian skończył szkołę średnią i dostał się na studia prawnicze a następnie na aplikację prokuratorską. Ojciec, jak na ironię, po rozwodzie z Polką, postanowił wrócić do Czech, twierdząc, że pragnie złożyć kości na ojczystej ziemi. Suski międzyczasie zakochał się w prawnicze, którą poznał w warszawskim sądzie.

Raz na pół roku prokurator pojawiał się na praskich przedmieściach, aby odwiedzić ojca i grób nieżyjącej matki. Spotykali się wówczas w rodzinnym gronie, jedząc, pijąc i wspominając dawne czasy.

Marian Suski wraz z dawnym przyjacielem Petrem Swobodą wyszli na ganek domu, aby pooddychać świeżym powietrzem.

– Przypominam sobie stare czasy – powiedział Marian.

– Pamiętam, choć wcale nie jestem dumny z tego, co robiłem – odpowiedział Petr.

– A co ze Zdenkiem? – zapytał Suski.

– Nie wiem, nie odzywał się do mnie od kilku lat. Słyszałem, że próbował założyć firmę – tłumaczył Swoboda.

– Po tym, jak skończyliśmy z rządowymi sprawami, miał wystarczająco dużo pieniędzy, aby rozkręcić każdy interes, jaki mu się tylko zamarzy.

– Słyszałem, że utopił sporo kasy.

– To przykre. A jak ty sobie radzisz? – zapytał prokurator.

– Odpoczywam, korzystam z życia – Petr nabrał powietrza w płuca.

– Współpracujesz jeszcze z rządem? – zapytał Suski.

– Czasem biorę jakieś zlecenia, aby całkiem nie skapnąć – odpowiedział Petr.

– Trochę brakuje mi tamtych czasów – powiedział Marian. – Gdybyś wiedział, jak ustabilizowane życie teraz prowadzę, byłbyś zdziwiony.

– Jestem zdziwiony – przyznał Swoboda.

ROZDZIAŁ 6

Marzena Gibała przyniosła dwie butelki Reddsa. Uniosła głowę i spojrzała na koleżankę siedzącą na kanapie. Ubrana w obcisłe legginsy i koszulkę z napisem „ZARA szlag mnie trafi” wyglądała bardzo ponętnie. Z Iwoną Strychalską poznały się całkiem niedawno, niemniej jednak od razu przypadły sobie do gustu. Spotykały się raz w tygodniu w piątek, czasem w sobotę, aby omówić tak zwane bieżące sprawy. Kobiety traktowały te babskie pogaduchy jako obowiązkowy katharsis, oczyszczenie po ciężkim tygodniu pracy.

– Przenieśli mnie – zaczęła Marzena.

– Serio? – zapytała Iwona z udawanym entuzjazmem.

Ojcem aspirant Marzeny Gibały był nie kto inny, jak emerytowany komendant główny policji. Dziewczyna dostała się do służb mundurowych mimo nienajlepszych wyników egzaminów i niewielkiej ilości punktów za świadectwo ze szkoły średniej. Oczywiście pomógł wpływowy tatuś. Bo jak odmówić córeczce, która przyglądając się pracy ojca, marzy o ratowaniu świata przed złem. I choć ojciec starał się utrzymać w domu żelazny dryl, nie zauważył, że w którymś momencie jedynaczka zboczyła z drogi zasad. Zamiast studiować ustawę o policji, zajmowała się badaniem zakamarków ciał chłopaków.

W trakcie dotychczasowej trzyletniej kariery w dochodzeniówce, Marzena zdążyła zapracować sobie na reputację „niezłej suczy”. Tatuś oczywiście był głuchy na doniesienia, jakoby córeczka uwodziła policjantów w pracy i porzucała ich, jak stawali się bezużyteczni.

Gibała rozsiadła się na kanapie i pociągnęła łyk żurawinowego piwa. Z wszystkich czterech, jakie oferował producent, ten właśnie smak lubiła najbardziej.

– Mam już dość pieprzonych włamań, kłótni rodzinnych, pijackich burd i całego szamba lejącego się strumieniami z polskich domów – tłumaczyła

aspirant.

Jako młoda dziewczyna, wstępująca do świata policji dochodzeniowej, nie zdawała sobie sprawy, jak wygląda praca szarego funkcjonariusza. Na jednego pracownika komendy rejonowej Mokotów, Ursynów, Wilanów przypadało od trzydziestu do czterdziestu spraw. Zdarzały się okresy, kiedy Gibała miała ich nawet pięćdziesiąt. Każdy dzień wyglądał dokładnie tak samo. Z samego rana należało odebrać z recepcji pocztę. Następnie włożyć ją do zamykanej szuflady w biurku. Potem uruchomić komputer i udać się do kuchni, aby przygotować kawę. Stary PC-et, który zdążył się już trzykrotnie zamortyzować, włączał się dokładnie piętnaście minut i trzydzieści osiem sekund. Po wypiciu kilku łyków kawy, pojawiał się upragniony ekran logowania. Kolejne pięć minut trwało uruchomienie aplikacji do obsługi spraw procesowych. System był scentralizowany, co i tak było nie lada wyczynem, bo zaledwie dekadę temu cała dokumentacja krążyła w papierowym obiegu.

Priorytet miały sprawy świecące się w systemie na czerwono, czyli te z największą liczbą dni zaległości. Marzena działała jak automat. Nie musiała nawet czytać krótkiego streszczenia zdarzenia, ponieważ po samej sygnaturze wiedziała, co będzie robić przez najbliższą godzinę – próba włamania do sklepu monopolowego.

Nietrzeźwy sprawca przy pomocy cegły wybił szybę z zamiarem wtargnięcia do wnętrza. Na szczęście został powstrzymany przez równie nietrzeźwych kolegów. Należało wypisać wniosek do archiwum o wydanie przedmiotu sprawy. Potem pobrać cegłę, zmierzyć ją, zważyć i szczegółowo opisać. Następnie na powrót zabezpieczyć przedmiot i złożyć go w archiwum. W systemie oznaczyć odpowiedni status. Pozostawało jeszcze napisać wniosek do sądu rejonowego do sekcji do spraw wykroczeń i można było wybrać kolejną sprawę brzmiającą – kłótnia domowa z uszkodzeniem ciała.

Gdzieś w okolicy czwartku Marzenie zdawało się, że jest cyborgiem stworzonym do powtarzania tych samych bzdurnych czynności. Robota była ogłupiająca. Do lamusa można było odłożyć marzenia o policyjnym dochodzeniu, szukaniu śladów, wiązaniu faktów i na końcu złapaniu

przestępcy. Gdzie poczucie, że funkcjonariusz dochodzeniówki, niczym anioł, przybył na Ziemię, aby walczyć ze złem?

– Przecież w kryminalnych będzie jeszcze gorzej – zdziwiła się Iwona.

– Chcę się sama przekonać, jaka jest prawda. Różne rzeczy słyszałam. Żałować można tylko tego, czego się nie spróbowało – tłumaczyła Marzena.

Nastała krępująca cisza.

– A jak narzeczony? – wtrąciła Gibała.

– Który? – uśmiechnęła się Iwona.

Gibała westchnęła. Dopiła piwo i udała się do kuchni po dwie nowe butelki.

ROZDZIAŁ 7

Dwójka kolegów trafiła do klubu Equilibrium, małej knajpki przy Alejach Niepodległości na warszawskim Mokotowie. Atmosfera w pubie zdawała się mało zachęcająca, dwa małe pomieszczenia, w których niczym w ulu gnieździł się rój studentów. Piotrek nie zatrzymał się w głównej części lokalu, tylko poprowadził Adama korytarzem w głąb, gdzie za kotarą ukryty był pokój.

I wtedy Zaręba przeżył olśnienie. To była jedna z tych chwil, które pamięta się do końca życia. Na niewielkim parkiecie połączeni w dziwnym uścisku, niczym kobry wijące się do muzyki czarodziejskiego fletu, tańczyło może dziesięć par. Kobiety uległe w zwiewnych krótkich sukienkach, mężczyźni dominujący, ubrani w szerokie spodnie i taneczne buty z białymi albo czerwonymi wstawkami. One, co chwilę zatrzymywały się, wykonując serie kopnięć i wywichnięć. Wiły się wokół partnerów, krocząc powabnie niczym łabędzie, innym znowu razem drapieźnie i agresywnie jak pantery. Dwa połączone w ruchu ciała stanowiły jedność. Przyciemnione światła i rzewna muzyka, z bandoneonem dominującym nad pozostałymi instrumentami. Wszystko to hipnotyzowało, nadając całości tajemniczy i nieco mistyczny charakter. Przy stolikach wokół parkietu siedziały samotne kobiety, wyczekujące, aż któryś z mężczyzn podejdzie i, wzrokiem mogącym stopić stal, zaprosi ją do namiętnego tańca. Cała scena na parkiecie przypominała Adamowi zwierzęcy taniec godowy, dawało się wyczuć w powietrzu seksualną energię. To było niesamowite a jednocześnie tak pierwotne doznanie, że Zaręba stał w przejściu, gapiąc się niczym cielę w pisanekę. Piotrek złapał kolegę za koszulę, pociągnął za sobą i posadził przy jednym ze stolików.

– Co weźmiemy? Piwo? – zapytał oszołomiony Adam, który co prawda rzadko przebywał w podobnych miejscach, ale z tego, co pamiętał, należało przede wszystkim zamówić jakiś wysokoprocentowy trunek, a potem starać się wyluzować.

Piotrek roześmiał się głupkowato, podsumowując fatalny pomysł kolegi.

– Kolejna lekcja. Wyobraź sobie, że jesteś piękną kobietą.

Adam wczuł się w rolę i zatrzepotał rzęsami.

– Jak byś się poczuła, gdyby cudowny mężczyzna, który poprosił cię do namiętnego tanga zionąłby wonią przetrawionego piwka?

– Fakt – przytaknął Adam.

– Zamów sobie soczek i przyglądaj się.

Adam mruknął z aprobatą. Picie alkoholu przed jutrzejszymi ważnymi egzaminami zdawało się niezbyt dobrym pomysłem.

– Weź tik-taka – powiedział Cynarski, wyciągając z kieszeni pastylki. Piotr wręczył Adamowi małego cukierka, po czym dodał:

– Po namiętym tańcu, jakim jest tango, kobieta będzie wodzić za tobą wzrokiem, niemal błagając cię o kolejny raz, a ty, cóż, po prostu zatańczysz z inną pięknoscią. A nagrodą dla najlepszej dziewczyny, będzie zaproszenie jej do twojego stolika. Kto wie, może nawet coś się z tego rozwinie, ale to już temat na kolejną lekcję. – Na ustach Piotra zawiał szczery uśmiech, z którego można było wyczytać nieczyste myśli. – A tak przy okazji, ilu ludzi zapytałeś o godzinę? – wtrącił Cynarski.

– Na razie nikogo – wymamrotał Adam, który poczuł ukłucie zazdrości w żołądku. Tęsknił za piotrową lekkością w nawiązywaniu kontaktów.

– Lekcja na dzisiaj, to patrzeć się na mnie i zapamiętać jak najwięcej. Potem cię przepytam, jakie wyciągnąłeś dla siebie wnioski – powiedział Cynarski.

Piotr był tancerzem doskonałym a przynajmniej tak się niewprawnemu oku Adama wydawało. Każda partnerka, którą zapraszał, zdawała się jakby zlewać z nim w jedną całość. To było tango dwojga ludzi, intymna relacja i rozmowa bez słów, na jakiejś podświadomej emocjonalnej płaszczyźnie. Z racji niewielkiej ilości miejsca na parkiecie pary, wykonywały małe kroczyki, niemalże w miejscu, czasami obracały się, szły do przodu, do tyłu, z rzadka wykonując jakieś figury. Wszystko to wyglądało zjawiskowo. Piotr, ten sam kogucik, cwaniak i wieczny wiercipięta, który rzucał w klasie papierowymi kulkami, teraz wyglądał jak prawdziwy mężczyzna, twardy, dominujący

i przede wszystkim szarmancki. Po każdej tandzie, trwającej trzy, albo cztery melodie, odprowadzał kobietę na miejsce i prosił następną partnerkę. Z jednej strony był naprężony niczym struna, z drugiej zdawał się spokojny i rozluźniony. Człowiek miał ochotę pójść za nim w ogień, emanował formą magnetyzmu, energii obezwładniającej ludzi. Większość kobiet pożerała go wzrokiem, snując smętne spojrzenia, jakby wspominając te krótkie chwile, kiedy trzymał je w objęciach. W każdej przerwie Piotrek podchodził do stolika Adama, rzucał jakieś hasło, albo wymieniali kilka zdań, których analiza zajmowała Zarębie następne kilkanaście minut.

Im dłużej Adam patrzył na kolegę, tym większego nabierał do niego szacunku, widząc w nim człowieka szczęśliwego, charyzmatycznego a przede wszystkim żyjącego na sto procent. Właśnie kogoś takiego, kim sam chciałby się kiedyś stać. Niczym honorowy rycerz, albo dumny król, który na łożu śmierci traci wszystko, co materialne, a jedyne co mu pozostaje, to duma, poczucie własnej wartości i ironia wobec przemijania i śmierci.

– Widzisz tę piękną samotną kobietę siedzącą przy tamtym stoliku? – rzucił Adam.

Piotr spojrział dyskretnie i aż zaniemówił z wrażenia, kobieta była wysoka, zgrabna, jasne blond włosy spływały na ramiona, idealnie komponując się z pełnymi policzkami i mocną szczęką.

– Tak, widzę ją – powiedział Adam niepewnym głosem.

– To sekretarka naszego prezesa – stwierdził Piotr.

– Prezesa SpecialBanku?

– Samego Arkadiusza Malinowskiego. Niezła laska. Jeszcze nie miałem okazji z nią porozmawiać, ale chyba nie przepuszczę takiej okazji – zatarł ręce Cynarski.

– Czy to dobry pomysł? – zapytał Adam.

– Zaraz zaczną się tandy milongi a potem walczyka. Te układy i figury – kontynuował – które tańczą na parkiecie, nazywają się salida, sakada i oculo paratras, spróbuj się przyglądać i coś zapamiętać, potem przyjdzie czas na praktykę.

– Postaram się – westchnął Zaręba, wzruszając ramionami z bezsilnością.

– Drugie zadanie dla ciebie, to zastanowić się, co te kobiety sobie myślą, kiedy na mnie patrzą. Przyjdę w kolejnej przerwie i poproszę cię o odpowiedź.

Piotr wrócił na parkiet i zaprosił do tańca piękną sekretarkę prezesa SpecialBanku. Widać było, że o czymś rozmawiają, a między nimi wytwarza się rodzaj poświaty, osłony otaczającej ich ciała niewidzialną energią. Po czterech utworach Cynarski wrócił do stolika, aby uzupełnić płyny.

– Zapamiętaj sobie jedną rzecz – zaczął. – To, co wmawiali ci przez całe życie w związku z kobietami, to jedno wierutne kłamstwo.

– A co dokładnie? – zainteresował się Adam.

– Mit, że kobieta jest z natury nieśmiała, brak jej popędu seksualnego, jest rodzinna, poukładana i w ogóle jest księżniczką czekającą na księcia z bajki.

– A nie jest tak?

– Pierwszą, najistotniejszą rzeczą jest to, że ona sama do końca nie wie, czego chce. To wynika z kobiecej natury i faktu, że jest istotą stricte emocjonalną. Spróbuj zrozumieć emocje, one albo są, albo ich nie ma. To bardzo ważna cecha płci pięknej, ale o tym opowiem ci kiedy indziej. Przede wszystkim one chcą, abyś myślał, że jest tak, jak wmawiano ci od dzieciństwa. Jeśli jednak pokażesz jej, że wiesz, co ona myśli, jak układa sobie wszystko w głowie, zyskasz nad nią przewagę, obedrzesz ją z obłudy i kłamstwa, za którą tak skrzętnie się ukrywa.

– To co taka kobieta sobie myśli? – zapytał Adam zaciekawiony.

– Tak w najprostszych słowach, dokładnie to samo, co ty. Ona również ma słabości, ma słabości i instynkty odziedziczone po przodkach, które kierują jej życiem.

Adam siedział zaciekawiony, i marszcząc brwi, spoglądał na Piotrka z podejrzliwością wymalowaną na twarzy.

– Niemożliwe – wymamrotał wreszcie, przypominając sobie wszystkie nieczyste myśli, które miewał o kobietach. Nigdy nie starczyło mu odwagi, aby choć zagadnąć jakąś dziewczynę, nie mówiąc już o realizacji sprośnych marzeń.

– Powiedz, co sądzisz o tamtej ślicznotce siedzącej przy stoliku, ale szczerze, bez żadnych ogródek i zahamowań – prowokował Piotr.

Adam zaczerwienił się.

– Mów, też jestem mężczyzną i gwarantuje ci, że nasze myśli są niemalże identyczne. Mogę sobie wyobrazić, co byś z nią zrobił. Jeśli chcesz, powiem to za ciebie.

Piotr widząc, jak bardzo kolega jest skrępowany, wypowiedział wiązanke niecenzuralnych słów, które w sposób doskonały odzwierciedlały myśli Adama.

– Najpierw byś ją rozebrał, napawając się pięknem jej ciała. Potem zdjąłbyś ubranie z siebie i włożył swój interes w jej usta a później zerznął mocno na tym stoliku, przy którym siedzi i kokietuje. Pamiętałaby to ruchanie do końca życia. Zaoszczędzę ci szczegółów, bo dokładnie wiem, że widzisz to wszystko w swojej głowie.

– Zgadłeś – Adam zaczerwienił się jeszcze bardziej, nie chcąc zdradzać Piotrowi, że w zasadzie, to nigdy jeszcze nie był z żadną kobietą. – Właśnie coś takiego chodzi mi po głowie. Nigdy jednak nie uwierzę, że ona myśli to samo. Przecież w książkach, filmach, opowieściach, wszędzie tłumaczą, że kobieta jest zmysłowa, emocjonalna, nie myśli o seksie, nie jest jak ten byk rozplodowy, który tylko czyha na okazję.

– Zapytam cię inaczej, czy kiedykolwiek miałeś możliwość zweryfikować te poglądy?

– W zasadzie nie – przyznał Adam.

– A czy zawsze wierzysz w to, co powiedzą inni, albo napiszą w książce?

– Jeśli mówią mi to większość, to zazwyczaj wierzę.

– Ten pogląd, to moim zdaniem jedna z największych mistyfikacji w dziejach ludzkości. Zapamiętaj jedno, powinieneś wierzyć przede wszystkim własnej intuicji – zawyrokował Piotr. – A teraz posłuchaj mnie uważnie, bo to, co powiem, może być najważniejszą lekcją w całym twoim życiu.

Zaręba nachylił się w stronę kolegi.

– Kobieta myśli to samo, co ty, jednak z pewnymi drobnymi różnicami. Dla niej ważna jest otoczka, sceneria, szczegóły, teatr i gra. Finał, o którym ty marzysz, jest u niej tylko zwieńczeniem całej tej szopki, czubkiem góry lodowej.

– Szopki? Czubkiem?

Piotr mruknął potakująco.

– O co ci chodzi? – zainteresował się Zaręba.

– Opiszę ci myśli tej pięknej kobiety naprzeciwno. Ona marzy o tym, aby przystojny mężczyzna szarmancko zaprosił ją do tańca, uwodził wzrokiem, wabił gestami, elektryzował, niemalże pożerał jej ciało, ocierał się zmysłowo, aby mogła powoli nabierać ochoty na więcej. Potem chce, aby on poszedł dalej, bez zahamowań, bez uprzedzeń, chce mieć pretekst, aby puściły w niej wewnętrzne hamulce i stopiły się opory. Potem ona rzuci się na niego, dając mu takie doznania, o jakich jemu nigdy się nie śniło.

– Nie wierzę ci. To pewnie te puszczalskie tak myślą – zaoponował Adam.

Piotr zamyślił się, próbując poukładać sobie coś w głowie, wreszcie powiedział:

– Mam do ciebie pytanie – zaczął, niczym wytrawny nauczyciel.

– Słucham.

– Jak często wyobrażenia, twoje myśli albo sny konfrontują się z rzeczywistością?

Pytanie nieco zaskoczyło Adama, odpowiedział jednak dosyć szybko.

– Oczywiście wyobrażenia zawsze wygrywa, zwykle nawet najwspanialsze momenty, o których myślałem miesiącami ostatecznie sprowadzają się do kilku banałów, uścisków ręki, prozaicznych czynności niewartych zachodu.

– Właśnie, a teraz odpowiedz mi, dlaczego czasami mamy wrażenie, że uczestniczymy w czymś wielkim, zdajemy sobie sprawę, że rzeczywistość nagle urasta do rangi wyobrażenia? – ciągnął Piotrek.

– Masz na myśli te chwile uniesienia, kiedy czujemy, że złapaliśmy Pana Boga za nogi?

– Właśnie. Koncert ulubionego wykonawcy, widok krajobrazu z pięciotysięcznika, wzruszenie podczas doskonałego filmu, albo nawet podziw dla czynów wspaniałego człowieka. Czy zastanawiałeś się, dlaczego te rzeczy wzbudzają taki zachwyt?

– Nie wiem, trudno powiedzieć.

– Rozczaruję cię, mój drogi, one wszystkie dlatego są takie wspaniałe, bo wcześniej ktoś włożył mnóstwo pracy, żebyś ty mógł przez kilka sekund odczuć wrażenie piękna.

– Nie kapuję – wzruszył ramionami Adam.

– Piękny obraz malowany był przez malarza długie miesiące, biedak nie spał po nocach, włożył w dzieło cały swój talent, którego uczył się latami, żebyś ty mógł podziwiać wynik. Tak samo pisarz, włożył mnóstwo pracy w swoją książkę, podobnie każdy inny artysta, czy architekt.

– A przyroda?

– Nawet nie wiesz, ile milionów lat pracowała na to, byś teraz mógł się zachwycać górami, morzem, lasami i światem zwierząt i roślin.

– Rozumiem – powiedział Adam. – Choć nie wiem, do czego zmierzasz.

– Chodzi mi o to, że musisz włożyć wiele pracy, wiele zachodu w to, żeby twoje zachowanie, lekkość bytu zdawała się naturalna, niewymuszona. Podam ci kilka przykładów. Jak sprawić, by kobieta, tańcząc z tobą, czuła do ciebie coraz większy popęd seksualny, nawet jeśli na początku nie wzbudziłeś u niej większego zainteresowania?

– Czy to czasem nie działa jak instynkt? Albo się komuś podobasz, albo nie. Jest piorun miłości, albo żegnaj – powiedział Zaręba.

– Wmówiono ci głupoty, wystarczy, że tańcząc z kobietą, co jakiś czas otrzesz się o jej krocze, po prostu wsuniesz udo albo kolano między jej nogi, co w tańcu nie jest niczym szczególnym, a gwarantuje ci, że po dziesięciu minutach ona będzie patrzeć na ciebie jak na obiekt pożądania seksualnego. Warto jeszcze ocierać się o jej pośladki, kiedy poczuje coś dziwnie twardego, co ociera się o jej pupę, będzie zachwycona. Ważna jest również postawa, męskie ruchy, prowadzenie, w żadnym wypadku miękka ręka i tak zwana ciapciowatość, co zresztą jest zasadą w całym życiu, ale o tym już ci mówiłem, inicjatywa i zachowanie samca alfa.

– Ale to zaprzeczenie wiedzy, jaką dotychczas mi wpajano. Mam tak nagle uwierzyć we wszystko, co mówisz?

– Zróbmy eksperyment – zaproponował Cynarski.

– Eksperyment? – zdziwił się Zaręba.

– Niemal każda dorosła kobieta w trakcie owulacji ma straszną ochotę na seks. To nic wielkiego, tak ją w końcu zaprogramowała natura.

Adam uniósł brwi.

– A teraz uważaj. Mogę z dziewięćdziesięcioprocentową skutecznością powiedzieć, która z kobiet na tej sali ma owulację, lub jest chwilę po niej – rzucił Piotrek.

Brwi Adama powędrowały tak wysoko, że jeszcze trochę i połączyłyby się z włosami.

– A skąd niby będziesz o tym wiedział?

– Zapach, mój drogi, zapach. Kobiety co prawda maskują go litrami perfum, jednak pewnych subtelnosci nie da się przeoczyć. Bliskość tańca to doskonała okazja, aby poczuć te kobiece wonie.

– Ale przecież to jest jawne wykorzystywanie sytuacji. Taka kobieta przecież jest łatwym łupem – zaprotestował Zaręba.

– Wiedza, mój kochany, to potęga. Od ciebie tylko zależy, co zechcesz z nią zrobić – Cynarski wyszczerzył zęby.

Zaręba potrząsnął głową niczym pies po kąpielu.

– Oczywiście to, co ci mówię, może się nie zawsze sprawdzić. Mniej więcej do szesnastego roku życia dziewczynki faktycznie nie czują popędu seksualnego, za to ich rówieśnicy aż kipią testosteronem, na szczęście później się to wyrównuje. Z czasem kobiety mają jeszcze więcej ochoty na seks niż mężczyźni. Co gorsze, potrafią być bardziej wyuzdane i perwersyjne, no i mają dużo lepszą wyobraźnię. Nie masz nawet pojęcia, jak nieprawdopodobne sceny wyobraża sobie przeciętna kobieta.

– Przykłady? – prowokował zaintrygowany Adam.

Piotr uśmiechnął się głupekowato, po czym ruszył w tango, zostawiając kolegę w najciekawszym momencie wykładu. Po raz drugi poprosił sekretarkę prezesa na parkiet, hipnotyzował ją wzrokiem, ocierał się i kusił. Po ruchach dziewczyny, widać było, że jest coraz bardziej pobudzona, w ostatnim kulminacyjnym momencie Piotr przerwał, odprowadzając kobietę do stolika. Widać było niedosyt odmalowujący się na jej twarzy.

Wrócił do Zaręby, aby dokończyć prelekcję. Adam w tym czasie siedział podekscytowany, czując, że coś zmienia się w jego mentalności i postrzeganiu kobiet. Jeśli nawet tylko część z tego, co mówił Piotr było prawdą, to dotychczasową wiedzę o świecie płci pięknej można było między bajki włożyć.

– Marzyłeś kiedyś o przemocy w trakcie seksu? One tego pragną, oczywiście to wszystko jest tylko w sferach ich marzeń, jednak jeśli poczują, że mogą ci zaufać, wtedy człowieku, strzeż się kobiety... nawet nie wiesz, co taka kotka może ci zrobić.

– Co takiego? – Adam poczuł się zaszokowany wypowiedzią Piotra. Próbował niegdyś przeczytać *Pięćdziesiąt twarzy Greya*, zrezygnował jednak zażenowany jakością lektury.

– Klapsy, bicze, pejcze, lekkie uderzanie to tylko niewinne igraszki. Gwarantuje ci, że duża część kobiet ma takie erotyczne marzenia. Nie mówiąc już o innych wyuzdanych fanaberiach, o których ci się nawet nie śniło.

– Sądziłem, że to wytwory męskiej wyobraźni. Jak to możliwe, żeby kobiety o czymś takim marzyły? – dziwił się Zaręba.

– Normalnie, one mają dużo więcej przyjemności z seksu niż mężczyźni, oczywiście pod warunkiem, że ktoś potrafi na nich dobrze zagrać i rozpoznać subtelności ich ciała.

– Zagrać? – zapytał Adam.

– Kilka rodzajów dłuższych niż u mężczyzn i wielokrotnych orgazmów, przynajmniej trzy razy więcej stref erogennych na ciele. Czy mam wymieniać dalej? Mężczyźni w porównaniu z kobietami dostali z erotycznego tortu doznań może dziesięć procent. Uważam, że to jawna niesprawiedliwość. Zastanów się również, czy będąc kobietą i mając takie możliwości, nie pragnąłbyś seksu, przeżywania ekstatycznych doznań? Oczywiście, pod warunkiem, że wyzwolisz się z kajdan pruderii, konwenansów i umowy społecznej trzymającej w ryzach. Na szczęście pozostaje jeszcze instykt, którym kobieta zwykle się kieruje. A ten na szczęście zawsze jej powie, co biedaczka ma zrobić.

– Co masz na myśli? – zapytał Adam, któremu wypowiedzi kolegi wydawały się coraz bardziej enigmatyczne.

– W jej głowie toczy się istna batalia między rozumem a uczuciami, na szczęście zwykle wygrywają emocje i instynkt. Musisz tylko wiedzieć, na jakich pierwotnych nutach zagrać, a zawsze postawisz na swoim.

– Przecież to manipulacja – zaprotestował Zaręba.

– Naiwny jesteś, całe życie jest grą, manipulacją, żyjemy między ludźmi, a nie przedmiotami – stwierdził Zaręba.

– Czy tak można?

– Oczywiście, że można. Pamiętaj, że jakość życia, to relacje z innymi ludźmi. Twoje szczęście, poczucie celu, cały wachlarz potrzeb, jest w drugim człowieku. Jeśli potrafisz sprawić, że inni czują się dobrze w twoim towarzystwie, to oznacza, że jesteś zwycięzcą.

– Dobrze – przerwał Adam – jeśli nawet masz rację, to dlaczego kobiety nie parzą się wszędzie, gdzie to tylko możliwe, dlaczego nie rzucają się na nas mężczyzn, niczym wygłodniałe zwierzęta?

– I tutaj cię zaskoczę. Zapamiętaj to, co mówię do końca życia, a już nigdy nie zabraknie pięknych kobiet u twego boku.

Oczy Adama zrobiły się wielkie niczym księżycy w pełni.

– Chodzi o reputację.

– Reputację? – zdziwił się Zaręba.

– Dokładnie. Zastanów się, co pomyśleliby jej znajomi, rodzina, przyjaciele, gdyby taka kobietka puszczała się, gdzie popadnie.

– Rozumiem – przytaknął Adam.

– Ale daj jej tylko szansę, pokaż, że ci się podoba, a później zapewnij jej intymność i poczucie bezpieczeństwa, a zobaczysz, do czego zdolne są kobiety. Spraw, aby nikt nie dowiedział się o waszym romansie. Nawet nie wiesz, co one potrafią, kiedy poczują, że są bezkarne, że nie zostanie nadszarpnięta ich reputacja, że nie grozi im niechciana ciąża. Idź, szepnij jej do ucha, napisz liścik, spraw, aby nikt się nie dowiedział, a masz dziewięćdziesiąt procent szans, że spełni się twój scenariusz. Zapamiętaj, reputacja to ogromna siła. Jeśli ona zaprosi cię do łóżka, wtedy zyskasz w jej oczach o dwieście procent, tak działa ten mechanizm, ona sama utwierdzi się w przekonaniu, że skoro cię

wybrała, to musisz być wyjątkowy. Nie zada sobie pytania, jak to się stało, że znaleźliście się niepostrzeżenie razem, w intymnej sytuacji. Prędkiej wytłumaczy to sobie opatrnością, albo przeznaczeniem niż twoim celowym wyrachowanym działaniem. Pamiętaj, ona da ci tyle, ile sobie weźmiesz.

Piotr uciekł na parkiet a Adam pozostał sam na sam z własnymi myślami. Sam już nie wiedział, czy martwić się jutrzejszymi egzaminami kompetencyjnymi do pracy, czy może próbować przetrwać wiedzę zaserwowaną mu przez Piotrką. Jedno nie ulegało wątpliwości, warszawski świat zaczęła wciągać jak narkotyk, po raz pierwszy poczuł, że jego życie może odmienić się na zawsze.

Cynarski, po kolejnej tandzie, zaprosił sekretarkę prezesa do stolika, jednak nie do tego, przy którym siedział Zaręba. Może się go wstydził, albo bał, że kolega strzeli jakąś gafę i spali całe misternie budowane napięcie? Rozmawiali przez kilkanaście minut, wreszcie Piotr odprowadził kobietę do taksówki stojącej przed lokalem, sam zaś wrócił po kolegę, czującego się nieco samotnie.

– Ma na imię Alicja Kownacka, dała mi numer telefonu, umówiliśmy się na randkę – uśmiechnął się zawadiacko. – Tak właśnie to się robi.

– Igrasz z ogniem, sekretarka prezesa to nie najlepszy obiekt podrywu. Będą z tego jeszcze kłopoty – skonkludował Adam.

– A czym byłoby życie bez kłopotów? – rzucił Cynarski.

ROZDZIAŁ 8

Policjanci po wypiciu kawy dowcipkowali. Dzisiejszy poranek zapowiadał się nieco inaczej niż pozostałe. Wszyscy oczekiwali na przybycie świeżaka. Średnio raz w roku pojawiał się nowy funkcjonariusz, który po trzech próbnych miesiącach rezygnował, prosząc, aby oddelegowano go na poprzednie stanowisko pracy.

Jakże wielkie było zdziwienie policjantów, kiedy w progu komendy pojawiła się Marzena Gibała. Ubrana była w obcisłą niebieską spódnicę, pod którą dumnie przeżyły się pośladki. Bluzka choć skromna, miała odpięte dwa górne guziki, aby ponętny dekolt nie uszedł czasem uwadze gawiedzi. Czarne długie włosy związane w kucyk upodabniały dziewczynę do uczennicy, która przyszła na pierwsze zajęcia w nowej szkole. Nieco zagubionej, choć pełnej nadziei i wiary w przyszłość.

– Kim pani jest? – zapytał Foltynski.

– Aspirant Marzena Gibała. Teraz już chyba... policja kryminalna.

Trygarowi zapaliła się w głowie czerwona lampka, ponieważ wymienione przez dziewczynę nazwisko w policyjnym światku mówiło aż nazbyt wiele.

– Ten Gibała? – upewnił się Rafał.

– Ten sam – dziewczyna obdarowała Trygara szerokim uśmiechem. – Sami przystojniacy na tej komendzie. Mam nadzieję, że pomożecie mi przetrwać pierwszy dzień w pracy – kokietowała.

– Dziecko – rzucił Foltynski. – Założę się, że za miesiąc cię tu nie będzie.

– Przyjmuję zakład – odpowiedziała Marzena wyzywająco, po czym udała się do pokoju komendanta.

– Zamarzyła się córeczce kariera kryminalnego psa – stwierdził Tymon, na tyle jednak cicho, aby policjantka go nie usłyszała. Nie był może tak starym

wyjadaczem jak Trygar, niemniej po roku spędzonym w kryminalnym piekielku, wiedział, że kobiety po prostu nie nadają się do tej pracy.

– Wsadzimy ją w papierkową robotę, żeby się przez rok nie wygrzebała? – zapytał Foltyński, zwracając się w stronę komisarza.

– Nieee – urwał Trygar. – Chcesz przegrać zakład? Wyślemy ją na front, żeby zwiotczała. Za tydzień będzie po wszystkim – stwierdził Rafał z zadowoleniem.

– Nie doniesie tatusiowi? – zapytał Foltyński.

Trygar wypuścił głośno powietrze.

Po dwudziestu minutach z pokoju komendanta wyszła zadowolona Marzena Gibała.

– Komendant powiedział, że mam wam pomagać – rzuciła rezolutnie, podchodząc do Trygara. – To co? Kiedy zaczynamy?

– Jeśli będziesz pracowała tak starannie, jak przygotowujesz makijaż, to wróżę ci świetlaną karierę – powiedział Foltyński, po czym ruszył za Trygarem w kierunku wyjścia.

Policjanci weszli do budynku zakładu medycyny sądowej. Zgodnie z obowiązującą procedurą, założyli białe fartuchy, buty ochronne i maski, po czym ruszyli w kierunku chłodni z dziwnym przecuciem, że dzisiejszy dzień nie będzie należał do najprzyjemniejszych w ich życiu.

– Co my tu robimy? – Marzena nie kryła zdenerwowania.

– Pracujemy – urwał Trygar.

Marian Suski i lekarz byli już na miejscu. Prokurator, widząc nową funkcjonariuszkę, przywitał się oschle. Wszyscy razem ruszyli do pomieszczenia sekcyjnego, gdzie pod przykryciem leżało ciało Eugeniusza Tadli. Tymon nie znosił miejsc, w których unosił się trupi odór. Dobrze pamiętał wydarzenie, kiedy będąc jeszcze niedoświadczonym policjantem, przyszedł na sekcję zwłok w skórzanej kurtce. Nie mógł później zrozumieć, dlaczego wszyscy ludzie w metrze trzymają się od niego z daleka, otaczając go szerokim łukiem, jakby był trędowaty. Dopiero żona uświadomiła go, że śmierdzi trupem. No i drogie ubranie wylądowało w koszu. Od tamtego dnia Tymon bardzo pieczołowicie przygotowywał się do wizyty w zakładzie

medycyny sądowej, ubierając najgorsze ubrania, które w razie czego można byłoby bez żalu wyrzucić do kosza.

Za każdym razem, widząc zmarłego, Foltiński zastanawiał się, jak wiele dzieli żywego człowieka, dowcipkującego, poruszającego rękami i nogami, od kawałka mięsa leżącego beładnie na stole sekcyjnym, ze szwami ciągniętymi się przez całą długość brzucha, o sinej, nieobecnej twarzy, przypominającej obrzydliwą maskę odlaną z lateksu. Grube ręce i nogi wisały beładnie niczym bydlęce tusze, długie wampirze paznokcie na rękach przerażały podwójnie, jakby jakaś część organizmu odpowiedzialnego za wzrost komórek nie zorientowała się, że mózg właściciela od dawna już nie pracuje. Tymon zacisnął zęby, starając się skupić wzrok na jednym punkcie na ciele grubasa. Spojrzał na lekarza, którego oczy uśmiechały się, jakby kawałek mięsa leżący na stole stanowił dla niego sens istnienia. Marzena również wyglądała na całkiem spokojną, jakby truchło nie wywarło na niej większego wrażenia.

– Miejmy to już za sobą – pospieszał Tymon, oglądając pokaleczoną bladą skórę grubasa. Szew na brzuchu zawiązany był na końcach tak niedbale, jakby sześciolatek uczył się sznurować buty.

– Ranę zadano ostrym szesnastocentymetrowym sztyletem, tak zwanym Tanto, który znaleziono w rękach denata. Cięcie ma dziewiętnaście centymetrów i poprowadzone zostało od lewej strony przez całą długość jamy brzusznej – zaczął lekarz.

– Co było bezpośrednią przyczyną zgonu? – zapytał Trygar.

– Rozległy krwotok narządów wewnętrznych i utrata krwi.

– Zadam pytanie wprost – uciął prokurator. – Czy Tadla zabił się sam, czy ktoś mu pomógł?

– Trudno jednoznacznie stwierdzić, na całym ciele denat posiada liczne zadrapania i stłuczenia, co mogłoby sugerować walkę, jednak równie dobrze mogły to być urazy po przebytym wcześniej wyuzdanym seksie.

Na twarzy Marzeny pojawił się delikatny uśmiech.

– Lubował się w sado-maso. Drobna Japoneczka, którą przesłuchiwaliśmy, mówiła, że Tadla uwielbiał, kiedy wbijało się w niego długi obcas buta,

dodatkowo pejcze, kajdanki, udawanie psa, czasem nawet zabawa z ekskrementami, ale ponoć Joko tego nie robiła – wtrącił Trygar.

– Czy jest coś jeszcze? – zapytał Foltyński, pospieszając lekarza. Czuł, że kolejne dziesięć minut w obecności trupa może się skończyć rozstrojem żołądka. Niewzruszona policjantka stała z notesem w ręku i zapisywała coś drobnym maczkiem. Spoglądała na bladego Foltyńskiego z politowaniem, chcąc dać mu do zrozumienia, że jest mięczakiem.

– Nadmierne otluszczenie, stan zdrowia dobry, żadnych ciekawostek, które mogłyby rzucić na sprawę jakieś nowe światło – wymieniał lekarz.

Tymon Foltyński odczytał ostatnie zdanie medyka jako przyzwolenie na opuszczenie przykrego miejsca. Wystrzelił niczym z procy, wybiegając z zakładu medycyny sądowej na zewnątrz, gdzie przywitał go siąpiący deszcz, jawiący się niczym oczyszczająca kąpiel.

Suski i Trygar postanowili przenieść spotkanie do pomieszczeń prokuratury. Starszy aspirant zdołał się nieco uspokoić, ręce i kark przestały mu się pocić a żołądek zaburczał doniośle, dając do zrozumienia, że zapomniał już o wizycie w trupiarni.

– Czy to morderstwo? – zapytał Marian.

– Oczywiście – bąknął Trygar. – Tadla nie miał raczej powodów, aby odebrać sobie życie, choć wrogów zapewne mógł liczyć w tuzinach.

– Może powołać grupę dochodzeniowo-śledczą? – zastanawiał się prokurator.

– Nie widzę na razie takiej potrzeby – stwierdził Rafał. – Powęszymy trochę, zanurkujemy nieco w życie Tadli, może coś znajdziemy. Uwielbiam babrać się w przeszłości polityków, to bardzo wdzięczne zadanie – rzucił z szyderstwem w głosie.

– Badania techników i zeznania świadków będą w tej sprawie kluczowe – stwierdził Foltyński, który oczyma wyobraźni widział już siebie wykonującego setki telefonów, wypisującego wnioski do prokuratury i odbierającego maile. Zaraz po otrzymaniu odcisków daktyloskopijnych i mikrośladów z miejsca zbrodni, trzeba będzie sprawdzić je w bazach policyjnych. Potem zaczną się żmudna weryfikacja bilingów, kont pocztowych, historii rachunków

bankowych, przesłuchanie świadków, którzy jak jeden mąż zeznają, że niczego nie widzieli. Następnie pilnowanie, aby wszystko przebiegło zgodnie z procedurami, skrupulatne protokołowanie każdego najdrobniejszego szczegółu, potem wprowadzenie całości do komputera, sporządzenie dokumentacji. Podważenie poprawności prowadzenia śledztwa i dowodów oskarżenia przez sąd zniszczyło karierę niejednego prokuratora i policjanta kryminalnego. Nudna urzędnicza robota, o której rzadko wspomina się w filmach i książkach, to najważniejsza część tego zawodu. Pościgi i strzelaniny zdarzały się niezwykle rzadko, a świadczyły o tym fakty, że zarówno Fołtyński, jak i Trygar dobywali broni może raz w roku i to najczęściej tylko po to, aby uzyskać efekt zastraszenia. To zwykle wystarczało.

Tymon i tak wolał papierkową robotę niż obcowanie z trupami. No i miał jeszcze przysłowiowe koło ratunkowe w osobie Marzeny Gibały. Zawsze można było na nią zwalić część papierkowej roboty.

– Musicie być ostrożni, temat śmierdzi polityczną aferą – zawyrokował Suski.

– Mam to w dupie. Jeśli trzeba będzie, przymknę całą Wiejską – podsumował Trygar.

– Coś ty taki cięty na polityków? Zrobili ci coś? – zapytał Marian.

Trygar tylko parsknął.

– Przejrzyjcie protokoły od techników, może uda wam się powiązać jakieś fakty. Sprawdźcie też trop z nożem, odnalezionym przy ciele Tadli, zresztą... – zawiesił głos prokurator. Spojrzał na Marzenę i wymamrotał: – Co ja wam starym psom będę tłumaczył...

– Nie chce mi się wierzyć, że nikt z gości japońskiej restauracji niczego nie widział – dodał Fołtyński. – Chyba warto byłoby ich przycisnąć.

– Zmowa milczenia, nie dowiecie się zbyt wiele. Mało kto lubi chwalić się, że jest gościem burdelu, szczególnie przed żoną i dziećmi. Tadla bywał tam w każdą sobotę, jak w zegarku – podsumował Trygar.

– Może to jednak samobójstwo? – zastanawiał się Fołtyński.

– Mam coś, co zaprzeczałoby tej teorii. – Stefan wyciągnął z szuflady wydruk z komputera i wręczył go Tymonowi. – Rozpoznanie biegłego

grafologa, który przeanalizował list Tadeusza Tadli. Wynika z niego, że wiersz pisany był w stresie i pod wpływem dużych emocji.

– A gdybyś ty chciał popełnić samobójstwo, to nie byłbyś w stresie? – podsumował Tymon. – Dla sądu, to żaden dowód. Jedyne, co mnie zastanawia, to dlaczego prezes Narodowego Funduszu Zdrowia inscenizuje całą tę szopkę i udając samuraja, odbiera sobie życie?

– Może interesował się kulturą Japonii? – zażartował Trygar.

– Dobra panowie – stwierdził Suski. Jego wzrok po raz kolejny spoczął na biuście Gibały. – I panie. Szkoda czasu. Niczego mądrego i tak nie wymyślimy, trzeba więcej faktów a nie częściej gadaniny. Bierzmy się do roboty.

W pewnym momencie do pomieszczenia wszedł urzędnik i zameldował prokuratorowi coś na ucho. Marian spojrzął spod oka na stojących naprzeciwko policjantów i wymamrotał z kwaśną miną:

– Mamy kolejnego trupa.

ROZDZIAŁ 9

Zgodnie z przewidywaniem Cynarskiego, Zaręba wyszedł w testach psychologicznych nad wyraz dobrze. Nieocenioną pomocą okazały się wskazówki Piotra, oraz jego rekomendacja u przełożonych Adama. Ostatecznie udało się zdobyć wymarzone stanowisko pracy. Wchodząc do wysokiego biurowca, Zaręba czuł, jakby złapał Pana Boga za cholewkę, przyszłość jawiła się w tęczyowych barwach, a wszelkie problemy życia zeszły na plan dalszy.

W dziesiątym dniu pracy Adam trafił na spotkanie motywacyjne, na którym pracownicy mieli poznać prezesa nowo tworzonego banku i wysłuchać przemowy, na której zgodnie z agendą, miał zaprezentować cele, jakie stawia sobie przedsiębiorstwo rozpoczynające ekspansję na trudnym polskim rynku finansowym.

Dziewięćdziesięciu siedmiu pracowników banku, zajmujących cztery piętra wysokiego biurowca przy Alei Krakowskiej, zgromadziło się na sali konferencyjnej.

Kilka minut po tym, jak uczestnicy usadowili się na miejscach, do pokoju wszedł prezes Arkadiusz Malinowski. Mężczyzna koło pięćdziesiątki, wysoki, przystojny, lekko już siwiejący, w garniturze szytym na miarę, wyglądał niczym chodząca reklama ekskluzywnego domu mody.

Zaraz za nim wkroczyła długonoga Alicja Kownacka, asystentka, którą Piotr miał przyjemność poznać na milondze w klubie Equilibrium. Zrobiła na pracownikach nie mniejsze wrażenie niż szef SpecialBanku. Kobieta puściła oczko do Cynarskiego, poprawiła włosy i z gracją baletowej tancerki usiadła w fotelu.

Prezes Arkadiusz Malinowski stanął na podwyższeniu, po czym ojcowskim wzrokiem spojrzął w stronę zebranych.

– Witam was, moi mili – rozpoczął. – Pozwolicie, że będę się zwracał do was w ten sposób, bo mam nadzieję, że staniemy się dla siebie kimś bliskim,

jak rodzina. Zostaliście wybrani, aby pomóc mi zrealizować ważny cel. Postawiono przed nami zadanie. W półtora roku mamy stworzyć a później wypromować markę SpecialBanku, nowej instytucji na polskim rynku finansowym. Nasz mocodawca Societe Aufgaben zaufał nam, dając fundusze i umocowanie prawne, oczekując jednocześnie, że w przeciągu pięciu lat działalności banku, całość inwestycji się zwróci. I choć ciąży na mnie i na was ogromna odpowiedzialność, to jestem przekonany, że razem zdołamy osiągnąć cel.

Ku zdziwieniu Adama, na sali rozległy się gromkie brawa. Zaczęło się pranie mózgu, o którym wspominał siedzący naprzeciwko Piotr. Najważniejszym zadaniem podobnych spotkań i przemówień motywacyjnych było uzmysłowienie pracownikom, że tworzą jedną wyróżnioną grupę. Podobnie robi się wśród członków sekt religijnych czy Amway'a. Należy dać człowiekowi poczucie misji, aby był w stanie zainwestować czas, pieniądze, szczęście rodziny i własne zdrowie w budowanie przyszłości firmy. Oczywiście prezes w swoim przemówieniu nie wspomni, że człowiek-trybik, który z jakiegoś powodu nie pasuje do maszynierii, będzie po prostu usuwany i zastępowany nowym elementem.

Arkadiusz Malinowski kontynuował płomienny monolog.

– Zapewne część z was zna już dyrektorów poszczególnych departamentów, którzy będą odpowiedzialni za stworzenie filarów nowego banku. Pozwólcie państwo, że ich przedstawię. Pan Krzysztof Swoboda, dyrektor placówek terenowych, które rozsiejemy po całej Polsce niczym sklepy spod znaku małego chrząszcza.

Na sali rozległy się brawa, gdzieniegdzie bardziej gorliwi pracownicy podśmiewali się z niezwykle trafnego dowcipu prezesa.

Patrząc na pochlebców zebranych na sali, myśli Zaręby odleciały w przestworza. Przypomniawszy sobie jeden z wykładów Piotra, w którym kolega opisywał zachowanie się kobiety, chcącej pokazać mężczyźnie, że jest nim zainteresowana.

Mowa była o błysku w oczach, o nadmiernej gestykulacji i irracjonalnym rechocie, nieadekwatnym do poziomu śmieszności dowcipów wybranka.

Delikatna zabawa włosami, poprawianie sukienki, zakładanie nogi na nogę, czy choćby poruszanie ramionami, aby wyeksponować biust, wszystkie te znaki świadczyły o zaangażowaniu emocjonalnym kobiety. Stąd już krótka droga do intymnej relacji. Reszta zależała od zachowania się samca i jego biegłości w omotaniu samicy. My ludzie jesteśmy tak prości w obsłudze jak zwierzęta, zwykł mawiać Cynarski. Tak niewiele osób zdaje sobie sprawę z pierwotnych odruchów *homo sapiens*.

Adam obserwował jak z fotela z ogromnym wysiłkiem podnosi się otyły mężczyzna o twarzy przypominającej wielką gruszkę, brodzie i policzkach tak dużych, że zakrywały całą szyję. Ukłonił się wszystkim z gracją hipopotama, a potem z wyraźną ulgą ukarał siedzenie ciężarem własnego ciała.

– Naszym zamiarem – kontynuował prezes Malinowski – jest dotarcie do najmniejszych wsi i miasteczek z ofertą naszego banku, chcemy stworzyć markę specjalną, sprawić, aby ludzie nie mogli obyć się bez produktów SpecialBanku. Co więcej, nie poprzestaniemy na tworzeniu stacjonarnych placówek, zorganizujemy siatkę sprzedawców na wzór akwizycji. Będziemy chodzić do domów naszych klientów, będziemy z nimi rozmawiać, jeśli trzeba, staniemy się ich psychologami, założymy im szczegółową kartotekę potrzeb, trosk i rozterek. Będziemy gotowi przewijać ich dzieci, albo rozwiązywać problemy małżeńskie.

Pochlebcy prezesa wybuchli gromkim śmiechem.

– A wszystko po to – kontynuował Malinowski – by zdobyć ich zaufanie i związać się z nimi na stałe, bo to oni będą naszym źródłem dochodu. Postawimy również na technologię. Będziemy innowacyjni i postępowi, wykorzystamy wszelkie kanały dystrybucji, o jakich naszym konkurentom nawet się nie śniło. Wygenerujemy popyt na nasze usługi, żeby potem, jako jedyni, zaspokoić rynek. Staniemy się monopolistą. Oczywiście nie będziemy również zapominać o podstawowej działalności bankowej.

Po raz kolejny rozległy się brawa, tym razem Adam również się do nich przyłączył. Mowa prezesa była nie tylko światła, ale sprawiała, że człowiek miał poczucie uczestniczenia w czymś ważnym, jakimś wydarzeniu tworzącym historię. Zaręba wiedział, że będzie w całym tym projekcie tylko małym

panionem, marionetką, jednak wcale go to nie przerażało. Małe zasługi, mała odpowiedzialność – głosiło jedno z haseł Piotrka. Póki co, miał zapewniony byt i poczucie bezpieczeństwa, a przede wszystkim mógł zrealizować swój nadrzędny cel, zapewnić matce spokojną i dostatną starość. I nie było problemem, że korporacja zabierała czas, osobowość i umiejętności, przynajmniej do momentu, kiedy człowiek zdawał sobie sprawę, że uczestniczy w czymś w rodzaju układu biznesowego, z którego każda strona może się w dowolnym momencie wycofać. Gorzej mieli ci, którzy zagubili się w tej relacji. Firma stawała się całym światem, domem i życiem. Przed takim momentem Piotrek starał się Adama przestrzegać, cały czas powtarzając, że najważniejsza jest równowaga i to w każdym aspekcie ludzkiej działalności. Skrajności zawsze prowadzą do nieszczęścia.

– Zapytacie zapewne – ciągnął Malinowski – czym będziemy różnić się od innych banków? Otóż mamy kilka pomysłów, które od samego początku chcemy wprowadzić w życie. Liczymy, że będą to przełomowe na rynku polskim produkty bankowe. Wy pomożecie mi wcielić je w życie. Oczywiście nie muszę chyba mówić, że obowiązuje was dyskrecja i tajemnica.

Przez długie trzydzieści sekund prezes przechadzał się po sali, spoglądając opiekuńczym wzrokiem na pracowników.

– Jednym z takich produktów będzie kredyt hipoteczny dla małżeństw z dziećmi – wypalił wreszcie. – Będzie go można wziąć na dłużej niż trzydzieści lat. Zaproponujemy wariant pożyczki wielopokoleniowej na osiemdziesiąt, a może nawet i sto lat.

Na sali rozległy się brawa. Adam zdębiał, zastanawiając się nad losami tych wszystkich nieszczęśników, którzy utoną w długach i to dziedziczonych z pokolenia na pokolenie. Dzieci, rodząc się, będą obciążone zobowiązaniami rodziców.

„Przecież to niezgodne z prawem” – zastanawiał się Zaręba.

– Wyobraźcie sobie – mówił dalej prezes – że dzięki takiemu produktowi małżeństwo będzie miało minimalne obciążenia bieżące, być może zastosujemy nawet wariant karencji w spłacie kapitału przez pierwsze trzydzieści lat. Oczywiście musimy stworzyć solidne struktury windykacji

i obsługi kredytów trudnych. Niemniej jednak, korzyści dla banku będą ogromne. Kredytobiorcy przepiszą nieruchomości na własne dzieci, być może nawet wnuki, które dzięki temu, nie będą musiały starać się o nowy kredyt, tylko spłacając zadłużenie rodziców, jednocześnie odziedziczą nieruchomość.

– Czy będą mogły zrzec się prawa do dziedziczenia zarówno długów, jak i nieruchomości? – odważył się zapytać pracownik biura prawnego siedzący w głębi sali.

Prezes utkwił wzrok w mężczyźnie, po czym uśmiechnął się.

– Oczywiście, prawo przewiduje taką możliwość, z tego też powodu będziemy musieli zadbać o wiarygodną wycenę nieruchomości i częstą jej aktualizację, żeby w przypadku licytacji mienia, bank na tym nie stracił. Kredyty hipoteczne, jak zapewne wiecie, to najpewniejsze źródło przychodów dla banków. Jednocześnie zabezpieczenie w postaci cesji z hipoteki pozwoli nam w razie problemów szybko wyegzekwować nasze należności. Chciałbym przedstawić państwu dyrektora Pawła Gawła, który będzie odpowiedzialny za niezwykle istotny departament, związany z zarządzaniem ryzykiem bankowym.

Po raz kolejny rozległy się brawa, z fotela uniósł się kościsty jegomość o małych świńskich oczkach i przerzedzonych ciemnych włosach. Ukłonił się i usiadł, nie wypowiedziawszy ani słowa. Na twarzy prezesa Malinowskiego pojawił się uśmiech triumfu. Zapewne czuł się niczym Hitler przemawiający do ludu podczas wiecu z pochodniami, zorganizowanego przez NSDAP. Adam czuł podskórnie, że bierze udział w czymś w rodzaju spisku. Duża grupa ludzi pod przykrywką korporacji posiadająca wiedzę, pieniądze i zaplecze, chce okraść mniejszych i słabszych, którzy nie znają się na zawiłościach prawnych, ani kruczkach świata finansjery. Tak niestety funkcjonował współczesny świat, niewolnictwo w nowoczesnym wydaniu.

Prezes przeszedł do omawiania kolejnych aspektów działalności nowego banku, dzięki którym miał zyskać przewagę nad konkurencją.

– Następnym produktem, na który postawimy, będzie odwrócona hipoteka. Wszyscy wiemy, że wkrótce wiek emerytalny zostanie przedłużony, dlatego taki sposób finansowania starych ludzi będzie pełnił na rynku coraz większą rolę. Oczywiście ważnym aspektem będzie tu odpowiednie zabezpieczenie

prawne. I chyba nadszedł dobry moment, aby przedstawić państwu dyrektora biura prawnego Henryka Taligę.

Adam stracił rachubę, myliły mu się kolejne osoby pełniące menedżerskie funkcje. O ile dobrze policzył, na ławie obok prezesa pozostało do przedstawienia jeszcze sześć osób, na końcu szef zespołu, w którym pracował Zaręba.

– To będzie niezwykle ważne zadanie – kontynuował Malinowski – aby będąc w zgodzie z legislacją, przygotować takie umowy dla naszych klientów, które zabezpieczą przede wszystkim nasz interes. Koledzy dyrektorzy z departamentów alternatywnych kanałów dostępu, dealerów bankowych i transakcji międzybankowych, również będą czuwali nad każdym aspektem naszej pracy. Stworzymy własny zespół developerów, aby szybko reagować na technologiczne zmiany na rynku. Posiadamy młody prężny zespół, który spełni oczekiwania biznesu i zaspokoi potrzeby rozwijającej się sprzedaży. Postawimy również na dane BigData.

Hasło, które jako ostatnie padło z ust prezesa, budziło w Adamie mieszane uczucia. Chodziło przede wszystkim o analizowanie ogromnych wolumenów danych i odnajdywanie w nich analogii. Szukano wspólnego mianownika w bazach danych abonentów wszelakich usług telefonicznych, radiowych, telewizyjnych, czy choćby uczestników ruchu ulicznego, albo transportu miejskiego. Z tego wszystkiego dawało się wysnuć sporo, daleko idących wniosków. Prosty przykładem była zwykła wyszukiwarka internetowa, w której najczęstszym hasłem wpisywanym przez ludzi z całego świata było słowo „szczęście”. To klucz, którego od wieków poszukiwali najmądrzejsi tego świata, jak również zwykli pospolici użytkownicy sieci. Słowo to wiele mówiło o nastrojach ludzi, o ich lękach i wiecznym poszukiwaniu drogi do spełnienia. A w jaki sposób zareagowali odbiorcy danych BigData? Skoro pojawił się popyt, należało wygenerować również podaż. I ni stąd ni zowąd, jak grzyby po deszczu zaczęły pojawiać się tysiące przeróżnych poradników, przewodników, kursów jak być szczęśliwym, co robić w życiu, aby odnieść sukces i zapewnić sobie satysfakcję. Oczywiście nikt nie wspomniał, że autorzy takowych publikacji chcieliby przy okazji trochę zarobić.

Adam uważnie obserwował Edwarda Mikulskiego, swojego dyrektora, którego zdążył już nieco poznać, choćby podczas rozmowy kwalifikacyjnej, jak i później w trakcie codziennej pracy. To pod jego skrzydłami miał tworzyć rozwiązania informatyczne wymyślone przez zespoły marketingowe i biznesowe banku. Jak jeszcze oszukać ludzi? W jaki sposób wyciągnąć od nich ostatni grosz, aby mała grupka wybranych mogła się bogacić? Najważniejszy w całej tej działalności był efekt skali. Kilka groszy, wyciągnięte na prowizji od stu tysięcy klientów, zamieniało się w fortunę. Adam zdawał sobie sprawę, że wchodząc w paszczę lwa, nie może dać się zwariować. Będzie musiał przyjąć zasady korporacji, podporządkować się i pracować w imię firmy. Żołnierz, idąc na wojnę, o nic nie pyta, tylko wykonuje rozkazy. W zamian kusily dobre zarobki, fundusze socjalne i zabezpieczenia materialne, których wielu mogłoby pozazdrościć.

Adam dostał od Piotra kilka cennych wskazówek, aby przede wszystkim nie angażować się emocjonalnie i poświęcać korporacji tylko tyle czasu, ile to konieczne. Jeśli przestrzega się tych kilku prostych zasad, można było w firmie przepracować wiele lat, choć na awans również nie było co liczyć. Alternatywą było zaangażowanie, wtedy należało liczyć się z wiecznym brakiem czasu, chorobami zawodowymi, dolegliwościami związanymi ze stresem i ostatecznie przedwczesną śmiercią. Każdy miał wybór, gorzej, jeśli w pewnym momencie straciło się grunt pod nogami i poczucie zdrowego rozsądku, wtedy niewidzialna i podstępna maszyna powoli, niezauważalnie, zmieniała cię w korporacyjnego szczura.

Adama znacznie bardziej kręcił warszawski świat rozrywek, jaki pokazał mu Cynarski, niż propaganda sukcesu obwieszczana w newsletterach, czy gazetkach korporacyjnych. Zaręba poczuł wreszcie, że oderwał się od ziemi i wznosi w przestworza.

Prezes mówił jeszcze przez kilkanaście minut, nakreślając strategiczny plan rozwoju, wskazywał również najważniejsze punkty harmonogramu dotyczące długofalowych realizacji celów. Zapowiedział huczne wejście SpecialBanku na Giełdę Papierów Wartościowych, co miało dodatkowo dofinansować firmę. Adam wiedział, że należało wykorzystać te półtora roku w projekcie na

umocnienie własnej pozycji w grupie, zdobycie doświadczenia i zabezpieczenie sobie miejsca pracy. Z drugiej strony, w najgorszym wypadku, po prostu zmieni pracodawcę. Warszawa przestała być tak bardzo przerażająca i w pewnym sensie dawała się nawet lubić.

ROZDZIAŁ 10

Tymon Foltyński, Rafał Trygar i Marzena Gibała weszli do dwupoziomowego mieszkania mieszczącego się na ostatnich piętrach nowoczesnego rządowego bloku. Ze wszystkich stron bił przepych i bogactwo, balkony i loggie pełne zieleni, projektowane przez najlepszych ogrodników, gustowne wnętrza z podwieszanymi sufitami, w których gra światła i cieni idealnie komponowała się z eleganckimi meblami, dywanami i abażurami lamp ściennych. Na każdym piętrze lśniła czystością łazienka, której wyposażenia nie powstydziliby się niejeden ośrodek wczasowy SPA. Wschodnią stronę mieszkania zajmowały wysokie przeszklone okna, przez które można było podziwiać panoramę Warszawy.

Starszy aspirant Foltyński, wysiadając z windy, wyczuł swąd spalonego mięsa. Na progu mieszkania czekał na policjantów zniecierpliwiony prokurator Marian Suski.

– Kryminalni szybcy jak zawsze – stwierdził z ironią w głosie.

– Jak ty to robisz, że zawsze jesteś przed nami? – zapytał Trygar.

– Jak wy to robicie, że zawsze jesteście po mnie?

Rafał nie odpowiedział, nie chcąc wchodzić w słowne potyczki z wygadanyim prawnikiem.

– Co mamy? – rzucił jak zwykle, wchodząc do luksusowego apartamentu.

Jeden z policjantów, który przybył do mieszkania wcześniej, podszedł do komisarza i zaczął meldować.

– Sąsiedzi wezwali straż, kiedy włączył się alarm na klatce schodowej. Po ugaszeniu pożaru znaleźliśmy we wnętrzu ciało Dominika Klezmerowicza, doradcy ministra rolnictwa, doszczętnie spalone wraz z połową mieszkania.

– Wypadek? – zapytał Tymon, patrząc na przydymiony sufit.

– Cholera wie, obok ciała znaleźliśmy butelkę z denaturatem. Wygląda na to, że Klezmerowicz się nim oblał a potem podpalił.

– Samospalenie! – krzyknął Foltyński.

– Co masz na myśli? – zapytała Marzena.

– Samospalenie praktykowali staroobrzędowcy, wyznawcy Rosyjskich Kościołów Prawosławnych.

– Co chcieli tym aktem udowodnić? – dopytywał Rafał.

– Uznawali, że cały świat został opanowany przez antychrysta, a jedynym dobrym wyjściem jest samobójcza śmierć. Staroobrzędowcy spalili w ten sposób w siedemnastym wieku całą wioskę. Zresztą, co chwilę odnotowywano przypadki, w których chłopci zamykali się w chatach i podpalali. Podobne incydenty na terenie obecnej Rosji zdarzały się potem wielokrotnie, aż do początku dwudziestego wieku.

– Dlaczego akurat samospalenie? – zainteresował się Suski.

– Ogień oczyszcza, zmywa grzechy – dodał Foltyński.

– Podobnie jak harakiri – głośno zastanawiał się prokurator.

– Trudno mi sobie wyobrazić, że doradca ministra, obawiając się antychrysta, podpalił się denaturatem – rzucił Trygar.

– Te rytuały to zmyła – stwierdził Suski. – Znaleźliście list?

– Tak. Co ciekawe, najwyraźniej ktoś chciał, abyśmy go znaleźli, bo leżał po przeciwnej stronie mieszkania, na niższej kondygnacji. Ogień nie zdążył tam dotrzeć i raczej mała szansa, aby tam dotarł przed przyjazdem straży pożarnej.

Twarz Rafała przyjęła wyraz maski, bez krzty wyrazu czy grymasu, jakby policjant dopiero teraz uzmysłowił sobie, że po Warszawie krąży seryjny morderca zabijający prominentów i pozorujący rytualne samobójstwa. Oczywiście wyobraźni widział już naciski z góry, polowanie na czarownice, ścinanie głów za brak efektów w śledztwie.

Ciało szczupłego mężczyzny leżącego w salonie było doszczętnie spalone, czarne włosy zlały się ze stopioną skórą na głowie, tworząc obrzydliwą breję. Z ran powstałych w wyniku poparzenia zionęły czerwienią fragmenty

zwęglonego mięsa, ścięgien a nawet mięśni. Szczątki ubrania wkomponowane w truchło utworzyły gęstą śmierdzącą masę przyprawiającą o mdłości.

– Nie widać śladów walki. – Trygar zmrzył oczy. – Zobaczmy ten list – wymamrotał, obserwując techników medycyny sądowej zabezpieczających mikroślady, zbierających odciski palców i wykonujących dokumentację fotograficzną.

Tymon Foltyński wziął od policjanta zabezpieczony dowód w postaci małej kartki papieru napisanej odręcznie i przeczytał na głos.

*Życie z brzemieniem nazbyt dla mnie trudne,
żałować swych czynów po fakcie nie znajdę
Niech płomień mą ucieczką, tak jak pozostałym.
Pięciu ich było, czterech się ostało.*

– Dziennikarze zaraz rzucą się na mnie jak wygłodniałe hieny – narzekał Suski, który czuł, że cała sprawa nabiera rozmachu. Już widział, jak nazajutrz w gazetach pojawią się nagłówki prasowe w rodzaju „polityczny mściciel”, albo „morderca politycznych sfer”. Chwilę później prokurator generalny, albo nawet sam minister spraw wewnętrznych wezwie go na dywanik i zapyta, czy policja schwytała sprawcę.

– Nie mamy absolutnie nic! – narzekał Marian.

– A co z systemem przeciwpożarowym? – zauważył Foltyński. – Nie włączył się?

Przywołany technik sprawdził programator zawiadujący systemem pożarowym domu ukrytym w zamykanej skrzynce na korytarzu.

– Nie włączył się, bo ktoś go wcześniej wyłączył – powiedział.

– Da się go wyłączyć? Nie robi tego administracja? – zdziwił się Trygar.

– Każdy właściciel apartamentu ma możliwość wyłączenia systemu przeciwpożarowego – dodał technik.

– Klezmerowicz był nałogowym palaczem, dlatego pierwsze, co zrobił po wprowadzeniu się, to wyłączył system na stałe – zauważył Tymon. – A zatem morderca musiał o tym wiedzieć, skoro zaproszył ogień.

– Wielka mi rzecz, przez te szyby można było obserwować Klezmerowicza niczym ptaszka w klatce – stwierdził Suski, wskazując na okna. – A tak a propos, może ktoś coś widział z zewnątrz?

– To niemożliwe, okna mają specjalny tryb, dzięki któremu z zewnątrz nie da się niczego zobaczyć – do rozmowy włączył się technik, który chwilę wcześniej sprawdzał skrzynkę przeciwpożarową.

Policjanci z prokuratorem stali przez chwilę, rozglądając się po wnętrzu apartamentu.

– Musi być jakieś powiązanie pomiędzy Tadłą i Klezmerowiczem – stwierdził Trygar, przygryzając paznokcie.

– Można domniemywać, że Tadła znał się z Klezmerowiczem? – bardziej stwierdził niż zapytał Foltiński.

– Tam się wszyscy znają – dodał Suski, urywając dywagacje policjantów.

– Komu mogłoby zależeć, aby mordować warszawskich prominentów? – zastanawiał się Tymon. Wystarczająco długo żył na świecie, aby zdawać sobie sprawę, że na najwyższych szczeblach władzy, oprócz pięciuset sześćdziesięciu osób wybieranych w wyborach powszechnych, cała reszta to zawsze ta sama kadra, pochodząca z tak zwanego zaplecza politycznego – kilkanaście tysięcy urzędników, BOR-owców, pracowników technicznych i doradców, nie wspominając o znajomych, rodzinie i przyjaciółach zajmujących tak zwane jedynie słuszne stanowiska. I choć zmieniają się szyldy i flagi, tak naprawdę wszyscy grają w tej samej drużynie nazywającej się władza i pieniądze. I tylko naiwni wyborcy sądzą, że istnieje jakakolwiek batalia o głosy, dyskusje polityczne i programowe dotyczące metod i sposobów rządzenia krajem.

– Kim jest pozostałych czterech z „listy sześciu”? – zastanawiał się Trygar.

– To główny motyw, którym musimy się zająć – zaczął Suski. – Przekopcie życiorysy Klezmerowicza i Tadli aż do czasów przedszkolnych – zażądał prokurator, patrząc na Marzenę. – Posadźcie stado panienek albo studentów, żeby wertowali papiery i bazy danych. Sprawdźcie, czy nie spotykali się w przeszłości, może wyjeżdżali razem na wspólne wczasy, załatwiali jakieś interesy, należeli do wspólnych organizacji, albo siedzieli w szkole w jednej ławce. – Suski strzelał słowami niczym z karabinu maszynowego.

Nagle do mężczyzn podeszła wysoka, zgrabna czterdziestolatka w czarnej spódnicy i tunice. Przez ramię miała przewieszoną brązową torebkę od Ravela. Stała z wyrazem obojętności i wpatrywała się w spalone zwłoki, jakby próbowała w nich rozpoznać kogoś znajomego. Ciemne włosy spięte w kok i delikatny makijaż podkreślały ładną twarz, która zdawała się jakby nieprzenikniona.

– Kim pani jest? – zapytał Foltynski.

– Klaudia Klezmerowicz, wysłam z pracy, bo zawiadomiono mnie o pożarze i śmierci męża.

Suski zmierzył kobietę prokuratorskim spojrzeniem, i nie widząc w niej ani krzty smutku, czy rozpacz, odważył się zagadnąć:

– Czy moglibyśmy zadać pani kilka pytań, czy wolałaby pani przełożyć rozmowę na inną, bardziej dogodną chwilę?

Kobieta stała, spoglądając na ciało męża z maską obojętności wymalowaną na twarzy. Po jej policzkach nie spłynęła ani jedna łza. Przekreśliła łabędzią szyję w stronę Mariana i skinęła głową.

– Proszę mi dać chwilę, zadzwonię do mamy, aby odebrała dzieci ze szkoły i zatrzymała je dzisiaj na noc. Potem możemy porozmawiać.

Wyciągnęła z torebki telefon i wybrała numer. Mówiła do aparatu niczym automat, ani przez sekundę nie zadrżał jej głos.

– Czy to był wypadek? – zapytała, chowając telefon w torebce.

– Tego jeszcze nie wiemy – odpowiedział Marian.

– Czy mąż miał ostatnio jakieś problemy, na coś się skarżył? – zagadnął Rafał.

Kobieta milczała, jakby zastanawiała się nad najlepszą odpowiedzią.

– Prawdę mówiąc – wymamrotała po chwili – nie rozmawialiśmy ze sobą od kilku miesięcy, miałam się wkrótce wyprowadzić. Mąż szukał dla mnie i dzieci jakiegoś lokum.

Policjanci spojrzeli porozumiewawczo najpierw na siebie, potem na Mariana Suskiego.

– Czy coś się między wami nie układało? – zapytał prokurator.

– Dominik miał kochankę – powiedziała beznamyślnie.

– Kim była ta kobieta? – zapytał Trygar.

– Nie znałam jej, to pracownica biura Ministerstwa Rolnictwa, młoda, piękna, na imię miała bodajże Adrianna.

– Mówi pani tak, jakby romans męża nic pani nie obchodził – zauważył Foltynski.

– Bo od pewnego czasu przestał mnie obchodzić. Mój mąż stał się dla mnie kimś zupełnie obcym, dogadaliśmy się, że obejdzie się bez skandalu, ustaliliśmy warunki finansowe naszego rozstania.

– Czy Dominik Klezmerowicz i ta kobieta, Adrianna, chcieli być razem? Planowali przyszłość? – dopytywał Suski.

– Nie wiem, jak już mówiłam, przestało mnie to interesować. Od lat żyliśmy z mężem jak pies z kotem, zupełnie obok – tłumaczyła kobieta. – Przepraszam, że to mówię, ale jego śmierć nie wzbudziła we mnie żadnych uczuć. Pewnie pomyślą sobie panowie, że jestem zimna i wyrachowana. Być może za kilka dni dojdzie to do mnie, jednak na razie nie czuję absolutnie nic, oprócz ulgi.

– Podpisaliście notarialnie jakiś dokument w związku z podziałem majątku? – dopytywał Suski.

– Nie zdążyliśmy – odpowiedziała Klaudia.

– Zgodnie z prawem spadkowym, jeśli mąż nie spisał testamentu, dziedziczy pani wraz z dziećmi – wyjaśnił Foltynski.

Kobieta tylko wzruszyła ramionami.

– A co z tą Adrianną, czy ona mogła mieć coś wspólnego ze śmiercią pani męża? – dopytywał prokurator.

– Nie wiem, proszę ją zapytać.

– A mąż miał jakichś wrogów?

– Pewnie miał, jak każdy – odpowiedziała oschle.

– A czy ktoś groził mężowi ostatnio? – dopytywał Trygar.

– Naprawdę, nie wiem – odburknęła Klaudia.

– Jak długo mąż miał romans?

– Nie wiem, chyba długo – powiedziała, wyciągając z torebki pomadkę i nacierając nią usta.

Suski po raz kolejny spojrzął na policjantów porozumiewawczo.

– Czy mąż palił w domu? – wyrwał się Foltiński.

– Tak, często go za to upominałam. Bywało, że pracował w domu jak nas nie było, wtedy palił jak smok.

– Mamy podejrzenie, że mąż podpalił się przy pomocy denaturatu. Czy rozpoznaje pani tamtą butelkę? – Suski wskazał palcem na leżący obok zwłok szklany przedmiot.

– Chyba tak, był pod zlewem, czasem używałam go do czyszczenia – odpowiedziała Klaudia. – Czy mogę już iść? Chyba nie jestem oskarżona o zabójstwo męża.

– Ma pani alibi na cały dzisiejszy dzień? – zapytał Trygar.

– Oczywiście, byłam cały dzień w pracy, w ministerstwie – powiedziała wyniośle, jakby z oburzeniem.

Prokurator widząc, że niczego więcej się od kobiety nie dowie, pozwolił jej odejść.

– Co o tym sądzicie? – zapytał policjantów, kiedy usłyszał trzaśnięcie drzwi wyjściowych.

– To suka, od razu rozpoznaję dwulicowe flądry – powiedziała Gibała.

Zarówno prokurator, jak i policjanci przemilczeli uwagę Marzeny.

– Mogła mieć motyw – zastanawiał się Foltiński, przerywając milczenie – choć z drugiej strony, była majątną osobą, nie musiała go zabijać.

– Sam słyszałeś, że dogadali się w kwestii finansowej – zauważył Foltiński.

– Faktycznie, trudno podejrzewać ją o zabójstwo męża, już prędzej tę jego kochankę Adrianę.

– Tylko jaki kochanka mogłaby mieć motyw? – zastanawiał się Suski.

– Zazdrość? Może się pokłócili i rozstali.

– Trzeba będzie z nią porozmawiać – dodał Suski.

– Mało prawdopodobne, aby któraś z kobiet dowiedziała się o okolicznościach śmierci Tadli i upozorowała morderstwo Klezmerowicza w podobny sposób.

– Przesłuchajcie tę Adriannę – rzucił Suski. – A swoją drogą, cóż za dziwny zbieg okoliczności. Obie kobiety Klezmerowicza pracowały w ministerstwie – dodał. Nagle usłyszał dzwonek telefonu komórkowego dobywający się z kieszeni. Marian odebrał, i stojąc niczym postument, słuchał uważnie kogoś, kto nadawał do słuchawki tak głośno, że Foltyński był w stanie wyłowić niemal każde słowo. Marsowa mina prokuratora zastygła w bezruchu, aby stopniowo się zmienić i ostatecznie przybrać wyraz satysfakcji graniczącej z euforią. Suski schował telefon do kieszeni i rzucił:

– Jeden z przesłuchiowanych świadków z restauracji Honsiu zwrócił uwagę na zakapturzoną postać wchodzącą na piętro. Udało nam się odnaleźć tego człowieka.

– Mrrauu – dobył z siebie Trygar, zacierając ręce. – Mamy zająć się tą myszką?

– Tak. Przesłuchajcie go. I nie zapomnijcie o tej pracownicy biura, kochance Klezmerowicza, Adriannie – powiedział Suski, kiedy znowu zadzwonił telefon w kieszeni.

Mina zadowolonego prokuratora zniknęła tak szybko, jak wcześniej się pojawiła. W zamian zawitała maska zgorzkniałego urzędnika.

– Muszę się stawić u ministra – mruknął.

ROZDZIAŁ 11

Po miesiącu w stolicy Adam poczuł, że jest już prawie warszawiakiem. Rozpoznawał bez problemu większość głównych ulic, potrafił poruszać się metrem i komunikacją miejską. I choć nadal mieszkał kątem u Piotra, powoli rozglądał się za mieszkankiem do wynajęcia, gdzie mógłby w spokoju kontemplować własne myśli. Przede wszystkim jednak fascynowało go nocne życie stolicy. Piotr Cynarski wdrażał adepta w arkany uwodzenia i zdobywania niewieścich serc. Adam chłonał wszystko niczym gąbka. W emocjonalnym odruchu zapisał się nawet na siłownię, gdzie w pocie czoła wyrabiał kondycję i kształtował mięśnie.

Niemrawe próby przełamywania własnych słabości Adam rozpoczął od wypytywania przechodniów o drogę i godzinę, z czasem zrobił kolejny krok, zagadując ludzi o pogodę, sytuację polityczną kraju, albo bieżące sprawy Warszawy. Wykorzystywał każdą okazję, aby toczyć batalię wzrokową z pięknościami, co wcześniej byłoby nie do pomyślenia. Siedział na przystanku autobusowym i mamrotał jak nakręcony. Naprzykrzał się kolegom z pracy, opowiadając, co takiego mu się wczoraj przytrafiło. Z czasem przekonał się, że ludzie są z natury przyjacielscy i otwarci, mimo że czasami zdarzał się jakiś gbur, który nie tylko nie odpowiadał na pytania Zareby, to jeszcze wysyłał w jego stronę garść niecenzuralnych epitetów. Doszło do tego, że tak bardzo polubił rozmowy z nieznanymi, że nie wyobrażał sobie chwili, kiedy mógłby nie gadać. Zauważył również, że nie tylko przestał zastanawiać się nad konsekwencjami podejścia do nieznanym, ale zaczął czerpać niewysłowioną przyjemność, obserwując kobiety chętne udzielić mu rady na temat perfum, czy wyboru prezentu dla matki. Zrozumiał przede wszystkim, że płeć piękna też stanowi ludzką rasę.

Piotrek z wielką satysfakcją obserwował, jak jego podopieczny przechodzi metamorfozę, przeistaczając się w osobę śmiałą, szczerą i rozmowną.

Wieczorami, po pracy, Adam uczył się prowadzenia w tangu argentyńskim, próbował swych sił również z salsą. Wchodząc niepostrzeżenie do mieszkania Cynarskiego, można było zaobserwować niecodzienną scenkę, jak dwójka mężczyzn ćwiczy w salonie barridę czy hero. Z czasem Zaręba zyskał na tyle pewności siebie, że odważył się na milondze zaprosić nieśmiałą i mało atrakcyjną dziewczynę na parkiet. Przez chwilę miał wrażenie, że tańczy z Piotrkim, co nawet nieco go ośmieliło, bo kobieta miała wąsy i małe kłaczki na brodzie. Mylił się niemal przy każdym kroku, próbując uspokoić rozdygotane nogi. Za drugim razem było już o niebo lepiej, a po godzinie poczuł, że to, co wyprawia na parkiecie, można od biedy nazwać tańcem. Przy okazji próbował oswajać się z kobiecym ciałem, które było czymś zupełnie nowym i nieodkrytym. Miękkie, pachnące i miłe w dotyku zachęcało, aby studiować jego tajniki.

Im dłużej Zaręba ćwiczył, tym więcej zyskiwał pewności siebie. Zastanawiał się, dlaczego był dotychczas taki głupi. Jakby miał założoną w głowie blokadę, niewidzialną barierę, uniemożliwiającą realne postrzeganie świata. Z czasem doszło do tego, że w trzy miesiące ze skrytego i nieśmiałego chłopca przeistoczył się w całkiem sympatycznego i rozmownego mężczyznę. I choć nadal bał się kobiet i nieznanym, a świat zdawał się miejscem bardzo nieprzyjaznym, to potrafił radzić sobie ze strachem i działać mimo niego.

W korporacji Zaręba zyskał sobie pozycję sumiennego i pracowitego, a przede wszystkim genialnego programisty, dla którego nie istnieją problemy nie do rozwiązania. Kierownicy projektów zabierali go na wszystkie spotkania, jakie odbywały się z dostawcą systemu bankowego, bo biegłość Adama w technologiach była nieoceniona. A ten bezwzględnie punktował wszelkie niedociągnięcia firmy dostarczającej nowe oprogramowanie dla SpecialBanku.

Z czasem Adam coraz lepiej poznawał świat życia korporacyjnego, gdzie w tle ścierały się przeróżne interesy. Było to coś w rodzaju suwerennego państwa w państwie, w którym toczyło się specyficzne życie na wszystkich poziomach hierarchii, od szeregowego pracownika, poprzez liderów, kierowników na dyrektorach skończywszy.

Dało się w firmie wyróżnić kilka typów osobowości. Jedną z nich był tak zwany kopacz, który fedrował dołki pod innymi, patrząc tylko, kiedy delikwentowi podwinie się noga. Oczywiście wszystko pod przykrywką uprzejmości i życzliwości z nożem schowanym za plecami, gotowym, aby wbić go w dogodnej sytuacji w plecy oponenta. Kolejnym rodzajem profilu psychologicznego był władca, którego najlepszym przedstawicielem był dyrektor Edward Mikulski. Czarnowłosa mężczyzna, werbujący Adama do pracy, okazał się po bliższym poznaniu zwyczajnym chamem i erotomanem. Zatrudnił młodą sekretarkę, która dość szybko zorientowała się, że jej kariera uzależniona jest od długości spódnicy, oraz sposobów przymilania się zwierzchnikowi. Jeśli ubierała się wyzywająco, dyrektor był dla niej uprzejmy, czego nie można było powiedzieć, jeśli przychodziła do pracy ubrana jak urzędniczka, w koszuli zapiętej pod samą szyję. Adam nie wiedział, czy zażyłość sekretarki z Mikulskim rozwinęła się dalej niż zwykłe biurowe kontakty, ale niewiele go to obchodziło. Widział jak kobieta z mętnymi oczyma wychodzi od dyrektora, patrząc na wszystkich niczym modliszka na ofiarę. Adam, choć coraz lepiej czuł się w towarzystwie płci pięknej, na widok długonogiej sekretarki po prostu uciekał.

Pracowali w korporacji również ludzie normalni, życzliwi i wyrozumiali, jednak ci byli najczęściej w bezwzględny sposób wykorzystywani przez innych. Ich problemem był brak asertywności, co sprawiało, że zawsze mieli mnóstwo pracy i za grosz wolnego czasu.

Z czasem Adam poznał różne zwyczaje i rytuały panujące w firmie, do których należały wszelkiego rodzaju spotkania – motywacyjne, inicjujące, kończące, robocze, a także inne użyteczne techniki, jak wojny mailowe, dupochrony i podpierdalacze, bez których trudno byłoby wyobrazić sobie przetrwanie w korporacyjnej dżungli.

Praca Zaręby początkowo polegała na uczeniu się nowego systemu bankowego o nazwie PowerBank. Miał również doglądać dostawcę firmę Altech, która instalowała, parametryzowała i konfigurowała oprogramowanie wraz z bankiem, aby było ono za półtora roku gotowe do pracy i spełniało wszystkie wymogi stawiane przez zarząd i radę nadzorczą SpecialBanku.

Bezpośredni kierownik Adama, Marian Berłowski, był pustym i małostkowym karierowiczem, któremu władza uderzyła do głowy. Na szczęście nie był erotomanem, jak Mikulski, ale uznawał płęć piękną za podgatunek, nadający się tylko do garów i rodzenia dzieci. Z tego też powodu nigdy nie zatrudniał do swojego zespołu kobiet. Potrafił zrugać bogu ducha winną pracownicę z innego działu, bo nie doniosła na czas jakiegoś raportu, albo nie wysłała e-maila z zaproszeniem na spotkanie.

Jeden raz, podczas rozmów z dostawcami systemu, Marian Berłowski strasznie się wściekł, rzucając kalumniami na dwójkę sympatycznych chłopaczków, którzy przyjechali, aby pomóc przy parametryzacji systemu bankowego. Adam był wielokrotnie świadkiem podobnych scenek i czasami po prostu wstydził się za przełożonego. Z drugiej strony był od niego zależny, dlatego trzymał język za zębami, znosząc jego wybryki.

– Jesteście dla mnie niczym sracz dla dupy – wykrzykiwał Marian. – Macie mi robić dobrze, jak ekskluzywna dziwka. W końcu jesteśmy waszym klientem, płacimy za produkt i usługę, więc i wymagamy.

– Proszę się uspokoić – bronił się szczupły mężczyzna z firmy Altkom. – Zrobimy wszystko tak, jak państwo oczekują. Ataki personalne są nie na miejscu. Wróćmy do rozmów na tematy merytoryczne.

– Gównu mnie obchodzą tematy merytoryczne, mogę się na was wysrać, a wy macie się uśmiechać tak szeroko, jak to tylko możliwe – pieklił się Berłowski. – Ja mówię, wy robicie, zrozumiano?

Podobne ekscesy początkowo nieco szokowały Adama, z czasem jednak przywykł do niecodziennego zachowania się przełożonego, który z bezwzględnością godną drapieżnika egzekwował na dostawcy wszelkie usługi i terminy. Na szczęście wiedza i profesjonalizm Zaręby sprawiły, że zarówno kierownik, jak i dyrektor czuli do niego sympatię i darzyli go szacunkiem. Nigdy nie pozwalali sobie na wyzwiska, czy drwiny w jego kierunku, czując, że młody pracownik po prostu przerasta ich kompetencjami i fachową wiedzą.

W szesnastoosobowym zespole Zaręby wszyscy panicznie bali się kierownika i dyrektora, bo wiedzieli, że ci są nieobliczalni i w każdej chwili za

sprawą jakiegoś widzimi się mogą pracownika wyrzucić na zbity pysk. Nikt nie ważył się nawet odezwać w ich towarzystwie, zwykle potakując tylko i wykonując sumiennie rozkazy przełożonych.

Wiedza bankowa i finansowa Adama z każdym kolejnym tygodniem była coraz większa. Najbardziej fascynowały Zarębę aspekty dotyczące minimalizacji ryzyka bankowego. Pisząc oprogramowanie CP-os służące do pobierania kursów walut z różnych źródeł, jak Reuters czy Krajowy Departament Papierów Wartościowych, dowiedział się, w jaki sposób banki zabezpieczają różnego rodzaju nieprzewidziane sytuacje dotyczące kursów walut, czy zmian stóp procentowych.

– Bank udziela kredytu w walucie – opowiadał pewnego razu Berłowski.

– Mhm – zgodził się Adam.

– Bank jednak nie wie, czy przez pięć lat, na jakie udziela kredytu, straci czy zyska na walucie, której kurs zależy od bardzo wielu czynników.

– A jakie to czynniki? – zainteresował się Zaręba.

– Wibor, Libor czy Euribor, czyli tabele stóp procentowych dla różnych walut kształtowane przez dziesięć największych polskich banków.

– No dobrze, i co w związku z tymi czynnikami? – ciągnął Adam.

– Banki zawierają na rynku międzybankowym transakcje przeciwstawne do tych kredytów, tak zwane umowy FX na walutę, albo FRA na oprocentowanie. Są one skonstruowane w taki sposób, że kompensują ryzyko związane z pożyczkami walutowymi udzielanymi klientom banku.

– Mógłbyś nieco jaśniej – poprosił Adam, który nie do końca zrozumiał wywód przełożonego.

– Pomyśl tylko, jeśli bank zyska na oprocentowaniu kredytu, straci na transakcji FRA, i na odwrót.

– Ale przecież dzięki takiej transakcji związanej, bank nie zarobi na ewentualnej zmianie oprocentowania albo kursu waluty – stwierdził Zaręba.

– Zamiast tego zarobi na odsetkach od kredytu, jednak przede wszystkim nie poniesie żadnego ryzyka związanego ze zmianą kursu waluty, albo stóp procentowych. Rozumiesz? Tylko klient biorący kredyt ponosi ryzyko.

– Rozumiem – westchnął Zareba, zastanawiając się, jak niewiele wie szary obywatel o świecie finansów. Ile rzeczy dzieje się za jego plecami, gdzieś tam w ciemnych gabinetach prezesów, gdzie przelewane są miliardowe sumy. Nikt nie uczy w szkołach znajomości skomplikowanych mechanizmów rządzących światem wielkich pieniędzy. Wcisnął człowiekowi na studiach ekonomicznych durne teorie popytu czy podaży, krzywe Phillipsa, czy cykle koniunkturalne Kondratiewa wymyślone przez jajogłowych setki lat temu, zamiast opowiadać, w jaki sposób korporacje handlują nieruchomościami, albo zdobywają pieniądze, grając na giełdzie.

– Czyli po to właśnie piszemy ten program? Dla departamentu ryzyka bankowego? – zapytał Adam, zadowolony z pozyskanej przed chwilą wiedzy.

– Zgadłeś. Po to właśnie go piszemy – stwierdził kierownik.

Pewnego dnia Adam, wracając do mieszkania Cynarskiego, przeżył szok, widząc kolegę wraz z asystentką prezesa, piękną Alicją Kownacką, w niedwuznacznej sytuacji. Wyglądało na to, że Piotr wszedł z kobietą w kolejny etap zażyłości, co mogło stanowić pewne zagrożenie dla pozycji ich obu w SpecialBanku. Z drugiej strony, Cynarski, jak i jego wybranka byli dorosłymi i odpowiedzialnymi ludźmi (przynajmniej taką Zareba miał nadzieję) i dokładnie wiedzieli, co robią (przynajmniej taką Zareba miał nadzieję).

Choć Adam miał dorobiony klucz do mieszkania kolegi, przyzwyczajony był, że ilekroć Piotr przyprowadza nową kobietę, nie należy mu przeszkadzać. Aby zyskać niezależność, wynajął zaciszną kawalerkę na Mokotowie i to w całkiem przystępnej cenie. Wolna chata dawała dodatkowe możliwości i randki od teraz nie musiały kończyć się uściskiem dłoni i małym buziaczkiem na do widzenia.

Jedno ze spotkań potoczyło się zupełnie nie po myśli Zareby i miało zwieńczenie w jego kawalerce. Mężczyzna nalegał, że powinni to przełożyć na inny termin. Kobieta jednak była napalona, niczym rozgrzana lokomotywa, albo kocica w rui. Adam, choć bał się okropnie, pragnął, aby wreszcie stać się mężczyzną. Serce biło mu jak szalone, strach paraliżował, jednak jakaś

wewnętrzna siła pchała do przodu, nalegając, aby ten pierwszy raz mieć już za sobą.

Ledwie tylko para weszła do mieszkania, Zaręba zaczął się tłumaczyć, że przecież trzeba wszystko przygotować, zadbać o nastrój, kupić szampana, zrobić kolację, zapalić świece i kadzidelka a dopiero potem, po romantycznym wieczorze, można pokusić się o małe intymne tete-a-tete. Ona jednak ani myślała o takich drobnostkach, chcąc jak najszybciej skonsumować zażyłość. Była starsza od Zaręby o jakieś dziesięć lat i zachowywała się tak, jakby od tego aktu zależało jej życie, a może nawet przyszłość całej ludzkiej populacji. Adam słyszał od Piotra niejednokrotnie, że kobieta im jest starsza, tym bardziej rozwiązała i bezpruderyjna, a co gorsze, jej ochota na sex wzrasta wprost proporcjonalnie do wieku. Zaczęło się od pocałunku, a może należałoby to nazwać spontanicznym i bezpretensjonalnym wepchnięciem języka do paszczy przeciwnika. Modliszka, bo tak Adam nazywał w myślach partnerkę, fedrowała usta Zaręby z intensywnością elektrycznej szczoteczki do zębów. Po kilku minutach gwałtownych pieszczot mężczyzna czuł się niczym wyeksploatowana kopalnia węgla. Przez chwilę naszły go przygnębiające myśli, w których zastanawiał się, kto w tym zestawieniu jest płcią uległą, a kto brzydkim dominującym samcem. Zaręba nie zdążył się nawet zorientować, kiedy stał obok modliszki zupełnie nagi. Potem sprawy potoczyły się błyskawicznie. Adam czuł, że nie ma żadnej kontroli nad sytuacją. I pewnie wszystko skończyłoby się równie szybko, jak się zaczęło, gdyby nie jeden, jakże istotny element.

Rumak Zaręby zaprotestował i ani myślał stanąć dęba. Na nic zdały się zabiegi modliszki i rozpaczliwe próby wskrzeszenia zmarłego. Nie pomogły ani ręczne elektrowstrząsy ani nawet oralny respirator.

Trup leżał i ani myślał wstawać.

– Nie mogę, za mało się znamy – rzucił Zaręba, chcąc usprawiedliwić niedyspozycję.

Zawiedziona i nieco zażenowana kobieta westchnęła tylko, ubrała się i nigdy więcej już jej Adam nie zobaczył. Leżał na łóżku przez pół nocy, nie mogąc zasnąć, z poczuciem rozgoryczenia i całkowitej przegranej.

„Czy tylko o to w życiu chodzi? O sex?” – zastanawiał się.

ROZDZIAŁ 12

Marzena, widząc, że doprowadzono na komendę podejrzanego mężczyznę, nie kryła podekscytowania. Poczula, że nareszcie znalazła się w odpowiednim miejscu i czasie. Każda godzina przynosiła nowe ekscytujące wydarzenia, które były tak różne od codziennej rutyny w dochodzeniówce.

Uśmiechnęła się do Rafała, prezentując białe, proste zęby. Zdawała sobie sprawę, że musi walczyć o przychylność przełożonego, dlatego nie żałowała mu tego, co miała najlepsze. Ot choćby przechodząc obok, upuszczała na ziemię długopis, który oczywiście trzeba było natychmiast podnieść. Schylając się, materiał spodnicy, napinał się do granic wytrzymałości. Komisarz próbował zachować spokój, choć trudno mu było zapanować nad rozbieganymi oczyma, które ani trochę nie chciały słuchać się właściciela, a ukojenie znajdowały dopiero w pośladkach Marzeny Gibały.

Nieco inne zdanie miał Foltyński, który widząc luzosostwo dziewczyny, poczuł się zniesmaczony, ale i zagrożony. Rok sumiennej pracy i wyrzeczeń miał pójść na marne, bo pierwsza lepsza lafirynda pokreśliła przed Trygarem dupą i cyckami.

– Mogę iść z wami. Będę się tylko przysłuchiwała. – Marzena, niby przypadkiem dotknęła ramienia Trygara.

– Pójdziemy sami – stwierdził Foltyński.

– Proszę – maślane oczy dziewczyny zwykle przynosiły oczekiwany rezultat.

– Ale jak zrobisz coś głupiego, to utopię cię w papierach – powiedział Rafał, wykrzywiając twarz w dziwnym grymasie, który miał być chyba uśmiechem.

– Dzięki – ucieszyła się Gibała i pogładziła mężczyznę po policzku.

Komisarz tęsknił za kobiecym dotykiem, nie był z przedstawicielką płci przeciwnej od czasu rozvodu, czyli od siedmiu lat. Wiedział, że Marzena nim

manipuluje, wykorzystując swoją zmysłowość. Było to jednak tak przyjemne, że ciężko byłoby nie pofolgować samczym popędem. Tymon zagryzał zęby i z cierpliwością znosił wybryki Marzeny.

Policjanci doprowadzili na salkę barczystego mężczyznę w długich włosach związanych w kucyk, ubranego w dżinsy i szarą bluzę z kapturem. Był to rodzaj kibola, jakiego spotyka się siedzącego całymi dniami na ławce, pijącego podłej jakości trunki wysokokowe, palącego papierosy i uprzykrzającego życie mieszkańcom osiedla.

Wprowadzony człowiek z płaskim nosem i mocno zarysowaną dolną szczęką przypominał bezmózgiego neandertalczyka. Zasiadł na krześle, założył nogę na nogę i patrzył tępym wzrokiem na dwójkę przesłuchujących go policjantów.

– Gdzie byłeś czternastego sierpnia w sobotę w nocy, między godziną dwudziestą drugą a szóstą rano? – zapytał Trygar.

Całej rozmowie przysłuchiwał się siedzący obok prokurator Marian Suski, protokolantka zapisywała zeznania na komputerze. W kącie siedziała również Marzena Gibała. Założyła nogę na nogę, odsłaniając kawałek uda.

– Posrało was? Toż to tydzień temu było, nie pamiętam – odpowiedział mężczyzna.

– Zacznijmy od czegoś mniej skomplikowanego – wtrącił się Tymon. – Jak się nazywasz?

– Alfred – mruknął mężczyzna i zamyślił się, niczym komputer wykonujący jakieś niezwykle skomplikowane obliczenia.

– I? – Folyński zmarszczył czoło.

– I co? – zdziwił się neandertalczyk.

– Nazwisko – westchnął Tymon.

– Kwizun – uśmiechnął się głupkowato.

Trygar, który wielokrotnie już przesłuchiwał podobnych typków, wiedział, że jest tylko jedna metoda, aby zmusić takich do zeznań – kij, kij i jeszcze raz kij. Żadnej marchewki.

– Mamy tutaj twoje akta. – Rafał rzucił teczkę na stół. – Wynika z nich, że jesteś na warunkowym zwolnieniu. Wystarczy małe doniesienie do prokuratury, abys wylądował w pierdłu. Tak się dobrze składa, że siedzi z nami prokurator.

Suski tylko wzruszył ramionami i uśmiechnął się głupkowato w przepraszającym geście.

Mężczyzna rozglądał się nerwowo, jakby ważył wszystkie za i przeciw, wreszcie wolno z ociąganiem zaczął zeznawać:

– Nie zrobiłem nic złego – rzucił w stronę Mariana.

– Słuchamy uważnie. – Trygar rozsiadł się na fotelu i skrzyżował ręce na piersi. Co chwilę spoglądał na udo Marzeny, nie mogąc się skupić. Zauważył, że wzrok Folyńskiego również ucieka co chwilę w zakazany kierunek.

– Jest skrytka w supermarkecie na Marszałkowskiej. Wykupiona na cały rok z góry – zaczął Alfred. – Czasami dostają tam zlecenia.

– Od kogo? – zapytał Tymon.

Alfred zawahał się, jakby powiedział zbyt wiele, a teraz zastanawiał się, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji.

– No... od chłopaków – rzucił, nie znajdując lepszego wyjaśnienia.

– Chłopaków? – dopytywał Tymon.

– Kontaktuję się tylko przez tę skrytkę. Odkąd wyszedłem z pierdła, nie spotykałem się z nikim, nikogo nie widziałem. Dostają kasę za wykonane zadanie. To wszystko legalne, zgodne z prawem, jestem budowlańcem, robię na zlecenia, nie zawsze jest robota, więc czasem dzięki skrytce wpadnie jakaś dodatkowa kasa – chaotyczne, urwane zdania wyskakiwały z ust Kwizuna.

– Co to za robota? – zapytał Folyński. Trygar siedział, nie odzywając się. Wzorcowo odgrywał rolę złego gliny.

– Czasami trzeba iść do kogoś powiadomić uprzejmie, żeby oddał kasę, innym razem przewieźć jakąś brykę z Krakowa czy Łodzi, sami wiecie, życie nie jest łatwe – tłumaczył Alfred.

– Czy wizyta w restauracji Honsiu była takim właśnie zleceniem? – zapytał Folyński.

– Tak, miałem pojawić się w japońskiej restauracji, wejść na pierwsze piętro, trochę się pokręcić i zabierać dupę w troki. Tak było napisane na kartce, którą znalazłem w schowku.

– Masz tę kartkę? – zapytał Trygar.

– Niszczyć je zaraz po przeczytaniu.

– Była pisana odręcznie?

– Nie, na komputerze – powiedział Kwizun.

– Czy kartka z tym zleceniem była inna niż te z wcześniejszymi zleceniami? – zagadnął Trygar.

Kwizun zastanawiał się przez chwilę, próbując przypomnieć sobie jakieś szczegóły.

– Była napisana jakby krócej, prościej niż zwykle, ale reszta była chyba podobna – odpowiedział po chwili.

– Wiesz, że w nocy czternastego sierpnia popełniono w restauracji Honsiu morderstwo? – zagrzmiał Rafał.

– Tak, doszły mnie słuchy – wymamrotał Alfred, starając się nie dać po sobie poznać, że zdanie wypowiedziane przez Trygara zrobiło na nim jakiegokolwiek wrażenie.

– W tym momencie stajesz się głównym podejrzanym. Koledzy cię wystawili, rzucili na pożarcie – powiedział Foltiński, wstając od stolika. Spojrzał w oczy siedzącego w rogu Suskiego, jakby próbował z nijakiego wyrazu twarzy prokuratora wyczytać jego myśli.

– Ja naprawdę niczego tam nie zrobiłem – tłumaczył się Kwizun. – Miałem tylko pofilować, nie pokazywać twarzy, założyłem kaptur i po prostu łąziłem. Potem odebrałem ze skrytki kasę. To wszystko. Nikogo nie zabiłem.

– Nie zastanawiałeś się, po co realizować takie bzdurne zlecenie? Każdy zauważyłby, że to podstęp – tłumaczył Foltiński. W pewnym momencie Marzena przełożyła nogi tak sugestywnie, że przez ułamek sekundy oczom policjantów ukazały się czerwone majtki.

– Robiłem już głupsze rzeczy – odpowiedział Kwizun, wzruszając ramionami. – Grunt, że kasa z tego była.

– Czy kiedy byłeś w Honsiu na piętrze, zwróciłeś na coś uwagę? – dopytywał Rafał. Alfred zastanawiał się przez chwilę, próbując unikać spojrzenia Trygara. Łypał czasami okiem na milczącego Suskiego, potem na Marzenę.

– A co można słyszeć w burdelu? Jakies cwele stękały, panienki popiskiwały. Wszystkie drzwi do pokoiów na piętrze były zamknięte. Postąłem chwilę i się zmyłem. To wszystko – odpowiedział niewyraźnym, przepitym głosem.

– Widział cię ktoś?

– Nie wiem, miałem naciągnięty na głowę kaptur – powiedział Alfred.

– Dobrze – westchnął Tymon, odwracając się w stronę Kwizuna. – Jak dowiadujesz się o nowych zleceniach?

– Zaglądam do schowka w supermarkecie zawsze w poniedziałek rano, czasem coś dla mnie jest, a czasem nie. – Alfred przełknął ślinę. Podrapał się po trzydniowym zarostie, próbując znaleźć akceptację w oczach Folytyńskiego.

– Kto jest twoim pracodawcą, możesz sypać, i tak koledzy położyli na tobie lagę i wystawili na odstrzał. Chcesz ich ukrywać? – zapytał Trygar, z wściekłością w głosie, jakby resztkami sił powstrzymywał się, aby nie wybuchnąć.

– Lepiej wylądować w pudle niż z kulką w głowie na cmentarzu – stwierdził Alfred.

– Czy to koledzy od Mańka? – zapytał Folytyński.

Zapadła cisza. Widać było, że Kwizun ani myśli odpowiadać na pytanie.

Folytyński, widząc wahanie Alfreda, wstał z krzesła, podszedł do przesłuchiwanego, nachylił się i szepnął mu do ucha. – Daj nam tylko jakiś znak, tak żeby pani protokolantka nie mogła niczego złego na ciebie napisać.

Kwizun milczał, na jego twarzy zawitał nagle szeroki uśmiech, który po chwili zniknął za zasłoną spierzchniętych warg.

– A teraz słuchaj – powiedział Trygar. – W przyszły poniedziałek pójdziesz do schowka, jakby nigdy nic i zobaczysz, co nowego tam dla ciebie jest. Rozumiesz?

– Rozumiem, rozumiem – wymamrotał Alfred.

– Na razie cię nie wsadzimy, ale tylko dlatego, że będziesz nam jeszcze potrzebny. A teraz możesz odejść. Ty, Marzena, też wyjdź. – Rafał przywołał policjanta w mundurze, który wyprowadził Kwizuna z pomieszczenia. Razem z nimi wyszła policjantka i protokolantka spisująca zeznania.

Prokurator Suski siedział w kącie i nadal milczał, zastanawiając się nad zeznaniami wyprowadzonego mężczyzny.

– To nie on – wymamrotał Trygar – znam takich kolesi i od razu wyczuwam, czy gość kłamie. Ktoś to wszystko sprytnie rozegrał, aby rzucić podejrzenie na tego głąba.

– Powiedział, że ostatni list był inny niż poprzednie – zauważył Foltyński.

– Od lat depczemy Mańkowi po piętach. To zupełnie nie w jego stylu, żeby tak banalnie wystawić się na strzał. On takie sprawy załatwia inaczej – zastanawiał się głośno prokurator.

– Dolek w lesie albo cementowe buciki? – uśmiechnął się Foltyński.

– Maniek nie wysłałby człowieka do restauracji Honsiu, bo w ten sposób rzuciliby na siebie podejrzenie.

– Łudzę się jeszcze, że to Kwizun zabił Tadłę – powiedział Suski. – I że zrobił to z polecenia Mańkowskiego.

– To nie on, jestem tego niemal pewien – zawyrokował Trygar. – Ten ostatni list w skrytce w supermarkecie podłożył ktoś inny. To nie byli ludzie Mańka.

– Ale ten ktoś musiał wiedzieć, jak ludzie Mańkowskiego porozumiewają się z Kwizunem – zwrócił uwagę Tymon.

– Byłoby cudowne, gdybyśmy znaleźli odciski palców tego neandertalczyka w restauracji Honsiu. – Marian wzniosł ręce do nieba, jakby prosząc Boga o łaskę. – Mielibyśmy głównego podejrzanego, a i na Mańka byłby jakiś hak.

– Ale ponieważ życie ani trochę nie chce nas słuchać, tak się zapewne nie stanie – stwierdził Trygar.

– Może Kwizun dostanie kolejną robotę ze skrzynki w supermarkecie na Marszałkowskiej? – zapytał Tymon.

– To spalony trop. Nikt się na Marszałkowskiej w sklepie więcej nie pojawi – stwierdził Trygar.

– Jasna cholera – przeklął Marian. – Trzeba będzie sprawdzić powiązanie Mańka z Tadłą i Klezmerowiczem, może się znali, albo chodzili przynajmniej do jednej szkoły? – drążył Suski, próbując w akcie rozpaczony złapać się przysłowiowej brzytwy.

– Albo na te same panienki – spuentował Tymon. – Sugerujesz, że dawni przyjaciele mogli się pokłócić i Mańkowski rozpoczął prywatną wendettę? – zapytał Foltiński, próbując przeświecić tok myśli prokuratora.

– Nie wiem, trudno to wykluczyć. Przede wszystkim trzeba złożyć wizytę Mańkowi.

– Który to już raz – westchnął Foltiński.

– A jak nowa? – zapytał Suski. – Widzę, że uatrakcyjnia wam pracę.

– Prowokuje – odrzekł Tymon.

– Ma po prostu kurewski charakter – spuentował Rafał.

– Co ona chce zyskać takim zachowaniem? – dopytywał poirytowany Foltiński.

– Boisz się, że cię wygryzie? – zapytał Suski. – Walka świeżaków o uznanie może przynieść dobre skutki dla śledztwa. Każdy chce się wykazać.

– Ja z nikim nie walczę – parsknął Tymon. – A ona niech się najpierw normalnie ubierze, potem może uznam ją za policjantkę.

Marian wyszedł z pomieszczenia, zostawiając funkcjonariuszy samych.

Tymon Foltiński z Rafałem Trygarem, po przesłuchaniu Kwizuna, zgodnie z poleceniem prokuratora Suskiego, udali się w odwiedzin do osoby, która od przynajmniej czterech lat uchodziła za niepisanego szefa ciemnego warszawskiego półświatka. Policjanci wielokrotnie próbowali stawiać Mateuszowi Mańkowskiemu aka Maniek zarzuty o malwersacje finansowe, czerpanie korzyści z nierządu, czy handel narkotykami. Dzięki domniemanym koneksjom ze światem finansjery i polityki gangster był nieuchwytny.

Ponieważ nie chcieli się rozpraszać, postanowili, że Marzena Gibała zostanie na komendzie i zajmie się papierkową robotą, którą tak bardzo przecież uwielbiała. Z drugiej strony fakt, że Maniek nie zobaczy twarzy nowej policjantki z wydziału kryminalnego, można będzie w przyszłości wykorzystać.

Policjanci postawili służbową Astrę na parkingu przed posesją, i pod czujnym okiem ochroniarzy kręcących się wokół domu, ruszyli w stronę bramy wejściowej. Za każdym razem dom Mańkowskiego robił na Foltyńskim ogromne wrażenie, nie każdego było stać na trzypiętrowy dworek z dwuspadowym dachem i czterema wieżyczkami zdobionymi staroegipskimi motywami. W tylnej części posesji na plan pierwszy wysuwał się ogromny basen z otwieranym dachem. Podczas ciepłej letniej pogody można było wygrzewać się w słońcu na sztucznej plaży, w długie zimowe wieczory we wnętrzu panował przyjemny tropik. Saunarium i SPA z prawdziwego zdarzenia były tylko dopełnieniem przepychu. A już zupełnym przegięciem był lew Ptasiak żyjący w klatce wybudowanej w ogrodzie.

Mańkowski z zawodu był aktywnym adwokatem posiadającym prywatną kancelarię w centrum Warszawy. Za swoje powiązania ze światem przestępczym był wśród prawników przekreślony. Niemniej jednak, wszelkiego rodzaju szumowiny, szemrani biznesmeni i zdyskredytowani politycy, dosyć często korzystali z jego usług, próbując wywinąć się od odpowiedzialności. Nikt do końca nie wiedział, jakie koneksje i znajomości posiada Maniek, mówiło się, że opłaca zarówno polityków, jak i urzędników, aby móc bez przeszkód prowadzić przestępczy proceder. Największym problemem policjantów było zebranie dowodów, które pozwoliłyby postawić Mańkowskiemu zarzuty, nie mówiąc już o złapaniu go za rękę na gorącym uczynku. Nikt nie chciał przeciw niemu zeznawać. Zbyt wiele osób straciłoby głowy, gdyby gangster trafił do więzienia i zaczął sypać. Z tego właśnie powodu od lat był nietykalny.

Foltyński wraz z Trygarem, czując, że kiszki grają im marsza, wstąpili na najsłynniejszego w mieście kebaba mieszczącego się przy ulicy Marszałkowskiej. Jadąc na przedmieścia Warszawy, konsumując niezdrowe

jedzenie, zastanawiali się, w jaki sposób rozegrać wizytę u Mańkowskiego, aby dowiedzieć się czegokolwiek.

– Będzie jak zwykle – stwierdził Fołtyński, wgrzając się w kebab.

– Pewnie tak, ale wizytę musimy odbębnić – odpowiedział Trygar.

– Słyszałem, że Maniek w podziemiach swojego domu ma lochy i przetrzymuje niewygodnych świadków, aby ich nieco postraszyć.

– Może również należy do współczesnej inkwizycji i rozprawia się z heretykami? – zarechotał Trygar. – Albo rzuca chrześcijan swojemu lwu na pożarcie?

Mateusz powitał policjantów w salonie. Zaprosił gości na kanapę wyglądającą tak, jakby przed chwilą przyjechała ze sklepu meblowego.

– Witam panów, co sprowadza stołecznych policjantów w me skromne progi? – zapytał Maniek. Był to mężczyzna wysoki, dobrze zbudowany, koło pięćdziesiątki. Miał w zwyczaju trenować trzy razy w tygodniu podnoszenie ciężarów, co sprawiało, że mógł poszczycić się nienaganną krzepą.

– Czy zna pan Alfreda Kwizuna? – zaczął Trygar.

Mateusz Mańkowski podszedł do barku znajdującego się za przeszklonym kredensem, otworzył go i zaprezentował kolekcję trunków i alkoholi.

– Jakoś nie kojarzę – powiedział rozbijając.

– Jest oskarżony o zabójstwo Eugeniusza Tadli, prezesa Narodowego Funduszu Zdrowia. Z tego co wiemy, pracuje dla pana – zaczął Fołtyński.

– Napiją się panowie czegoś? – zapytał Maniek, nalewając sobie whisky do szklanki. Wrzucił dwie kostki lodu i zamknął barek. Trygar odmówił, kręcąc głową. Wręczył Mańkowskiemu zdjęcie Kwizuna i wyczekiwał odpowiedzi. Gangster oglądał przez chwilę twarz mężczyzny, po czym stwierdził:

– Może kiedyś go zatrudniałem.

– Proszę sobie przypomnieć – dodał Fołtyński.

– Coś kojarzę – odpowiedział Mańkowski po chwili zastanowienia. – Jeśli dobrze pamiętam, to oszołom, wariat, człowiek niespełna rozumu. Od takich ludzi zazwyczaj trzymam się z daleka, zresztą sami panowie policjanci wiedzą,

jak bardzo szanuję prawo. – Mateusz skończył wywód i pociągnął łyceczek ze szklaneczki.

– Oczywiście znana jest nam wszystkim pańska reputacja – rzucił Foltyński.

– A czy można wiedzieć, co robił pan czternastego sierpnia, w sobotę, w nocy, między godziną dwudziestą drugą a szóstą rano? – zapytał Trygar.

Mańkowski upił kolejny łyk, po czym wezwał kogoś przez interkom. Po chwili do pokoju wszedł wysoki postawny mężczyzna w garniturze.

– Co robiłem czternastego sierpnia, w sobotę, w nocy, między godziną dwudziestą drugą a szóstą rano? – zapytał Maniek. Mężczyzna wyciągnął z teczki tabletki i szukał czegoś w kalendarzu. Po chwili odpowiedział:

– Odpoczywał pan na swoim jachcie na Mazurach.

– Czy ma pan alibi na ten czas? Ktoś pana widział? Ma pan jakieś rachunki z Mazur? – dopytywał Trygar.

– Niestety nie mam, może pan ewentualnie spytać kobietę, z którą tam byłem, czy czuła moją obecność – powiedział Maniek z butą w głosie.

– Czy ona zezna, że była tam z panem? – zapytał Foltyński.

– Nie wiem, trzeba byłoby ją o to zapytać. Choć z drugiej strony, niby dlaczego miałyby nie zeznać? – zapytał Maniek.

– Gdyby jednak tego nie zrobiła, to nie ma pan alibi – stwierdził Trygar. – A to bardzo niedobrze – powiedział, cedząc sylaby przez zęby, jakby nie chciał zostać źle zrozumiany.

– Przyszlicie mnie postraszyć? Jeśli nie mają panowie policjanci żadnych konkretnych, mogę panów oskarżyć o stręczycielstwo – odgrażał się Mańkowski, który doskonale wiedział, jak postępować z wężącymi psami.

– Zadam jeszcze tylko jedno pytanie – ciągnął Rafał.

– Słucham – powiedział Maniek, wydymając usta.

– Czy ma pan coś wspólnego z morderstwami Eugeniusza Tadli i Dominika Klezmerowicza?

– Nie wiem nic ponad to, co napisała prasa. Żegnaj panów – mruknął Mańkowski, wskazując policjantom drzwi wyjściowe.

Tymon i Rafał wstali z kanapy i w towarzystwie mężczyzny w garniturze zostali odprowadzeni aż na parking przed posesją.

– Wie coś? – zapytał Foltiński, wsiadając do samochodu.

– Ten człowiek jest nieprzenikniony. Próbowałem go obserwować, zadając pytanie o morderstwa. Nawet mu powieka nie zadrżała.

ROZDZIAŁ 13

Piotrek Cynarski, widząc minę Adama, pokręcił głową. Zaręba wyglądał jakby połknął trującą żabę.

– Co się stało? – zagadnął Piotrek.

– Nic ważnego.

– Miłosne rozterki?

– Nie chcę o tym mówić – odburknął Adam.

Po kilkunastu sekundach wzrokowego pojedynku z Piotrem, Zaręba wycedził przez zęby:

– Wczoraj jedna kocica... po randce zatargła mnie do łóżka.

– Gratulacje! – ucieszył się Cynarski. – I jak było? – dopytywał, popijając kawę.

– Wcale nie było – wyznał Adam.

Piotrek zmierzył kolegę z góry na dół, po czym lekko niedowierzając, zapytał tak, aby inni pracownicy siedzący w kuchni niczego nie usłyszeli.

– Jesteś prawiczkim?

Początkowo Zaręba nie odpowiedział, zrobił tylko kwaśną minę i jakby zapadł się w sobie.

– Każdy kiedyś był – stwierdził z zażenowaniem.

Piotrek uśmiechnął się głupkowato, po czym uderzył rękami o kolana.

– I o co tyle hałasu?

– Tobie łatwo powiedzieć, wrywasz laski niczym wędkarz na tarle łososia.

– Przecież tobie też dobrze idzie – powiedział Cynarski z dumą w głosie.

– Dobrze mi idzie, do czasu. Jak dochodzi do finału, to kłapa. Zaczynam się stresować, serce chce mi wyskoczyć z piersi, pocę się jak szlauch ogrodowy. No i mam problem z tym tam, na dole. Może cała krew odpływa do mózgu?

Może tylko jeden organ może funkcjonować w tym samym czasie? – Adam starał się zbagatelizować swój problem.

Cynarski patrzył z politowaniem na podopiecznego, a w głowie kiełkował pomysł.

– Nawet nie wiesz, jakie to żenujące, kiedy siłujesz się z założeniem gumki, robiąc dobrą minę do złej gry, a tu miękki kolega z dolnego piętra, za cholere nie chce z tobą współpracować.

– Ale przecież od takich problemów są dziewczyny – zauważył Cynarski. – Jeśli baba choć trochę wie, o co w tym wszystkim chodzi, to sobie poradzi. No chyba, że trafiłeś na kompletną amatorkę, która nigdy nie robiła remontu dolnego piętra.

– Nie, ona była dobrym budowlańcem – zaproponował Adam, wspominając klęskę z ubiegłej nocy. – To ja zawałam na całej linii. Zaprawa mi nie stwardniała.

– Wiesz co – zaproponował Piotr – po pracy masz wrócić do mnie do domu. Ja załatwię coś na mieście i przyjdę za dwie, trzy godzinki, aby rozwiązać twój problem.

– Co zrobisz? – zapytał Adam.

– Wezwę fachową ekipę budowlaną – powiedział Cynarski, wychodząc z kuchni.

Zaręba dostrzegł jeszcze, jak kolega idąc korytarzem, wyciąga telefon i gdzieś dzwoni. Do końca dnia, pełen złych obaw, zachodził w głowę, co takiego wymyślił Piotr.

Otwierając drzwi do mieszkania na Mokotowie, Adam o mało co nie zemdleł, bo na kanapie w salonie zobaczył śliczną długonogą blondynkę mrugającą zawadiacko rzęsami.

– Cześć, Piotrek dzwonił, że mam kogoś rozprawczyć – powiedziała bez ogródek.

– Słucham? – zdziwił się Adam, z trudem przelękając ślinę.

– Jestem Tania – kobieta złapała Zarębę za rękę i pociągnęła w głąb mieszkania. Była piękna, czarna obcisła sukienka opinająca wydatne piersi

i gruszkowatą talię sprawiała, że mężczyzna nie mógł odwrócić wzroku. Nie wiedział nawet, co ma powiedzieć, choć ostatnimi czasy usta mu się przecież nie zamykały. Czuł się zupełnie bezradny, niczym dziecko, które po raz pierwszy zostało odprowadzone do przedszkola i pozostawione bez rodziców. Siedział tylko i z przestraszoną miną wyczekiwał na dalszy rozwój wypadków. Tania zaciągnęła mężczyznę do sypialni, ściągnęła z niego spodnie i wzięła sprawy w swoje usta. Po kilku minutach usilnych starań doszła do wniosku, że będzie to dużo trudniejsze zadanie niż początkowo się wydawało.

– Jesteś spięty? – zapytała, spoglądając w górę na wystraszonego Zarębę.

– Że co? – zapytał Adam, czując się kompletnie rozbitý i zażenowany.

Kobieta, jako że była profesjonalistką, wiedziała, że niemoc fizyczna spowodowana jest blokadą psychiczną, dlatego długo się nie zastanawiając, przerwała dotychczasowe starania i usiadła na łóżku, przyjmując namiętą pozę.

– Opowiem ci dowcip – zaczęła, uśmiechając się.

– Słucham? – zdziwił się Zaręba, stojąc z opuszczonymi spodniami na środku sypialni.

– Ostatnio byłam w szpitalu na kontroli ginekologicznej. Zaczepiam gościa w kitlu i pytam, czy jest ginekologiem? A on mi na to, że nie, ale z przyjemnością mnie obejrzy.

Za pierwszym razem kawał nie przyniósł żadnego rezultatu. Zaręba nadal stał jak wryty, nie zdając sobie sprawy z tego, co dzieje się wokół niego. Dopiero piąty, czy szósty dowcip sprawił, że mężczyzna usiadł na łóżku i nieco się rozluźnił. Nieustraszona kobieta, widząc delikatną odwilż na twarzy Zaręby, rozpoczęła namiętny taniec, podczas którego kolejne części garderoby łądowały na ziemi. Na koniec Tania pozostała przed Adamem w samych tylko majteczkach. Uklękła, zbliżając się wolno do niesfornego rumaka. Już po dwóch minutach mogła sobie pogratulować, widząc pierwsze efekty ciężkiej pracy. Wstała z kolan i spojrzała Adamowi głęboko w oczy.

– Chciałbyś mnie zerznąć? – wymamrotała, tak namiętnie jak tylko potrafiła. Zdjęła majtki, po czym stanęła przed nim tak, jak ją Pan Bóg stworzył.

– Kim ty jesteś? – zapytał Adam, ledwie łapiąc oddech.

– Studentką psychologii z Rosji – wyznała, uśmiechając się – co jak widać, czasem się przydaje.

– Robisz to za pieniądze? – zapytał Adam.

– Za pieniądze – mruknęła.

– Dlaczego?

– Bo lubię.

– Ale? – chciał zagadnąć Zaręba.

– Nie pierdol tyle, tylko bierz się do roboty – powiedziała i już za chwilę pożałowała swoich słów.

Adam czując na sobie presję, znowu się zestresował. Tania widząc, że cała jej praca zaraz pójdzie na marne westchnęła, po czym wtuliła się namiętnie w amanta. Kilka pocałunków sprawiło, że mężczyzna znowu się rozluźnił i odzyskał wigor. Kobieta po raz kolejny wzięła sprawy w swoje ręce, założyła rumakowi uprząż i pociągnęła mężczyznę na siebie. Już po chwili leżeli na łóżku w pozycji misjonarskiej. Dalej sprawy potoczyły się na tyle szybko, że pięć minut później było już po wszystkim. Tania myślała, że będzie mogła chwilę odpocząć, jednak kawaleria Zaręby po zdobyciu Częstochowy gotowa była do kolejnego natarcia.

Po dwóch godzinach Cynarski wrócił do domu i zobaczył kolegę zupełnie odmienionego. Adam niczym ptaszek, podskakując z radości, ubrał się i wybiegł z mieszkania, po czym popędził po schodach w dół. Tylko ironiczny uśmiech Cynarskiego był komentarzem do całej sytuacji.

– To był naprawdę ciężki przypadek – stwierdziła Tania. – Gdybym wiedziała, wzięłabym podwójną stawkę – dodała.

– Wcale nie jesteś tania – powiedział Piotr.

– Ależ jestem...

– Będzie coś z niego? – zapytał Cynarski.

– O tak, bez wątpienia – Tania uśmiechnęła się tajemniczo, i poruszając zawadiacko biodrami, wyszła z mieszkania.

ROZDZIAŁ 14

Policjanci i prokurator zebrali się w komendzie wojewódzkiej, i popijając czwarty tego dnia kubek kawy, próbowali uporządkować zebrane fakty z przebiegu śledztwa. Marian wyświetlił na rzutniku kilka zdjęć z protokołami i materiałami zabezpieczonymi przez techników z biura kryminalistyki. Marzena Gibała siedziała za stolikiem, dumnie prezentując dekolt. Niemal zawsze przychodziła do pracy w krótkich służbowych spódnicach opinających biodra i bluzkach wypuklających ponętne piersi. Foltyński początkowo był jej strojem poirytowany, po drugim tygodniu doszedł do wniosku, że szkoda walczyć z wiatrakami. Należy zaakceptować fakt ich istnienia. Gibała zdawała sobie sprawę, że jeśli nie zrobi nic głupiego, jako protegowana tatusia, będzie pod specjalną ochroną i nikt jej z policji kryminalnej nie usunie, chyba że sama zrezygnuje. A prowokujący strój pozwalał jej zdobyć przewagę nad samcami, którzy głupieli na widok cycków.

– Tak jak przypuszczaliśmy, Klezmerowicz znał się z Tadlą. Spotykali się na różnego rodzaju komisjach rządowych i spotkaniach ministerialnych – zaczął Stefan.

Policjanci siedzieli w milczeniu, obserwując jak Suski wyświetla slajd prezentujący długi nóż znaleziony w ręce Tadli w restauracji Honsiu.

– To chińska podróbka japońskiego sztyletu, importuje się ich tysiące i są bez numerów seryjnych. Jest na tyle ostry, że można się nim przeciąć, ale na tyle kiepski, że daleko mu do prawdziwego japońskiego Tanto. Większość sklepów z bronią ma podobne podróbki w swoim asortymencie, nie mówiąc już o setkach sklepów internetowych. Ten trop możemy sobie darować – powiedział Suski.

– A jak nasz neandertalczyk? – zapytał Foltyński.

– Kwizun? Tak jak się spodziewaliśmy, nie dostał w poniedziałek żadnego zlecenia – dodał Stefan.

– Śledziliście go? Widział się z kimś? – dopytywała Marzena.

– Z nikim się nie kontaktował, ale zapewne bał się wystawić z domu choćby czubek nosa, po tym jak go zgarnęliśmy – stwierdził Suski.

– Tak jak mówiłem, Alfred Kwizun to tylko płotka, możemy wykreślić go z listy podejrzanych – zawyrokował Rafał, zadowolony, że spełniło się jego przypuszczenie.

– I tu was zaskoczę – ciągnął prokurator. Wyświetlił na rzutniku protokół z analizy daktyloskopijnej zebranej z restauracji Honsiu. – Odciski palców na banknocie dziesięciozłotowym, który znaleźliśmy w pokoju, gdzie zginął Eugeniusz Tadla, pasują do Alfreda Kwizuna.

Policjanci popatrzyli na siebie ze zdziwieniem, podejrzewając, że Suski żartuje.

– A więc kłamał podczas zeznań! Był w restauracji Honsiu w pokoju, gdzie zabito Eugeniusza Tadłę – stwierdził Trygar. – Trzeba teraz tylko udowodnić, że to Maniek zlecił mu tę robotę i mamy w garści największego gangstera w mieście.

– Poczekajcie – uspokajał Suski. – Odciski palców Alfreda Kwizuna są tylko na dziesięciozłotowym banknocie. Nie ma ich nigdzie indziej – dodał prokurator. – To wszystko wydaje się nazbyt oczywiste. Nie chce mi się wierzyć, że ten głupek mógłby zabić prezesa Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska. Ktoś ewidentnie go wrobił, zostawiając mu zlecenie w skrzynce w supermarkecie i preparując banknot z jego odciskami palców. Wszystko po to, aby rzucić podejrzenie na Mateusza Mańkowskiego.

– Nawet gdybyśmy bardzo się starali, aby znaleźć dowody na to, że Mańkowski zlecił Kwizunowi zabicie Tadli, to nie sądzę, aby nam się to udało – rzucił Tymon. – Maniek obstawi się prawnikami i jak zwykle nic mu nie zrobimy.

– Dlatego uważam, że morderca podrzucił nam ten trop, aby zwrócić uwagę na Mańka – rzucił Suski.

– A co z morderstwem Klezmerowicza? – zapytał Foltiński. – Podpalenie byłoby w stylu Mańkowskiego, jednak te listy i cała szopka związana z mistyfikacją samobójstw jakoś mi nie pasują do wyrachowanego gangstera.

Suski przechadzał się po pomieszczeniu komendy wojewódzkiej niczym hiena po klatce.

– Mańkowski jest zbyt cwany, aby posłużyć się figurantem Kwizunem do załatwienia tak ważnej osoby jak prezes Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska – rozważał prokurator. – Wiedziאלby, że wcześniej czy później znaleźlibyśmy jego trop. Zakładam również, że Maniek nie wie, że ktoś próbuje go zrobić.

– No dobrze – wtrąciła się Marzena – załóźmy, że ktoś inny zrobił Alfreda Kwizuna, kaźąc mu być figurantem w restauracji Honsiu, kiedy zabito Tadle. W takim razie dlaczego ludzie Mateusza Mańkowskiego nie dali temu neandertalczykowi kolejnego zlecenia w skrytce w supermarkecie?

– Maniek ma wtyczki w policji i prokuraturze. Sądziś, że nie dowiedziאלby się, że wezwano Kwizuna do prokuratury? Takie wieści rozchodzą się nad wyraz szybko – stwierdził Suski, po czym nacisnął pilota, aby wyświetlić na ścianie kolejny slajd z pożegnalnymi listami pozostawionymi przez samobójców.

– Biegli grafolodzy stwierdzili, że ostatnie słowa Klezmerowicza i Tadli zostały napisane w stanie pobudzenia emocjonalnego – ciągnął wywód.

– To nie wnosi do sprawy niczego nowego, poza jednym niezaprzeczalnym faktem. Możemy spodziewać się kolejnych ofiar. Pytanie tylko, gdzie i kiedy? – zawiesił głos Tymon.

– Mańkowski wie, że go obserwujemy. Kolejne morderstwo dowiedzie jego niewinności – zauwaźył Marian.

– Chyba, że wymyśli jakiś inny sposób.

Suski zaprezentował na ekranie kolejny slajd.

– Pozwólcie, że przedstawię wam kolejne fakty, które mogą rzucić na sprawę nowe, barwne światło – zaproponował Suski.

– A są nowe fakty? – zdziwił się Foltiński.

– Zamek w drzwiach do apartamentu Klezmerowicza był nienaruszony – komentował zdjęcia Stefan. – A zatem najprawdopodobniej ofiara sama wpuściła mordercę do mieszkania.

– Sądysz, że się znali? – zapytała Gibała.

– Może morderca podał się za listonosza, albo kuriera – zaproponował Trygar.

– Weryfikujemy jeszcze nagrania z wideodomofonu oraz z kamer rozmieszczonych na strzeżonym osiedlu – stwierdził Suski.

– Jakie ono strzeżone, skoro strażnik nawet nie zauważył, że ktoś wszedł do apartamentu Dominika Klezmerowicza – parsknął Foltłyński.

– Ponoć spał, co mu się wcześniej nieraz zdarzało – dodał prokurator. – Dziwne tylko, że nie widział, jak palił się apartament na górnym piętrze w bloku. Dopiero sąsiedzi zareagowali.

– Czyżbyś sugerował, że był w spisku? – dopytywał Trygar.

– Nie sędzę, to po prostu jakiś dureń, który siedzi tam po znajomości – podsumował Marian.

– Prokurator generalny codziennie pyta mnie o postęp w śledztwie – narzekał poirytowany Stefan.

– Politycy zaczynają się niepokoić, wynajmują ochronę, bo boją się o życie swoje i swoich bliskich. Prasa bredzi coś o politycznym mścicielu. A my błądzimy po omacku. Potrzebuję tropów, jakiegoś znaczącego śladu, który popchnęłoby śledztwo do przodu, a nie tylko mętnych poszlak i dywagacji.

– Poczekajmy na sekcję zwłok Klezmerowicza, może czegoś się dowiemy. – Trygar próbował udobruchać prokuratora ostatnim ochłapem, jaki pozostał mu w obwodzie.

– Co niby mielibyśmy tam znaleźć? – zirytował się Suski. – Cudem będzie, jeśli sąsiedzi Klezmerowicza cokolwiek słyszeli. Pewnie nabiorą wody w usta.

– Od żony Tadli również niczego się nie dowiedzieliśmy – wtrącił się Foltłyński, który wyczuł desperackie próby komisarza Trygara mające wykazać, że w temacie prowadzonego śledztwa policjanci wcale nie działają po omacku. – Mówiła, że mąż chodził w każdą sobotę na spotkania z kolegami, ale nie wiedziała, że bzykał tam skośnookie panienki.

– A co z tą Adrianną, kochanką Klezmerowicza. Byliście u niej? – zmienił temat prokurator, zwracając się w stronę Tymona.

– Rozpląkała nam się w ramionach, ledwie byliśmy w stanie cokolwiek z niej wydusić. Rozstała się z Klezmerowiczem jakiś miesiąc temu, bo on chciał wrócić do żony. To naiwna panienka, która niewiele wie o życiu. Pewnie doradca ministra chciał sobie zrobić skok w bok i była pierwszą ofiarą, jaka stanęła mu na drodze. Nie podejrzewaliśmy jej o morderstwo.

Policjanci milczeli przez kilka minut, przyglądając się slajdom i materiałom z oględzin miejsca zbrodni, wczytywali się w protokoły, jednak nikt nie był w stanie zaproponować niczego, co wniosłoby do sprawy choć odrobinę świeżości.

– Bierzcie się do roboty, bo mnie minister zabije – wymamrotał Suski, widząc bezradność swoją i funkcjonariuszy.

– Zaprzęgliśmy wszystkich do roboty – tłumaczył się Rafał. – Przeszukujemy wszystkie bazy i archiwa, jakie tylko wpadną w nasze ręce.

– To wróćcie, jak coś będziecie mieli! – zagrział prokurator. – Marzena, do roboty, co ty tu jeszcze robisz?

Policjantka strzeliła focha, i kręcąc biodrami, wyszła z pokoju.

– Czy ona wam nie przeszkadza? – zapytał poirytowany Suski.

– Przywykliśmy, w gruncie rzeczy to całkiem dobra dziewczyna – odpowiedział Trygar. – Ma wady i zalety jak każdy.

– Widzę, że zalety przesłoniły ci wady – dodał Marian. – Ma chłopaka?

– Chyba nie, a co?

– A nic – odpowiedział prokurator. – Wy też bierzcie się do roboty.

Dwójka policjantów wyszła z pokoju, dochodząc do wniosku, że najlepiej będzie zniknąć Suskiemu sprzed oczu, zanim ten wybuchnie na dobre.

– Czy on sądzi, że jestem pedofilem? – obruszył się Trygar, zastanawiając nad dziwnym pytaniem Suskiego.

– Zapraszam cię do nas na obiad. Pomyślimy przy piwie, jak ugryźć ten orzech. Może nie połamiemy sobie zębów – zmienił temat Foltyński.

– Litujesz się nade mną? – wymamrotał Trygar.

– Po prostu nie mam ochoty patrzeć, jak wracasz do pustego domu i upijasz się w trupa.

– Nie potrzebuję współczucia – mruknął komisarz.

– To nie współczucie, potraktuj to jako zabezpieczenie.

– Zabezpieczenie?

– Zabezpieczenie mojej przyszłości. Chciałbym, abyś był w niej uwzględniony. To jak z zaproszeniem? – nie ustępował Foltyński.

Rafał tylko wzruszył ramionami.

– Ale bez Marzeny – dodał Tymon. – Działa mi na nerwy.

Komisarz westchnął.

ROZDZIAŁ 15

Pewnego dnia, po powrocie z pracy, przyjaciele przyszli do mieszkania Piotra. Adam od razu usiadł przy komputerze i przeglądał jakieś strony internetowe, Cynarski zaś położył się na kanapie i z dziwnym wyrazem twarzy przyglądał się koledze.

– Coś się stało? – zapytał Zaręba.

– Chyba jesteś już gotowy na kolejny stopień wtajemniczenia – stwierdził Piotr, przekrzywiając głowę niczym ptak.

Brwi Zaręby, niesione falą ciekawości, powędrowały w górę.

– Zabieram cię na spotkanie PUA – powiedział Piotr, mrużąc oczy.

Wszystko to brzmiało dość tajemniczo, jednak Adam traktujący Cynarskiego jak mentora w sprawach sercowych, nie zaprotestował. Pamiętał miłe niespodzianki, jakie niejednokrotnie zgotowywał mu przyjaciel. Mężczyźni dorobili się nawet wspólnego rytuału, do którego należało analizowanie przebiegu randek młodego adepta sztuki podrywu. Piotr wskazywał Adamowi wszelkie błędy i niedociągnięcia, jakie ten popełniał podczas rozmów i spotkań z dziewczynami. Z czasem doszło do tego, że Zaręba nie tylko przestał bać się płci pięknej, ale wręcz pragnął towarzystwa kobiet bardziej niż męskiego grona. Po ciężkich doświadczeniach, jakie zafundował mu Piotrek z piękną Tanią, Adam z niebywałym zaangażowaniem rozpoczął zgłębianie arkanów miłosnej sztuki. Doszło nawet do tego, że z czasem uczeń przerósł mistrza i Cynarski niejednokrotnie zaskakiwał kolegę nowinkami związanymi z erotycznymi gadżetami, czy technikami dotyczącymi tantrycznego seksu.

– Kim są PUA? – dopytywał Adam, kiedy jechali samochodem Piotra w stronę Mokotowa.

– To skrót od *pick up artists*, czyli mistrzów podrywu. Grupa ludzi połączonych wspólną pasją – uśmiech Cynarskiego był dziwnie cyniczny.

– To jest taka grupa? – zdziwił się Adam.

– Oczywiście, a skąd niby dowiedziałbym się o tym wszystkim, o czym tłukę ci do głowy od miesięcy. Chyba nadszedł czas, abyś zobaczył prawdziwych mistrzów PUA. Zanim jednak do nich pojedziemy, podskoczmy jeszcze do Galerii Mokotów spotkać się z kimś.

– Czy ty handlujesz narkotykami? – Zaręba nie wytrzymał i zadał pytanie, które dręczyło go od dłuższego czasu.

– Nie handluję – stwierdził Cynarski, urywając temat.

Mężczyźni zaparkowali samochód w podziemnym garażu, po czym udali się na drugie, restauracyjne piętro centrum handlowego, gdzie zamówili colę.

– Widzisz tamtą sucz? – zapytał Piotr, wskazując na wysoką kobietę z mocnym makijażem.

Zaręba przytaknął, nasłuchując, co takiego usłyszy za chwilę z ust kolegi.

– To tak zwana dziesiątka. Mam wewnętrzny podział kobiet ze względu na atrakcyjność. Zupełnie inaczej podchodzisz do dziewiątek i dziesiątek a zupełnie inaczej do ósemek, siódemek czy szóstek.

– A co z piątkami i czwórkami? – zapytał Zaręba.

– Od takich trzymasz się z daleka, chyba, że podrywasz je w celach ćwiczebnych – uśmiechnął się Cynarski.

W pewnym momencie do Piotra podszedł przysadzisty typek, przywitał się i wręczył mu mały przedmiot. Mężczyźni po wymianie porozumiewawczych uśmiechów pożegnali się. Nagle Cynarski dostrzegł, że w jednej z kolejek do restauracji sałatkowej czeka Alicja Kownacka. Długo się nie zastanawiając, podbiegł do dziewczyny, która zdawała się zaskoczona niecodziennym spotkaniem. Przywitali się, obdarowując namiętnym pocałunkiem. Zaręba stał z tyłu, popijając colę. Ostatecznie postanowił przyłączyć się do pary. Po kilku minutach rozmowy na temat pracy w SpecialBanku, kobieta spojrzała na zegarek i oznajmiła:

– Mam umówionego fryzjera. Muszę lecieć. – Ucałowała Piotra w policzek i zniknęła na ruchomych schodach.

– Cóż za miłe spotkanie – stwierdził rozmarzony Cynarski. – Bardzo fajna dziewczyna.

– Piotrek, czy ty ją zwodzisz? – dopytywał Zaręba.

– Zawsze mówię dziewczynom, że mogą ze mną zrobić wszystko, poza jednym.

Adam wyczekiwał na odpowiedź kolegi.

– Nie mogą mnie mieć na wyłączność.

– I jak reagują na taką deklarację?

– Pamiętaj, bardzo ważną rzeczą dla kobiety jest twoja intencja i jasne postawienie sprawy. One nie są głupie i zwykle wiedzą, czego od nich chcemy – uśmiechnął się Piotrek. – Choć na początku warto być dla niej tajemnicą i nie zdradzać od razu, że chcesz ją tylko przelecieć.

– To po co cała ta gra, zaloty, flirty?

– Jak to po co? To są testy, które mają sprawdzić, czy będziesz dobrym kandydatem na męża. Ważne jest, aby wszystkie te sprawdziany z góry odrzucać, dać kobiecie do zrozumienia, że znasz jej gierki i jesteś ponad nimi. Tak działa dojrzały, wartościowy facet, który nie bawi się w damskie podchody.

Mężczyźni dopili colę i ruszyli schodami na dół, kierując się w stronę parkingu.

– Wspominałem ci o dotyku na pierwszej randce? – zagadnął Piotr.

– Coś wspominałeś. Zastanawiam się, czy można kobietę dotykać tak od razu, przy pierwszym spotkaniu? – zaintrygował się Adam.

– To kwestia wyczucia. Badasz, na ile możesz sobie pozwolić. Jeśli chcesz z kobietą pójść do łóżka, musisz jej to pokazać poprzez kontakt cielesny, delikatne muśnięcia, dotknięcie włosów, czasami nawet klepięcie w pupę. Jeśli nie zrobisz tego odpowiednio szybko, jej podświadomość wypoziumuje sobie ciebie jako przyjaciela i nici z kontaktu fizycznego. Żebyś nie wiem, co robił, nie przeskoczysz już z etapu przyjaciela do kochanka. To takie programowanie podświadomości, rozum nic tu nie wskóra.

– Dziwne to wszystko – wymamrotał Zaręba.

– A co w tym dziwnego? – zapytał Piotr, otwierając drzwi samochodu.

– Te wszystkie zachowania pokazują dobitnie, jak niewiele dzieli nas od zwierząt. Choć mamy mózgi i uznajemy się za istoty myślące, tak naprawdę cały czas ulegamy pokusom i najniższym instynktom.

– Bravo! Widzę, że zaczynasz rozumieć. To czysta chemia i fizyka, z którą się nie dyskutuje – podsumował Cynarski, uruchamiając silnik. – Jest nawet teoria, zgodnie z którą, jeśli dziewczynie nie spodobają się twoje feromony, to żebyś nie wiem co robił, nie zdobędziesz jej ciała. Podobno ludzie dobierają się właśnie po zapachu, choć nie wiem, ile w tym prawdy. To jest ta słynna chemia uczuć. Dlatego ważne jest na początku, abyś startował tylko do kobiet zainteresowanych. Te niedostępne zostaw sobie na potem jako deser, kiedy staniesz się już mistrzem.

Adam tylko westchnął.

– Na szczęście są jeszcze syntetyczne feromony, które mogą pomóc, ale o tym opowiem ci innym razem.

Mężczyźni zajechali przed niewielki dom kultury znajdujący się kilka przecznic od stadionu narodowego, na którym w świetle reflektorów odbywała się jakaś impreza sportowa. Kibice wykrzykiwali wulgarne hasła, próbując zrobić wrażenie na oponentach z drużyny przeciwnej. Przyjaciół jednak niewiele to interesowało, wysiedli z auta i ruszyli w stronę tylnego wejścia do budynku. We wnętrzu kameralnego holu Piotr spotkał kilku znajomych, z którymi najpierw się przywitał a potem zapoznał ich z Adamem. Zaręba obserwował zgromadzonych mężczyzn, zastanawiając się, czy wszyscy są mistrzami podrywania. Na pierwszy rzut oka wydawali się całkiem normalni, zarówno pod kątem urody, jak i sposobu bycia.

Zaręba znowu zobaczył, że Piotr wymienia się z jakimś mężczyzną niewielką przenośną pamięcią podręczną.

„Co takiego mieli do ukrycia?” – zastanawiał się Zaręba. – „Czy nie mogli danych elektronicznych przesyłać sobie pocztą? Dlaczego wszystko to stanowiło tajemnicę, o której Cynarski nie chciał rozmawiać, ucinając w zarodku wszelkie moje pytania?”.

O godzinie dziewiętnastej wszyscy zgromadzeni udali się na salę kinową, zajęli miejsca i czekali jakby na rozpoczęcie filmu, albo sztuki teatralnej.

Zaręba zlustrował na szybko całe towarzystwo siedzące na widowni i stwierdził ze zdziwieniem, że pomiędzy kilkudziesięcioma uczestnikami imprezy są również dziewczyny.

– Sądziłem, że to typowo męskie kółko – powiedział do siedzącego obok Piotra.

– To nie jest spotkanie dla snobów zapatrzonych we własne nosy. Chcemy się rozwijać, poznawać ludzi i siebie, a przy okazji podrywamy dziewczyny i czerpiemy z tego przyjemność. Najwyraźniej one również znajdują na tych spotkaniach coś cennego, co mogą zaanektować do własnego życia.

Po chwili na środek sceny wszedł przeciętnej urody młody człowiek o ciemnej karnacji, ubrany w dżinsy i sweter. Przesunął flipchart, po czym zwrócił się w kierunku zgromadzonej na sali publiczności.

– Witam wszystkich – uśmiechnął się szczerze, niczym aktor, który za chwilę rozpoczyna teatralny monodram. – Ile mamy dzisiaj nowych osób? O widzę kilka twarzy. Bardzo się cieszę i przejdę szybko do tematu prelekcji. Jak zawsze, jeśli macie jakieś pytania, to po prostu mi przerywajcie. Dla tych, którzy mnie jeszcze nie znają, jestem po prostu Tomek – oznajmił, po czym odkrył pierwszą kartę flipchartu, na której widniał napis.

„Jeśli dasz kobiecie orgazm, a najlepiej trzy pod rząd, to nigdy nie będzie się rozglądać za nikim innym”.

Na sali rozległy się pojedyncze śmiechy.

– Niestety to prawda, z której mało kto zdaje sobie sprawę – powiedział Tomek. – Cały ten świat księżniczek, zauroczeń, miłości, wierszy i romantyzmu sprowadza się do jednego prostego zdania. Facet ma orgazm zawsze, najważniejsze jest tylko to, w jak ładne opakowanie wstrzeli swój magazynek.

Adam z początku był nieco przyłoczony i zdezorientowany sposobem mówienia Tomka i przedmiotowym traktowaniem kobiet. Z czasem jednak doszedł do wniosku, że to tylko poza, aktorstwo związane z odgrywaną rolą.

– Tylko pięćdziesiąt pięć procent szczęściar ten orgazm w ogóle ma. A zatem jeśli znajdzie się mężczyzna, który jej go da, ona bez wątplenia będzie

się go trzymać i wszelkie inne aspekty zejść na plan dalszy. Jak myślicie, ile procent par rozpada się z powodu problemów seksualnych? – zapytał Tomek.

– Sześćdziesiąt osiem – padło ze środka sali.

– Coś koło tego – przytaknął prowadzący, przewracając kartkę na flipcharcie. – Reszta w ankiecie pewnie skłamała.

Po sali przeszła kolejna fala śmiechu. Na arkuszu pojawił się następny slogan, okraszony przez nieliczne uczestniczkę spotkania brawami.

„To kobieta wybiera, z kim pójdzie do łóżka”.

– To kolejna prawda, choć my PUA mamy metody, aby dziewczyna wybrała właśnie nas, a nie kolegę obok. – Tomek uśmiechnął się, prezentując białe proste zęby.

– Jednym z większych problemów w relacjach damsko-męskich jest fakt, że faceci kuszą kobiety obietnicą związku. Dziewczyny natomiast targują swym ciałem. Gdyby postawić sprawę jasno, byłoby znacznie mniej oszukanych i zawiedzionych ludzi. Pozwólcie, że rozwinę ten temat. Jak zachowują się mężczyźni, widząc atrakcyjną kobietę? Głupieją na jej widok, robią się niczym ciepłe wafle, są dla nich mili i uprzejmi, kupują im kwiaty, prezenty, stawiają drinki, znoszą ich fochy, nie kłócą się z nimi, a wszystko dlatego, że one posiadają to, co tak bardzo tym mężczyznom wydaje się atrakcyjne – piękne ciało. A prawdę mówiąc, gdyby sprowadzić temat do zwierzęcych podstaw, wszystkie te zabiegi mają tylko jeden cel – złożyć nasienie w pochwie samicy. Tyle, że samica chce nasienie od najlepszego samca w stadzie. I tutaj zaczyna się cały ambaras.

I znowu na sali rozległy się głosy akceptacji zmieszane z wyrazami oburzenia. Zaręba zrozumiał, że w ten właśnie sposób prowadzący wymusza na widzach uwagę, stwarza warunki do myślenia, budzi z letargu, w który wpadają studenci siedzący trzecią godzinę na nudnym wykładzie.

– Cały problem jest w tym, że piękne kobiety nie inwestują w swój rozwój, ponieważ wszyscy mężczyźni wokół utwierdzają ją w przekonaniu, że jest cudowna. A zatem ona nadal handluje największą wartością jaką posiada, czyli ciałem. Dlaczego ciało mężczyzny nie miałoby być równie cennym dobrem jak ciało kobiety? Ma ktoś jakąś odpowiedź?

– Prawo podaży i popytu – odpowiedział wysoki mężczyzna w białej koszuli.

– Brawo, ale proszę starych wyjadaczy o wstrzymanie się od głosu. – Tomek pogroził palcem w kierunku chłopaków siedzących w trzecim rzędzie. – Kobiety nie są takie głupie jak mężczyźni, nie patrzą tylko na wygląd, a zatem atut cielesności faceta nie jest tak istotny i to bynajmniej nie dlatego, że ci są mniej atrakcyjni. Spójrzcie na gejów, tam atut fizyczności ma ogromne znaczenie, ci mężczyźni dbają o siebie dużo bardziej niż kobiety.

Tomek zrobił przerwę, stanął na podwyższeniu i spojrzął z góry na widownię, która z każdą sekundą niecierpliwiła się coraz bardziej.

– Zasada jest prosta – kontynuował. – Kobiety potrzebują naszej bliskości równie mocno, jak my potrzebujemy ich, a może nawet bardziej. Dlaczego zatem one nie starają się o nasze ciała? Dlatego, że my faceci uczymy kobiet takiego zachowania od urodzenia. Całe kuriozum polega na tym, że to płeć piękna ma więcej uciechy z cielesności i seksu. A zatem gdzieś po drodze, w trakcie rozwoju i ewolucji coś się tu pomieszało. Dlatego w tym miejscu mam prośbę do bardziej doświadczonych PUA. Jeśli kobieta gotowa jest pójść z wami do łóżka, to dajcie jej do zrozumienia, że to nie jest tylko jej decyzja a wspólny wybór. Jeśli ona tego nie zrozumie, po prostu jej odmówcie, przecież w najgorszym wypadku, będzie inna kobieta. A najważniejsza i tak jest satysfakcja emocjonalna, a nie cielesna, prawda?

Na sali rozległy się brawa sugerujące aprobatę pomysłu. Piotrek również przyłączył się do owacji.

– Pokażmy im, że my, mężczyźni, również mamy coś cennego, a ciała kobiet wcale nie są dla nas nagrodami. Marzy mi się taki dzień, kiedy wszystkie puste kobiety, dbające tylko o swój wygląd, będą musiały dojść do wniosku, że ich skarb nikogo już nie interesuje a one nie mają świata nic do zaoferowania.

– Mężczyźni musieliby wymrzeć, jak mamuty – rzucił Cynarski i ludzie na sali ponownie wybuchnęli gromkim śmiechem.

– A teraz powiedzcie mi, jak zachowuje się mężczyzna, prawdziwy PUA? Jakimi wartościami powinien kierować się w życiu? – zapytał Tomek,

zwracając się w stronę zgromadzonej na sali publiczności.

– Ciało kobiety to nie wszystko, ważne jest wnętrze – powiedział szczupły chłopak.

– Naczytałeś się romansów, ale w sumie masz rację – spuentował Tomek. – No bo pomyślcie, moi drodzy mężczyźni, że po wielkich trudach zdobywacie wreszcie taką pustą kobietę. Nazwijmy ją tipsiarą, zakochujecie się w niej od pierwszego wejrzenia. I co dalej? Ano, trzeba będziecie mieć z nią dzieci, przeżyć kolejne pięćdziesiąt lat po ślubie, a może nawet i dłużej. O czym będziecie rozmawiać? Kto więcej wódki wypił na imprezie? Albo ile żon miał znany aktor? Zastanówcie się, życie jest długie i nie kończy się na pierwszej poznanej kobiecie. Szukajcie mądrych dziewczyn – Tomek zawiesił głos – a tipsiary możecie sobie czasem przelecieć dla rozrywki.

Na sali po raz kolejny dało się słyszeć śmiechy męskiej części widowni.

– Dajcie mi coś jeszcze – zachęcał Tomek.

– Miej własne zdanie – rzucił mężczyzna z pierwszego rzędu. – Nie dawaj kobiecie nadziei na związek, a jeśli chcesz ją tylko przelecieć, to powiedz jej to otwarcie, prosto w oczy.

– Brawo, ale o tym mówiliśmy kilka tygodni temu, co jeszcze? – dopytywał Tomek.

– Nigdy nie buduj swojego życia wokół kobiety – powiedział Cynarski.

– Dokładnie. Niech to ona buduje swoje życie wokół twojego – dodał prowadzący. – Choć nie wróżę świetlanej przyszłości takiemu związkowi. Każdy osobno musi stanowić dla siebie i innych wartość, być podporą i ostoją, na której buduje się coś trwałego. I nie ma w tym żadnego samouwielbienia, czy narcyzmu, tu chodzi o szacunek dla własnej osoby o samoakceptację i miłość. Dopiero ze złożenia dwóch wartościowych osób może powstać nadwyżka, która wyniesie małżeństwo pod niebiosa. Zapamiętajcie, to bardzo ważne, o ile nie najważniejsze dla każdej relacji i związku.

Tomek po raz kolejny zrobił dłuższą przerwę w wypowiedzi, po czym widząc zniecierpliwienie na twarzach zebranych, kontynuował:

– Macie jeszcze jakieś prawdy życiowe?

– Nie komplementuj jej, nie wchodź w tyłek, nie stawiaj na piedestał. Deprecjonuj wartość tych bardziej dowartościowanych kobiet. Unikaj bycia mężczyzną-pieskiem – wymieniał brodaty mężczyzna siedzący w drugim rzędzie.

– O tym też była już mowa, dajcie coś jeszcze – zachęcał Tomek.

– Chłopaki, myjcie się! – ledwie młoda blondynka wypowiedziała zdanie, na sali rozległy się śmiechy.

– To wcale nie jest takie banalne, my mężczyźni po prostu śmierdzimy, nie dbamy o podstawowe zasady higieny – podsumował Tomek, podnosząc rękę i wachając się w okolicach pachy, co spotkało się z dezaprobatą części zgromadzonych osób.

– Dobrze – klasnął w dłonie prowadzący, zmieniając stronę na flipcharcie – na zakończenie chciałbym zwrócić uwagę na pewien ważny mechanizm. – Musicie być mężczyznami, nie dajcie się szantażować kobietom, nie bawcie się w ich gierki, testy, fochy, sztuczki i manipulacje. One są od nas po prostu mądrzejsze, zarówno umysłowo, jak i emocjonalnie, dlatego jakakolwiek próba zabawy w te klocki sprawi, że polegniecie. Tak usposobiła nas natura, kobiety przez miliony lat ewolucji wykształciły cechy, których my mężczyźni po prostu nie mamy i pogódźmy się z tym faktem, zamiast z nim walczyć. Mówcie kobietom, że oczekujecie prostych jasnych zasad, informacji, a nie chaotycznego bełkotu. I jeśli ona twierdzi, że nie wie za bardzo czego chce, to niech pomyśli dwa dni i po tym czasie niech oznajmi sensowną i użyteczną informację. Uczcie kobiety męskich cech, jednocześnie próbując przejmować ich emocjonalność, współczucie, wyczuwanie niuansów i odcieni życia. Mężczyzna musiał działać szybko i konkretnie, bo tego oczekiwała od niego natura, bez podejmowania decyzji po prostu zginąłby, to kobieta była opiekunką domu, odczuwała wszystkie subtelności w relacjach z innymi, dlatego zostawmy im tę domenę. Dzięki temu wzbogacimy siebie wzajemnie.

– Jak w takim razie oczekiwać od kobiety logicznych wyjaśnień, skoro ona sama nie wie czego chce? – zapytał długowłosa mężczyzna.

– Dobre pytanie. Nigdy, ale to nigdy nie próbujcie wyjaśniać kobiecie czegoś w sposób logiczny, sensowny, metodami perswazji, bo te po prostu nie

działają. Więcej uzyskasz, kiedy będziesz ją intrygował, rozśmieszał, opowiadał ciekawe historie niż rozmawiał i wyjaśniał. I dotyczy to zarówno podrywania, jak i bycia z kobietą w związku. Posługujcie się analogiami, opowieściami, przykładami z życia, bądźcie bardami we własnym domu a uzyskacie w komunikacji z płcią piękną znacznie więcej, niż używając twardych argumentów.

Tomasz po raz kolejny zrobił przerwę, zmienił kartkę na flipcharcie, po czym przeszedł do końcowej fazy prelekcji.

– Nieszczęściem mężczyzn jest też to, że chwytają się kurczowo pierwszej napotkanej kobiety i zwykle tkwią z nią do końca życia, tłumacząc sobie, że nic lepszego już im się w życiu nie przytrafi. A teraz pomyślmy wspólnie, dlaczego tak się dzieje?

– Obawa przed odrzuceniem, samotnością, osądem – wymieniały kolejne osoby zgromadzone na sali.

– Przede wszystkim niskie poczucie własnej wartości. To nad nią mężczyźni musicie pracować, z tym mamy największe kłopoty, kobiety wypadają tu znacznie lepiej. Dlaczego największy nawet pasztet, kiedy zaczynam go podrywać, robi sobie nadzieję i bynajmniej wcale przede mną nie ucieka? A dlatego, że on wierzy, że jest atrakcyjną kobietą i po latach niepowodzeń wreszcie poznał się na niej jakiś przystojniak. A co myśli facet, kiedy piękna kobieta się do niego zaleca? Tłumaczy sobie, że musi być w tym jakiś interes, bo to przecież niemożliwe, na pewno chodzi jej o kasę, albo przynajmniej założyła się z koleżankami, jak umiejętnie zrobić ze mnie wała. Proszę was o jedno i to jest nasze motto na dziś. Rozwijajcie się, czytajcie książki, studiujcie myśli innych ludzi, co roku psychologowie odkrywają nowe przełomowe prawidła w zachowaniu się człowieka. Śledźmy te zmiany, uczmy się, to najważniejsza ludzka powinność. Mając wiedzę, nic nie będzie dla was straszne, to najważniejsza wartość, na którą możecie mieć wpływ. Bądźcie atrakcyjnymi dla samego siebie a przyciągniecie do siebie mnóstwo kobiet, o jakich tylko wam się zamarzy.

Tomasz uśmiechnął się i uklonił, kończąc występ. Na sali rozległy się brawa, część osób wstała, robiąc prowadzącemu owację na stojąco. Po

wszystkim, zebrani udali się do jednej z salek domu kultury, gdzie rozmawiali już w mniejszych grupkach. Adam poznał tego dnia wielu wartościowych ludzi, a co najważniejsze poczuł się jak prawdziwy członek społeczności PUA.

Cieszył się również, bo miał w jutrzejszych planach randkę z piękną brunetką poznaną w centrum handlowym. Zaręba zupełnie nie obawiał się tego spotkania, co wprawiało go w doskonałą nastrój, zwłaszcza, kiedy przypomniał sobie stan swojego załęknionego umysłu sprzed kilku miesięcy. W głowie powtarzał hasło usłyszane niedawno od Piotra, że to, co różni ludzi między sobą, to sposób reakcji na niepowodzenia. Tylko ci, którzy potrafią się po nich pozbierać i nadal walczyć o swoje racje, tak naprawdę są zwycięzcami. Z tego też powodu, wynik jutrzejszej randki nie miał dla Zaręby żadnego znaczenia. Zwycięzcami mogą zostać tylko ci, którzy w drodze po chwałę, gotowi są wszystko stracić.

ROZDZIAŁ 16

Rodzina Tymona Foltyńskiego była dla niego niczym cicha przystań na wzburzonym morzu. To ona dawała wytchnienie, pozwalając ładować akumulatory na kolejne dni pracy w policji kryminalnej. Andżelika Foltyńska była wysoką, dobrze zbudowaną brunetką o wydatnych piersiach i szczerym uśmiechu, a Janek Foltyński trzyletnim brzdącem, którego wszędzie było pełno.

Trygar wpadał czasami do rodziny Tymona w gošcinę, dzięki czemu mógł zakosztować rodzinnej atmosfery. Ilekroć Foltyński wspominał komisarzowi, o tym jak trudno w dzisiejszych czasach być samotnym, i najwyższy czas znaleźć sobie drugą połówkę, Trygar natychmiast się obruszał, tłumacząc, że w obecnym stanie jest mu dobrze i nie zamierza wdawać się w żadną nową relację, która przysporzy mu więcej problemów niż korzyści. Siedem lat samotności topionej w alkoholu odcisnęło na Rafale piętno. Nie potrafił już żyć inaczej i nawet desperackie próby Tymona, aby wyrwać go ze stanu zubożenia, na nic się zdawały.

Podczas obiadu policjanci starali się nie rozmawiać o pracy, uśmiechali się tylko, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia. Oczy Trygara świeciły dziwnym blaskiem, na twarzy pojawiły się oznaki zadowolenia, których Foltyński dawno już nie widział u przełożonego.

– Nad czym teraz pracujecie? – Andżelika poruszyła zakazany temat.

Rafał milczał, zastanawiając się, czy nie zmienić tematu dyskusji na bardziej neutralny. Wreszcie nie wytrzymał i z grzeczności odpowiedział:

– Morderstwa VIP-ów. Pewnie czytałaś o nich w prasie.

– W gazetach pisali, że popełnili samobójstwo – stwierdziła Andżelika, patrząc na Janka. Chłopiec walczył z widelcem, chcąc przepołowić ziemniaka.

– Nie rozmawiajmy o tym – przerwał Foltyński. – Nie przy dziecku.

– Skoro chcesz – zgodziła się kobieta, zwracając twarz w stronę Trygara. – Co słyhać, byłeś ostatnio na jakiejś randce? – zapytała.

Komisarz westchnął i wymamrotał nieobecnym głosem:

– Syn był u mnie w odwiedziny.

– To dobrze – ucieszyła się Andželika. – Czyżbyście się wreszcie pogodzili?

– Powiedział mi, że życie nie ma sensu, a potem się pokłóciliśmy – urwał Rafał.

– Dlaczego, co się stało? – zapytał Tymon.

– Powiedziałem mu, że życie ma wielki sens – wymamrotał komisarz. – Na to on mnie zapytał, a jaki?

– Co mu odpowiedziałeś? – zainteresował się Folytyński.

– Że dla każdego inny.

– I?

– Zapytał, jakie dla mnie życie ma sens?

Zapadło milczenie.

– Ponieważ nie odpowiedziałem, to nazwał mnie kłamcą – Trygar przerwał ciszę.

– Przeżywa trudny okres w życiu – powiedziała Andželika, po czym zajęła się doglądaniem małego Janka. Był to rodzaj koła ratunkowego, dzięki któremu mogła poczuć się zwolniona z obowiązku rozmowy z Rafałem.

– Słyszałam, że macie nową policjantkę do pomocy. Ładna chociaż? – zmieniła temat Andželika.

– Straszny pasztet – odpowiedział Folytyński.

– Tak – dodał Rafał. – Pasztetowa.

Do końca obiadu nikt się nie odezwał. Po posiłku policjanci pomogli pozmywać naczynia, otworzyli po puszcze piwa i zamknęli się w pokoju Folytyńskiego. Żona Tymona z dzieckiem siedzieli w salonie i oglądali bajki w telewizji. Trygar kręcił się na obrotowym krześle i rzucał lotkami do tarczy zawieszanej na ścianie.

– Kilkanaście osób pracowało nad rozgrzebaniem życiorysów Tadli i Klezmerowicza. I chyba się oplotało – wypalił.

– Czemu wcześniej nie powiedziałaś? – zapytał Foltyński, rozsiadając się na kanapie. Teraz stało się jasne, dlaczego komisarz był taki podekscytowany. Tymon uruchomił na komputerze głośny teledysk, który zagłuszał rozmowę policjantów.

– Klezmerowicz i Tadla byli znajomymi od piętnastu lat. Poznali się na szkoleniu zorganizowanym przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Byli wtedy młodymi urzędnikami pracującymi w Ministerstwie Infrastruktury.

– Do rzeczy – ponaglał Tymon – to już wiemy.

– Siedem lat temu mężczyźni byli razem na wczasach zorganizowanych dla sztabu wyborczego jednego z kandydatów na prezydenta. To była nagroda za zwycięstwo w wyborach.

– Prezydenta? Siedem lat temu? – zaciekał się Foltyński.

– Zgadnij, kto jeszcze tam był? – rzucił Trygar.

– Mateusz Mańkowski?

– A także kilkanaście innych osób z obecnego establishmentu.

– Kto?

– Kilku obecnych ministrów – Trygar wyciągnął z kieszeni wydruk komputerowy z listą nazwisk i wręczył go Foltyńskiemu.

– Nieźle, mów dalej. – Tymon wyczytywał kolejne osoby z kartki. Z każdą sekundą jego oczy robiły się coraz większe.

– Jak dla mnie ten trop, to strzał w dziesiątkę – powiedział Rafał. Rzucił lotkę, która ledwie trafiła w tarczę. – Pomyśl tylko, Tadla, Klezmerowicz i Mańkowski razem. Co więcej, wydaje się, że to ich ostatnie wspólne wakacje. Oczywiście widywali się później, przy okazji różnych imprez i spotkań, ale wspólnych tygodniowych wyjazdów już więcej nie było.

Foltyński zamyślił się, pociągając łyk piwa z puszki. Na ekranie komputera gitarzysta wygrywał *Stairway to heaven* zespołu Led Zeppelin, wyginając się w dziwnych pozach i robiąc kuriozalne miny.

– Wygląda, jakby po wspólnym wyjeździe nie chcieli być ze sobą kojarzeni – powiedział Tymon. – W jakim celu Mańkowski pojechał na te wakacje? Organizował kampanię wyborczą prezydenta?

– Był reprezentantem jednego z najważniejszych sponsorów – dodał Rafał. – Sprawdziliśmy, że przez pierwsze siedem lat znajomości Klezmerowicz i Tadla wyjeżdżali razem na wspólne wakacje dokładnie trzy razy. Nagle, siedem lat temu przestali, choć nic nie wskazuje na to, żeby się pokłócili – tłumaczył Trygar.

– W sumie dwadzieścia siedem nazwisk zajmujących najwyższe stanowiska w Państwie – stwierdził Folyński, wczytując się w listę. – Moglibyśmy poczekać, aż morderca zabije następną osobę. Jeśli będzie to ktoś z tego spisu, to prawdopodobieństwo, że idziemy właściwym tropem znacząco nam wzrośnie – zażartował Tymon.

– Powiedz to naszemu prokuratorowi – stwierdził Rafał z przekąsem w głosie.

– W jakiej miejscowości organizowano te wczasy? – zapytał Folyński.

– W Sopocie w pensjonacie „Lazurowe wybrzeże”. Ciekawa nazwa, nie? – Trygar dopił piwo, zmiął puszkę i dodał:

– Powinniśmy sprawdzić, co takiego wydarzyło się siedem lat temu podczas tego wyjazdu. To może być klucz do rozwikłania zagadki.

– Małe wakacje na koszt podatnika – rozmarzył się Folyński, dopijając piwo. – Dawno nie byłem w Trójmieście.

– Bierzymy Marzenę? – zapytał Trygar.

– Chcesz ją zobaczyć w stroju kąpielowym?

– Czemu nie. Wiesz, że twoja pozycja jest niezagrożona. Skoro i tak musimy ją tolerować, to może przynajmniej spróbujemy unikać ścięć – dodał Trygar. Po tych słowach Folyński poczuł ulgę.

– Traktujmy ją jak maskotkę.

– Skoro chcesz – powiedział Tymon.

– Cieszę się, że wreszcie mamy co powiedzieć Suskiemu – wymamrotał Rafał, rzucając ostatnią lotką dokładnie w środek tarczy.

ROZDZIAŁ 17

Życie Adama i Piotra toczyło się pomiędzy pracą a imprezami, na których mężczyźni doskonalili sztukę podrywania kobiet.

– Jak randki? – zapytał Cynarski.

– Dziś mam jedną, jutro dwie, pojutrze jedną – wymieniał Zaręba.

– Moja szkoła. Pamiętaj, że praktyka czyni mistrza. Obserwuj kobiety, z którymi się spotykasz, zobaczysz, że każda jest inna, na swój sposób ciekawa. Jeśli nabędziesz umiejętności w obchodzeniu się z płcią przeciwną, już nigdy nie będziesz samotny. Wokół ciebie zawsze będą kręciły się piękne... a może czasem brzydkie, ale za to mądre kobiety.

– Ciekawe, czy istnieją te piękne i mądre – zastanawiał się Adam.

– Jeśli taką spotkasz, to natychmiast się z nią ożeń.

– A jak romans z Alicją?

– To cudowna kobieta, choć nie wiem, czy będę w stanie wytrzymać dla niej w monogamii. Zobaczymy – zamyślił się Piotr. – Czasami mam wrażenie, że ona mnie śledzi. Spotykamy się jakoś tak przypadkowo, i to w zupełnie nieprawdopodobnych okolicznościach.

– Może dziewczyna się po prostu zakochała – żartował Adam.

– Częstotliwość naszych przypadkowych spotkań trochę mnie niepokoi.

– To zwiększ częstotliwość spotkań nieprzypadkowych – zaproponował Zaręba.

– Nie, tego robić nie wolno – stwierdził Cynarski. – To zabije chemię między nami. Należy napawać się stanem miłosnego upojenia, które tworzy się między kobietą a mężczyzną w początkowym okresie znajomości. To jak cudowny narkotyk. Trzeba go dawkować stopniowo. Poza tym, musisz być dla kobiety tajemnicą, a nie zanudzić ją po trzeciej randce.

Cynarski nagle urwał, jakby w głowie pojawiła się myśl, która uderzyła z siłą dwutonowego młota.

– Coś się stało? – zaniepokoił się Zaręba.

– A bo zawsze jak poznaję kobietę bliżej... – zawahał się Piotr. – Z Alicją jest inaczej. Może to faktycznie miłość? – zastanawiał się mężczyzna. – Choć zwykle staram się przestrzegać jednej zasady.

– Kolejna lekcja?

– Nazwij to jak chcesz.

– Jak brzmi ta zasada? – dopytywał Adam.

– Nigdy nie zakochuj się w osobie kobiety, tylko w jej cechach, w sposobie spędzania z nią czasu, w otaczającej was aurze – stwierdził Cynarski ze smutkiem w oczach.

– A dlaczego tak? – zdziwił się Zaręba.

– Nigdy nie wiesz, czy ona tak po prostu z dnia na dzień cię nie zostawi, a wtedy będziesz skrzywdzony i zraniony. W miłości i partnerstwie obowiązuje prawo dżungli. Wystarczy, że znajdzie się po prostu ktoś lepszy od ciebie a ona nie będzie mieć żadnych skrupułów, aby wybrać bardziej intratną propozycję. A niestety zawsze jest ktoś lepszy od ciebie, tylko ona tego kogoś jeszcze nie spotkała.

– To okrutne co mówisz – zaprotestował Adam.

– Takie jest życie, kiedyś przyznasz mi rację. Jeśli będziesz kochał cechy kobiet i tę niepowtarzalną atmosferę między wami, zawsze znajdziesz sobie nową towarzyszkę życia, z którą odzyskasz dawny stan umysłu. Jeśli natomiast zainwestujesz swe uczucie w konkretną osobę, możesz się zawieść. Dzisiejszy świat jest okrutny, stałość związku to rzadkość. Nie obowiązują już żadne zasady. Kiedyś bez grupy ciężko było przetrwać, głównie ze względów materialnych, a dzisiaj to żaden problem. Ludzie są w stanie żyć w pojedynkę, nie potrzebują już społeczności. Dlatego wiążąc się z kobietą, cały czas musisz być czujny, żyć z przeświadczeniem, że pewnego dnia to się może skończyć – powiedział Zaręba, zasiadając przed komputerem.

– Co robisz? – zagadnął zaciekawiony Zaręba.

– To Forex i giełda papierów wartościowych. Interesowałeś się kiedyś tymi tematami?

– Słyszałem coś, jak każdy. Da się coś na tym zarobić? – zapytał Adam.

– Nie narzekam – odpowiedział lakonicznie Piotr. – Pamiętasz, jak mówiłem ci kiedyś, że twoje umiejętności informatyczne mogą się bardzo przydać? – zaczął Cynarski.

– Pamiętam – Zaręba, czując, że kolega najwyraźniej ma jakiś interes, od razu przeszedł do rzeczy. – W czym mogę pomóc?

Piotr pokazał Adamowi skomplikowane arkusze wskaźników i trendów odzwierciedlających zmienność wzrostów i spadków akcji giełdowych, oraz kursów walut na Forexie. Potem wytłumaczył kilkanaście najważniejszych analiz, jakie przeprowadza się na tego typu danych. Zaręba obeznany zarówno z algorytmiką, matematyką, jak i statystyką nie miał większych problemów ze zrozumieniem skomplikowanych zagadnień.

– Wiem, że skończyliście w departamencie informatyki SpecialBanku pracę nad programem CP-os – zaczął Piotr.

– No tak – przyznał Zaręba. – To program, który w jednej chwili łączy się z kilkunastoma źródłami kursów walut i w czasie niemalże rzeczywistym wylicza wskaźniki i przeprowadza analizy walutowe.

– Czy do pracy tego programu potrzebne są jakieś specjalne wydatki związane ze sprzętem? – zapytał Piotr.

– Nie, aplikacja powinna działać nawet na zwykłym komputerze – odpowiedział Zaręba.

– Czy mógłbyś zainstalować ten program u mnie na laptopie? – powiedział Cynarski, jakby czekał, aby zrzucić z siebie ciężar.

Adam zaniemówił. Stał przez chwilę niczym rażony piorunem, zastanawiając się, co odpowiedzieć.

– Wiąże nas tajemnica firmowa – wymamrotał wreszcie.

Cynarski uśmiechnął się głupekowato, robiąc duże oczy, niczym przysłowiowy kot ze Shreka. Po kilkunastu sekundach wzrokowej batalii Adam wreszcie pękł:

– Może i byłbym skłonny zrobić to dla ciebie.

– Czy będę mógł skorzystać z kont dostępowych SpecialBanku? Taki dostawca jak choćby Reuters bierze spore opłaty za swoje usługi – zauważył Cynarski.

Adam patrzył w sufit, jakby chciał z niego wyczytać odpowiedzi na nurtujące pytania. Wreszcie wymamrotał z uśmiechem na ustach:

– Skonfiguruję aplikację na twoim laptopie w taki sposób, aby korzystała z dostępuw SpecialBanku. Nikt niczego nie zauważy – stwierdził z butą w głosie.

– Mam jeszcze jedną prośbę – ciągnął Cynarski, który poczuł, że może złapać dwie sroki za ogon. – Jest masa programów, które liczą wskaźniki, trendy akcji giełdowych a nawet prognozują ich ceny na podstawie historycznych danych. Mam kilka dodatkowych zmiennych, które chciałbym umieścić w standardowych algorytmach i zobaczyć, jak wpłyną one na prognozy akcji albo kursów walut.

Mimo skomplikowanego i mętnego wywodu Cynarskiego, fakty w głowie Zaręby zaczynały układać się w jedną całość.

– Potrafiłbyś napisać program, który estymowałby trendy akcji giełdowych, uwzględniając te dodatkowe zmienne? – Piotrek parł dalej niczym czołg. – Dostarczałbym ci je na przykład w Excelu albo pliku tekstowym, resztę danych pobierałbyś z jakiejś ogólnodostępnej strony giełdowej.

– Piotrek! – przerwał Adam. – Czy ty oszukujesz, grając na giełdzie? – Przed oczami Zaręby pojawiły się wszystkie potajemne spotkania, podczas których mężczyźni przekazywali sobie na przenośnych pamięciach dane, albo wymieniali się papierowymi dokumentami a wszystko w sposób, jakiego nie powstydziliby się agenci wywiadu.

Cynarski wahał się przez chwilę, zastanawiając, co powiedzieć, aby jego słowa zabrzmiały szczerze i wiarygodnie.

– Umówmy się, że uzyskuję delikatną przewagę nad konkurencją – powiedział Piotrek z cwaniackim uśmieszkiem wymalowanym na twarzy.

– Jakimi informacjami się wymieniacie? – zapytał Adam.

– Tylko takimi, które wcześniej czy później i tak pojawiłyby się w oficjalnych zestawieniach spółek giełdowych. Wykorzystujemy jedynie fakt, że dowiadujemy się o nich nieco szybciej niż reszta świata – stwierdził Adam z ironią w głosie.

– Ale to jest nielegalne! – obruszył się Piotr.

– Nie przesadzaj, nikt niczego nam nie udowodni, zresztą jeśli chcesz, nie musisz w tym uczestniczyć. Poprosiłem cię tylko o drobną przysługę – urwał Cynarski.

Zaręba zachodził w głowę, jak zjeść żabę, którą zaserwował mu kolega. Bał się, że zostanie wciągnięty przez Piotra w jakiś nielegalny szwindel, który sprawi, że wylądują za kratkami. Z drugiej strony, zawdzięczał koledze tak wiele, że trudno byłoby teraz odmówić.

– Wykorzystałeś mnie? Przyjąłeś pod swój dach, zaopiekowałeś się jak najlepszym przyjacielem, żeby teraz prosić o złamanie prawa? – pytał Zaręba z wyrzutem na twarzy.

– Adam – Cynarski spoważniał – jestem z tobą szczerzy. Pomogłem ci zupełnie bezinteresownie. Jeśli chcesz, możesz mi odmówić, albo nawet zakończyć naszą znajomość. Stoisz już na własnych nogach, poradzisz sobie beze mnie – powiedział Piotr, podchodząc do okna. Patrzył na tramwaj, który podjechał na przystanek. Jakaś kobieta biegnąca z dzieckiem na rękę w ostatniej chwili zdążyła wsiąść do pojazdu.

– Stawiasz mnie w trudnej sytuacji – twarz Zaręby była pełna żalu. Mężczyzna wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozplakać. – Mam wobec ciebie dług wdzięczności. Jeśli ci odmówię, wyjdę na totalnego frajera, jeśli się zgodzę, złamię prawo. Obydwa wyjścia są niedobre. I prawdę mówiąc, mam wrażenie, że czekałeś z tą prośbą do momentu, aż nie będę mógł powiedzieć nie.

– Twój wybór, do niczego cię nie zmuszam – rzucił Cynarski i zamilkł. Wiedział, że w niektórych sytuacjach cisza bywa najlepszym rozwiązaniem.

Zaręba obdarował Cynarskiego spojrzeniem zbitego psa.

– Jesteś moim przyjacielem – wymamrotał – dlatego zrobię to dla ciebie, napiszę ci ten program, choć wiem, w jakim celu go wykorzystasz. Ukradnę

z firmy aplikację CP-os i zainstaluję na twoim laptopie. A potem będę trzymał język za zębami, udając, że nic się nie stało.

Na ustach Cynarskiego zawiał szeroki uśmiech.

– Mam tylko jedną prośbę – dodał Adam. – Chciałbym, abyś skończył z oszukiwaniem. Jesteś mądrym facetem, poradzisz sobie bez tego.

– Planuję zajmować się giełdą maksymalnie do grudnia, a potem koniec. Dzięki twojemu programowi, nie będę musiał siedzieć po nocach, aby szacować trendy cen akcji i kursów walut. Tu naprawdę chodzi o uzyskanie niewielkiej przewagi nad przeciwnikiem. Nie robię nic złego. Ktoś przecież musi na giełdzie przegrać, żeby wygrać mógł ktoś.

Zaręba milczał, ze smutkiem słuchając lakonicznych i niezbyt przekonywujących tłumaczeń kolegi. Dotychczas widział w nim wyrozumiałego i opanowanego mentora. Coraz częściej jednak powątpiewał w szczerą intencję Piotra.

– Opowiedz mi.

– Co takiego? – zdziwił się Cynarski.

– Jak to robicie?

– Pytasz o grę na giełdzie i przekazywanie danych o firmach? – dopytywał Piotr.

– Jeśli mam być skazany za współudział, chcę przynajmniej wiedzieć, jak to działa.

Piotr odwrócił się na pięcie, po czym ruszył do kuchni, aby przygotować kawę. Nastawił czajnik, wsypał proszek „trzy w jednym” do kubków, po czym zwrócił twarz w stronę kolegi stojącego w salonie.

– Zaczęło się od spotkań PUA. – Cynarski mówił podniesionym głosem, aby kolega mógł go słyszeć. – Spędzaliśmy wolny czas, podrywając dziewczyny, wymienialiśmy się doświadczeniami, było całkiem fajnie. Ponieważ większość PUA to ludzie inteligentni, pracujący na wysokich stanowiskach w warszawskich bankach, korporacjach i dużych firmach giełdowych padł pomysł, aby spróbować coś zarobić. Naturalnym rozwiązaniem wydawała się gra na giełdzie.

– I wpadliście na pomysł, aby wykraść tajne dane od swoich pracodawców? – bardziej stwierdził niż zapytał Adam.

– Wiesz jak to jest, pracownicy zwykle wiedzą o pewnych posunięciach firmy dużo wcześniej, niż reszta świata, która dowiaduje się o nich najczęściej z prasy, mediów albo ze sprawozdań finansowych.

– A jakim rodzajem informacji się wymienialiście? – dopytywał Adam.

– Takimi, które mają realny wpływ na kształtowanie się akcji na giełdzie. Duże przetargi, podpisanie umowy z ważnym klientem, zakończenie drogiego projektu, fuzja z inną firmą, czy chociażby zmiana prezesa. Pracownicy zwykle nie mogą nabywać akcji swojej firmy, ale nic nie stoi na przeszkodzie, aby kupować walory przedsiębiorstwa, w którym pracuje kolega. Proste, nie? – rzucił Cynarski, zalewając kawę wrzątkiem.

Zaręba choć miał mieszane uczucia, jeszcze tego samego wieczoru usiadł do pracy. Zamiast chodzić na randki i podrywać dziewczyny, ślęczał nad klawiaturą i z nosem w monitorze pisał program komputerowy dla kolegi.

Zainstalowanie aplikacji CP-os na laptopie Cynarskiego również okazało się całkiem proste. Gdyby ktoś w SpecialBanku coś zauważył, Adam miał się tłumaczyć, że pracuje w domu, testując i usprawniając program. Tego typu zachowanie nie tylko nie było niczym złym, ale zasługiwało wręcz na pochwałę.

Mimo mętnych prób usprawiedliwiania samego siebie, Adam aż nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę, że robiąc Piotrowi przysługę, współuczestniczy w przestępstwie. Zastanawiał się nawet, jak sąd zinterpretowałby całą sytuację.

Praca nad oprogramowaniem zajęła Zarębę osiem wieczorów, oraz cały weekend. Analiza trendów akcji wybranych spółek była tak trafna, że Cynarski chodził całymi dniami szczęśliwy, jakby był pod wpływem narkotyków. Adam nie wiedział dokładnie, ile pieniędzy zarabiał na akcjach i Forexie Piotrek, ale domyślał się, że sporo. Najbardziej obawiał się, że cała sprawa może się wydać i któregoś dnia zapuka do ich drzwi urząd skarbowy, albo policja gospodarcza.

ROZDZIAŁ 18

Na porannej odprawie w komendzie pojawił się prokurator Suski. Od razu zorganizował spotkanie w sprawie śledztwa, które przez Tymona i Rafała zostało nazwane „listą sześciu”.

– Sekcja zwłok Klezmerowicza coś dała? – dopytywał Foltyński, który z nieskrywanym zadowoleniem odpuścił sobie wizytę w zakładzie medycyny sądowej.

– Zwłoki spalone są doszczętnie. Lekarz stwierdził, że Klezmerowicz mógł przed śmiercią z kimś walczyć, choć pewności nie ma – zaczął Suski.

– Walcząc z ogniem mógł się przecież zranić – zasugerował Trygar.

– Technicy nie znaleźli w mieszkaniu niczego szczególnego, ale udało się zdobyć nagranie z wideodomofonu Klezmerowicza, na którym słychać głos – mówił Marian.

– To ciekawe, kto jest na tym nagraniu? – zainteresował się Foltyński.

Prokurator szukał czegoś w teczce, wreszcie wyciągnął komputerowy wydruk i wręczył go Tymonowi. Aspirant przeczytał na głos.

Szanowni państwo, przyszedł mi w udziale zaszczyt reprezentować na rynku finansowym markę SpecialBanku, która niebawem podbije państwa serca nową jakością usług.

– Co to ma być? – zdziwiła się Marzena.

– To przemówienie prasowe prezesa jednego z nowych banków. Człowiek nazywa się Arkadiusz Malinowski i reprezentuje na polskim rynku Societe Aufgaben. Mają swoją siedzibę na Alejach Jerozolimskich sto dwadzieścia trzy w budynku Millenium Plaza – powiedział prokurator.

– Nic z tego nie rozumiem – stwierdził Trygar z irytacją w głosie.

– Podejrzany zadzwonił wideodomofonem do apartamentu Dominika Klezmerowicza a potem odtworzył to nagranie – tłumaczył Stefan.

– I co? Klezmerowicz, słysząc przemówienie Malinowskiego, otworzył mordercy drzwi i zaprosił go na kawę? – zapytał Trygar.

– Na to wygląda – stwierdził Suski, wzruszając ramionami.

– A co nagrało wideo na domofonie? – zapytał Foltiński.

– Ktoś zasłonił kamerę – dodał Marian. – Co więcej, osiedlowe kamery też niczego nie zarejestrowały. Jakby morderca wiedział, gdzie są rozstawione i jak ich uniknąć.

– Poczekajcie – przerwał Suski – muszę sobie to ułożyć w głowie. Podejrzany wszedł na teren strzeżonych osiedli, unikając śpiącego strażnika. Niezauważony przez kamery, dotarł do klatki Klezmerowicza a następnie zasłonił obiektyw wideodomofonu. Zadzwoił pod numer dwanaście, po czym odtworzył przemówienie Malinowskiego, co sprawiło, że został wpuszczony do środka. W apartamencie rozmawiał z Klezmerowiczem, być może wywołała się między nimi kłótnia. Jakimś cudem zmusił Dominika do napisania listu, oblał go denaturatem i podpalił. Następnie niezauważony opuścił teren strzeżonych osiedli. Przecież to się, za przeproszeniem, kupy nie trzyma – zirytował się Suski.

– Jedno jest pewne. Morderca z jakiegoś powodu próbuje zwrócić naszą uwagę na Arkadiusza Malinowskiego – zastanawiał się Foltiński, przygryzając paznokieć kciuka. – Schemat podobny do próby wrobienia Mateusza Mańkowskiego przy morderstwie w restauracji Honsiu.

Tymon wyciągnął z kieszeni listę osób, które uczestniczyły w wyjeździe do pensjonatu „Lazurowe wybrzeże” siedem lat temu i wczytał się w nią, z uwagą studiując każde nazwisko. Nagle jego oczy rozbłyły.

– Tak jak przypuszczałem. Na liście jest Arkadiusz Malinowski.

Na twarzy Trygara odmalował się entuzjazm. Tylko Suski i Gibała byli zdziwieni, nie wiedząc, z czego policjanci tak się cieszą. Tymon dosyć lakonicznie, krótkimi zdawkowymi zdaniami, opowiedział o nowym wątku w śledztwie, na jaki wpadli, wertując tony akt i dziesiątki baz danych.

– Trop prowadzi do Sopotu? – Marian próbował usystematyzować dotychczas zebrane informacje. – Ktoś próbuje wrobić Mańkowskiego i Malinowskiego w morderstwa Tadli i Klezmerowicza. Wszyscy panowie byli

siedem lat temu na wspólnych wakacjach w Sopocie. Czy to oznacza, że mordercą jest ktoś z tej listy? – Suski wziął od Foltińskiego kartkę papieru z nazwiskami.

– Skoro ofiary pochodzą z tej listy, to morderca też może – stwierdził Trygar.

– Lista sześciu – zastanawiał się prokurator, wczytując w poszczególne nazwiska. – Która z dwudziestu siedmiu osób będzie kolejną ofiarą mordercy?

– Ja obstawiałbym Malinowskiego albo Mańkowskiego – zaproponował Foltiński.

– A ja nie – odparował Trygar. – Zauważcie, że po morderstwie Tadli próbowano poprzez Alfreda Kwizuna zrobić Mańka, jednak zamordowano Klezmerowicza.

– Jednocześnie próbując zrobić prezesa Malinowskiego – dokończył Foltiński.

– I to jest waszym zdaniem trop? – zapytał Suski.

– Mamy przynajmniej zawężoną grupę podejrzanych. Można się spodziewać, że jedna z osób z tej listy zginie, a na inną zostaną skierowane obciążające dowody. „Lista sześciu” się dopełni. Tylko co dalej?

Funkcjonariusze milczeli, patrząc na dziwnie zachowującego się prokuratora Suskiego. Marzena Gibała wzięła od Mariana kartkę z listą nazwisk. Zatrzymywała się nad każdą pozycją, jakby próbowała przypomnieć sobie twarze osób.

– Mam jeszcze coś na dokładkę – odezwał się Suski. – Żona Klezmerowicza, Klaudia, podobnie jak jej mąż, miała romans. Nasi przyłapali ją z jakimś gachem, zrobili nawet kilka zdjęć.

Trygar z Foltińskim wymienili porozumiewawcze spojrzenia, ich uśmiechy wskazywały, że wcale nie są zaskoczeni sensacyjną informacją.

– Według mnie, to że miała romans – zaczął Trygar – nie wnosi do sprawy absolutnie nic. Była na tyle majątną osobą, że nawet rozwód z orzeczeniem jej winy, nie dałby jej pretekstu, aby zabić męża. Zresztą po reakcji tej pani widać było, że coś kręci.

– Wybieramy się do Sopotu, aby ustalić, co takiego wydarzyło się siedem lat temu w pensjonacie „Lazurowe wybrzeże”. – Tymon czekał z obwieszczeniem planów na najbardziej dogodny moment.

Suski patrzył w okno i zastanawiał się.

– Tylko nie siedźcie tam długo, potrzebuję was na miejscu w Warszawie – wypalił wreszcie. – I nie traktujcie tego wyjazdu jak wakacji – powiedział, jakby czytał w myślach policjantów. – Ja złożę wizytę prezesowi Malinowskiemu. Może powie mi, dlaczego morderca tak bardzo chce zwrócić na niego naszą uwagę.

Marzena Gibała, słysząc słowo Sopot, niemal od razu przybrała twarz głodnego kotka, czekającego, aż pan wróci z pracy i nakarmi biedne zwierze.

– Tak, ty też jedziesz – wypalił Trygar. – Całe wieki nie byłem nad morzem – szepnął Folyńskiemu do ucha.

ROZDZIAŁ 19

Alicja Kownacka patrzyła w zachmurzone niebo, spomiędzy którego przebijały pojedyncze promienie słońca.

– Jak się czujesz? – zapytała, wbijając wzrok w twarz długowłosej kobiety siedzącej obok.

– Coraz lepiej – odpowiedziała. Miała szarą twarz i mimo dość młodego wieku wyglądała niemal na staruszkę.

– Potrzebujesz czegoś?

– Świętego spokoju i czasu.

Siedziały i milczały, wpatrując się w dal. Czasami obok, wolnym krokiem, przechodził jakiś człowiek o nieobecnej twarzy, który zatrzymywał się na chwilę, aby popatrzeć na kobiety. Doszedłszy do wniosku, że niczego się nie dowie, ruszał dalej w głąb ogrodu.

– Czujesz? Bzy. Uwielbiam je. Pamiętasz, siedziałyśmy tak godzinami i rozmawiałyśmy o życiu. Byłyśmy takie naiwne – długowłosa przerwała ciszę.

– Coś jeszcze? Muszę już iść – powiedziała Alicja.

– Chcę laptopa – wypaliła.

– Możecie mieć takie rzeczy?

– Jak zgodzi się przełożona pielęgniarek, to tak.

– W porządku, coś jeszcze? – zapytała Alicja.

– Zginął drugi.

– Wiem. Muszę iść, czeka na mnie.

– On?

– Tak, on.

– Uważaj na siebie.

– Wyciągnę cię stąd. Obiecuję – powiedziała Kownacka.

Kobiety pożegnały się. Alicja opuściła budynek i ruszyła wzdłuż alejki. Walcząc z myślami, zastanawiała się nad skomplikowaną sytuacją, w której się znalazła. Nie potrafiła poradzić sobie z dojmującym uczuciem smutku. Z jednej strony musiała być lojalna, z drugiej wiedziała, że trzeba coś zrobić, zanim nie będzie za późno. W tym przypadku czekanie było najgorszym wyjściem. Tylko jak wybrać mniejsze zło, skoro i tak każdy z wariantów ostatecznie oznaczał tragedię. I jakby na domiar złego musiała się jeszcze zakochać. Choć, może to nie była miłość, a tylko zauroczenie? Tysiące myśli kołatało się po głowie kobiety, kiedy wychodziła z posępnego budynku z elewacją w kolorze ecru. Ruszyła w kierunku limuzyny czekającej nieopodal. Wsiadła do środka.

– Wszystko w porządku? – zapytał siedzący z tyłu mężczyzna.

– Jak zawsze.

– Wraca do zdrowia?

– Jest coraz gorzej – powiedziała Kownacka i schowała twarz w dłoniach, aby ukryć łzy ciekące po policzkach.

ROZDZIAŁ 20

Piotr Cynarski z każdym dniem był coraz bardziej podekscytowany. Dzięki oprogramowaniu Adama, oraz informacjom pozyskiwanym od kolegów pracujących w warszawskich spółkach giełdowych, sumka na koncie mężczyzny urosła do niebagatelnych rozmiarów. Zaręba przestraszył się, widząc, jakimi kwotami operuje kolega. To już nie były małe oszustwa, ale szwindle na wielką skalę. Na propozycję Cynarskiego, aby dzielić się zyskami, Adam natychmiast odmówił, zdając sobie sprawę, że podobna decyzja w przypadku wpadki postawiłaby go w świetle prawa w znacznie gorszej sytuacji niż dotychczas.

Każdego dnia Zaręba prosił przyjaciela, aby ten dał sobie spokój, bo zgromadzone pieniądze z nawiązką powinny wystarczyć, aby prowadzić spokojne życie aż do emerytury. Za każdym razem odpowiedź kolegi brzmiała, że zrobi jeszcze tylko jedną transakcję i zakończy proceder. Adam wiedział, że to tylko czcze gadanie, bo Cynarski wpadł w rodzaj uzależnienia, jakie dopada nałogowych hazardzistów.

Pewnego piątkowego wieczoru mężczyźni usłyszeli pukanie do drzwi.

Siedzieli, dopijając trzecie piwo i zastanawiając się nad strategią zdobycia piękności, która kilka dni temu wpadła w oko Adamowi. Zaręba chciał jak najszybciej spławić nieproszonego gościa, spodziewając się świadków Jehowy, albo akwizytora sprzedającego żelazka. Jakże wielkie było jego zdziwienie, kiedy w progu zobaczył trzech podejrzanie wyglądających mężczyzn.

– Zaprosisz nas do środka? – powiedział typek stojący najbardziej z przodu, który wyglądał jak pijaczyna spod monopolowego. Wyciągnął z kieszeni pistolet i skierował w stronę Adama. Dwójka kolegów stojących z tyłu przypominała byczków, jakich widuje się na osiedlowych siłowniach. Łysa głowa oraz całkowity zanik karku był ich znakiem rozpoznawczym.

– O co chodzi? – zapytał Zaręba, który poczuł, że ledwie panuje nad fizjologią. Od kilku tygodni obawiał się nalotu tajniaków z policji gospodarczej, jednak mężczyźni stojący w progu mieszkania zupełnie nie przypominali funkcjonariuszy strzegących prawa. Adamowi przeszło tylko przez myśl, że ich wizyta bez wątpienia ma coś wspólnego z przekrętami Cynarskiego.

Mocny kopniak w przeponę sprawił, że Zaręba, niczym pocisk, wleciał do przedpokoju. Gruchnął o ziemię, ogromny ból ścisnął klatkę piersiową niewidzialnymi kleszczami.

– Co, do jasnej cholery? – Piotrek nie zdołał nawet dojść do przedpokoju, kiedy na czole poczuł lufę pistoletu. Chwilę później świat odpłynął w ciemność. Upadając na podłogę, zdołał tylko dosłyszeć:

– Przeszukajcie mieszkanie.

ROZDZIAŁ 21

Marian Suski jeszcze tego samego dnia odwiedził prezesa Arkadiusza Malinowskiego. Szef SpecialBanku był zaskoczony wizytą prokuratora, zaprosił go do wnętrza gabinetu umiejscowionego na dwudziestym siódmym piętrze i zaproponował kawę.

– Słyszał pan o śmierci Eugeniusza Tadli i Dominika Klezmerowicza? – zapytał Marian, nie wdając się w zbyteczne wstępy. Obserwując prezesa, odniósł wrażenie, że Malinowski, słysząc nazwiska zmarłych, zmrużył oczy, co mogłoby sugerować, że miał coś do ukrycia. Z drugiej strony, nie musiało to oznaczać absolutnie nic.

– Tak, słyszałem o tym z lokalnego dziennika telewizyjnego – odchrząknął prezes. – Czyżby ta właśnie sprawa sprowadzała pana do mnie? – zapytał, popijając kawę.

Suski odtworzył na telefonie komórkowym zapis dźwięku z wideodomofonu Dominika Klezmerowicza. Prezes słuchał przez chwilę z niemalym zainteresowaniem. Po zakończeniu nagrania spojrzął na prokuratora z wyrazem wielkiego znaku zapytania wymalowanym na twarzy.

– Rozpoznaje pan? – zapytał Marian.

– To przemówienie, jakie wygłosiłem na konferencji prasowej – powiedział Malinowski.

– Podejrzany odtworzył to nagranie w wideodomofonie, chcąc wejść do apartamentu Dominika Klezmerowicza – tłumaczył prokurator.

– I Klezmerowicz, słysząc moje przemówienie, wpuścił mordercę do środka? – zdziwił się Malinowski.

– Dla mnie to też jest dziwne, dlatego przyszedłem zapytać pana o zdanie. Poza tym, nie powiedziałem, że to był morderca. – Suski odniósł wrażenie, że za maską uprzejmości i delikatnego uśmiechu, Arkadiusz próbuje coś ukryć. – Ma pan wrogów, którzy chcieliby pana zdyskredytować? – ciągnął.

– Pewnie wielu by się takich znalazło – roześmiał się. Dopił kawę, wstał z fotela i podszedł do okna, z którego rozpościerał się wspaniały widok na panoramę Warszawy.

– Widzi pan – wskazał prezes – mogę stąd obserwować muzeum kolejnictwa. Patrzanie na zabytkowe parowozy i lokomotywy nastraja mnie pozytywnie na cały dzień.

– Mógłby pan odpowiedzieć na pytanie – przerwał Suski, sprowadzając Malinowskiego na ziemię.

– Tak, tak oczywiście – odchrząknął prezes. – Dotychczas przez dwadzieścia pięć lat szefowałem trzem dużym polskim bankom. Pewnie wiele osób mogłoby mieć mi coś za złe. Zawsze jednak działałem w majestacie prawa i zgodnie z własnym sumieniem. Nie mam sobie nic do zarzucenia – tłumaczył Arkadiusz, cały czas patrząc przez okno.

– Proszę się zastanowić – nie ustępował Suski. – Kto najbardziej chciałby pana oczernić? Jakoś nie chce mi się wierzyć, że morderca, jak go pan nazwał, wykorzystał pańskie nagranie przypadkowo.

– Naprawdę, nie wiem – wzruszył ramionami prezes, odwracając się do prokuratora i wbijając w niego wzrok tak mocno, że Suski poczuł się nieswojo.

– Pańskie przemówienie zostało użyte niczym hasło albo sygnał rozpoznawczy – ciągnął Marian. – Dlaczego Klezmerowicz słysząc je, otworzył drzwi?

– Powtarzam raz jeszcze, nie mam pojęcia – tłumaczył się Malinowski, rozsiadając w fotelu.

– A czy znał pan Klezmerowicza i Tadłę?

– Tak, znaliśmy się. Widywaliśmy się głównie przy okazji wyjazdów biznesowych, czy sympozjów ekonomicznych, ale nie utrzymywaliśmy ze sobą bliższych kontaktów.

– A czy jeździli państwo razem na wakacje? – Suski postanowił przejść do ofensywy. Uważnie obserwował zachowanie Malinowskiego, chcąc wychwycić każdy niuans w mimice twarzy, który mógłby go zdradzić.

– Zdarzało się, ale to było wieki temu. Nigdy celowo nie umawialiśmy się na wakacje. Spotykaliśmy się raczej przypadkiem – tłumaczył prezes.

– Czy pamięta pan wyjazd do Sopotu siedem lat temu? Byliście razem w pensjonacie „Lazurowe wybrzeże” – prokurator zadał kolejny cios.

Malinowski zamyślił się, jakby w zakamarkach pamięci szukał dawnych wspomnień. Wreszcie odpowiedział:

– To chyba był wyjazd w związku z kampanią wyborczą. Mój bank wspierał finansowo ówczesnego kandydata na prezydenta. Zostałem zaproszony, to skorzystałem. Nie widzę w tym nic złego.

– Czy nie zawarł pan wtedy jakiejś bliższej znajomości z Klezmerowiczem? – nie odpuszczał Marian.

– Z Klezmerowiczem trzymaliśmy się od siebie z daleka, nieco bliżej było mi do Tadli, a to z racji zasiadania z nim w radzie nadzorczej jednego z banków. Nasze drogi rozeszły się, kiedy dostał powołanie na prezesa Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska. To był dobry człowiek, kochał przyrodę – odpowiedział Malinowski.

– Nie przychodzi panu do głowy nikt, kto mógłby chcieć śmierci Tadli? – zapytał Suski.

– Raczej nie, on był domatorem, wszyscy w kręgu go lubili. To była dla mnie prawdziwa tragedia, gdy dowiedziałem się, że nie żyje. A potem jeszcze Klezmerowicz. Prawdę mówiąc, po tym, co mi pan dzisiaj powiedział, czuję się mocno zaniepokojony.

Suski milczał, patrząc na prezesa, który wyglądał niemal doskonale. Idealnie skrojona marynarka dopasowana do koszuli i krawata robiła nieziemskie wrażenie.

– Czy chciałby pan policyjnej ochrony? – rzucił Marian.

– Nie – obruszył się Malinowski, kiwając głową. – To bardzo źle wpłynęłoby na wizerunek SpecialBanku. Poradzę sobie we własnym zakresie.

– Proszę na siebie uważać, może warto wynająć ochronę – zasugerował prokurator.

– Dziękuję za troskę.

Marian Suski podziękował prezesowi za przyjęcie. Wychodząc z gabinetu, miał dziwne przeczucie, że jeszcze tu wróci.

ROZDZIAŁ 22

Cynarski podniósł się z podłogi i dotknął bolącej głowy. Wyczuł pod palcami wielkiego guza. W bladym świetle żarówki zmęczone oczy wyłowiły betonowe pomieszczenie bez okien, przypominające piwnicę albo schron przeciwlotniczy. Na ziemi leżał nieprzytomny Zaręba. Piotr uklęknął przed kolegą i potrząsnął nim, próbując ocucić, jednak bez efektu. Na szczęście klatka piersiowa leżącego poruszała się, a z ust wydobywało się ciepłe powietrze.

„Najwyraźniej stracił przytomność” – pomyślał Piotr.

Próbował przypomnieć sobie okoliczności, w jakich się tu znalazł, jednak nie był w stanie. Ból głowy był tak dokuczliwy, że nawet po najbardziej zakrapianej imprezie nie czuł się tak fatalnie. Wstał, próbując ustać na chwiejących nogach i podszedł do metalowych drzwi widocznych naprzeciwko. Uderzył pięścią, huk poniósł się echem. Walnął jeszcze kilka razy, po czym dał za wygraną, widząc, że nie przyniesie to żadnego rezultatu. Nagle zobaczył, że Zaręba się poruszył. Podbiegł do niego i pomógł mu usiąść, nie posiadając się z radości, że kolega żyje. Adam rozmasowując kark, rozglądał się z wybałuszonymi oczami.

– Gdzie jesteśmy? – wymamrotał.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że jesteś cały – stwierdził Cynarski. – To chyba jakieś więzienie, nie ma okien, więc trudno cokolwiek powiedzieć – odpowiedział Piotr, lustrując ściany pomieszczenia.

– Przypominam sobie trójkę osiłków, którzy wdarli się do mieszkania. Potem sprawy potoczyły się tak szybko, że nic nie pamiętam. Chyba nas ogłuszyli – narzekał Zaręba.

– Kto mógł nas tak urządzić? – zapytał Cynarski.

– Nie wiem, ale obawiam się, że te twoje giełdowe szwindle mogły mieć z tym coś wspólnego. Pewnie mafia się wkurzyła, że za dużo zarabiasz i teraz

chcą się nas pozbyć.

Piotr słuchał kolegi, czując, że z każdą sekundą narasta w nim poczucie zagrożenia. Panika, ogarniająca ciało, prowadziła na skraj rozpacz. W oczach mężczyzny zaszklily się łzy. Adam, nie wiedząc, co zrobić, w akcie desperacji przytulił kolegę mocno, niczym ojciec pocieszający przestraszone dziecko.

– Spokojnie, jakoś sobie poradzimy – ciągnął, sam nie wierząc we własne słowa. – Jeszcze żyjemy.

Na słowa „jeszcze żyjemy” Cynarski nie wytrzymał i wybuchnął głośnym szlochem.

Zachowanie Piotra zaskoczyło Adama. Zamiast postawnego, szarmanckiego i elokwentnego mężczyzny, wtulał się w niego zalękniony i płaczliwy chłopiec. Zaręba coraz częściej dochodził do wniosku, że poza Cynarskiego-podrywacza, który roztacza wokół siebie czar, zaraża entuzjazmem i pasją do życia, może być tylko atrapą stworzoną na potrzebę chwili. W momentach decydujących o życiu i śmierci kolega się po prostu poddawał. Łatwo być zwycięzcą, kiedy wszystko wychodzi, gorzej podnieść się z dna.

Adam rozgonił dręczące myśli.

– Zastanówmy się – zaczął. – Z kim ostatnio zadarłeś? Komu nadepnałeś na odcisk?

– Nic nie zrobiłem – tłumaczył się Piotr, który zdołał się nieco uspokoić. – Może to ty poderwałeś jakąś kobietę gangstera? – dopytywał z pretensją w głosie.

– Żadna nie przypominała dziewczyny gangstera.

– Musimy stąd jakoś uciec, zawiadomić policję, dowiedzieć się, kto nas tu zamknął – ciągnął Zaręba.

Nagle mężczyźni usłyszeli odgłos zbliżających się kroków dochodzących gdzieś zza metalowych drzwi. Zamilkli, wyczekując tego, co miało się za chwilę wydarzyć. Zamek szczęknął, skrzydło uchyliło się i w progu pojawiła się dwójka znajomych osiłków.

– To oni nas napadli – wymamrotał do Cynarskiego, który skulił się w kącie niczym mysz. Jeden z mięśniaków stanął pośrodku i spojrzał spod oka

na mężczyzn. Podeszedł do Piotra, zmierzył go z góry, po czym złapał za ramię i pociągnął za sobą.

– A ja? – zapytał Zaręba, wstając z podłogi.

– Ty zostajesz – mruknął mężczyzna, popychając przed sobą Cynarskiego, niczym więźnia prowadzonego na egzekucję.

„Zginiemy” – pomyślał Adam, czując, jak kropla potu spływa mu po plecach.

ROZDZIAŁ 23

Foltyński, Trygar i Gibała traktowali pobyt w Trójmieście jak zasłużony odpoczynek. Oczywiście nie zapominali, że są tu służbowo, a głównym ich zadaniem jest zbadanie, co takiego wydarzyło się siedem lat temu podczas wizyty mężczyzn z „listy sześciu” w pensjonacie „Lazurowe wybrzeże”. Zanim skierowali kroki do ośrodka wypoczynkowego, odwiedzili restaurację Karpik umiejscowioną przy nabrzeżu. Było to jedno z niewielu miejsc w Polsce, gdzie można było zjeść świeżego dorsza czy flądę.

– Mój nos mówi mi, że jesteśmy na dobrym tropie – stwierdził Foltyński.

– Psi nos, to mogę mieć ja, po dwudziestu pięciu latach w tej robocie – odpowiedział Trygar.

– I co ci mówi nos? – zapytała Marzena.

– Nic – przyznał Trygar, wkładając do ust duży kawałek ryby i przepijając piwem.

Stanisław Wierzgała od dziesięciu już lat był dyrektorem sporego pensjonatu mogącego zapewnić miejsca dla ponad kilkuset gości. Korty tenisowe, dostęp do piaszczystej plaży, siłownia, basen, saunarium, czy gabinet odnowy biologicznej zachęcały turystów do korzystania z szerokiej oferty ośrodka wypoczynkowego. Policjanci zostali zaproszeni do przestronnego biura pełnego dyplomów i zdjęć, na których można było oglądać dyrektora w towarzystwie warszawskich polityków, celebrytów i prominentów odwiedzających pensjonat. Wierzgała był mężczyzną po pięćdziesiątce, z precyzyjnie wystrzyżonymi bokobrodami i przeredzonymi, siwymi włosami. I tylko staromodny garnitur wprowadzał w jego wyglądzie pewien dysonans, upodabniając go bardziej do listonosza niż szefa sporego ośrodka wczasowego.

– Działamy od dwudziestu lat – opowiadał dyrektor z entuzjazmem w głosie. – Mieliśmy lepsze i gorsze momenty w naszej historii, jednak od samego początku byliśmy ośrodkiem ekskluzywnym, dla ważnych osobistości.

Widzieli panowie naszą aleję gwiazd, z odciskami rąk polityków, aktorów i artystów?

– Na pewno obejrzymy – powiedział Foltyński. – Jesteśmy tu, żeby zapytać o kilka osób, które odwiedziły was dość dawno temu. – Tymon wręczył dyrektorowi ośrodka listę z nazwiskami dwudziestu siedmiu osób. Wierzgała czytał przez chwilę, drapiąc się po brodzie.

– Część nazwisk to osoby z pierwszych stron gazet – stwierdził, oddając kartkę Foltyńskiemu. – Choć jestem dyrektorem tego ośrodka od dziesięciu lat, to chyba niewiele państwu pomogę.

Stanisław przecesał dłonią po włosach i uśmiechnął się, prezentując idealną kławiaturę zębów.

– Ale mamy system komputerowy – stwierdził po chwili z dumą w głosie. – Możemy sprawdzić, kiedy ci ludzie u nas byli – dodał.

– Co rejestrujecie w systemie komputerowym? – zapytała Gibała.

– Dane adresowe naszych gości, czas pobytu, sposób płatności, usługi, jakie pensjonat świadczy klientom, ewentualnie dodatkowe opłaty z tytułu korzystania z barku, sauny czy masażu – wymieniał dyrektor.

– Czy byłaby możliwość, aby wydrukować nam wszystkie dane dla osób z listy? – poprosił Trygar.

– Jaki okres panów interesuje? – dopytywał Wierzgała.

– Chcielibyśmy całą historię – odpowiedział Trygar, uśmiechając się głupkowato.

Wierzgała poprawił się na fotelu, odchrząknął, po czym odpowiedział:

– Oczywiście, zaraz zlecę to pracownikowi.

Trygar siedział nieco z tyłu, przyglądając się rozmowie Foltyńskiego z dyrektorem.

– Którzy z pracowników personelu pamiętaliby czasy sprzed siedmiu lat? – komisarz włączył się do rozmowy.

– Fluktuację personelu mamy umiarkowaną. – Dyrektor zastanawiał się, drapiąc po brodzie – Ale chyba są dwie albo trzy osoby, które pamiętałyby tamte czasy.

– Kto to taki? – zapytał Trygar.

– Na pewno nasz recepcjonista. Pracuje u nas od początku – zamyślił się dyrektor, układając w głowie listę pracowników. – Kierowniczka pokojówek również powinna pamiętać tamte czasy i szefowa strefy SPA, która wcześniej pracowała w administracji.

– Czy moglibyśmy porozmawiać z tymi ludźmi? – zapytał aspirant.

– Oczywiście, poproszę ich, aby byli dla panów dostępni – odpowiedział Wierzgała, wybierając na telefonie numer recepcji pensjonatu.

Policjanci pożegnali się z dyrektorem, dziękując za uprzejmość i współpracę, a następnie udali się na rozmowę ze starym recepcjonistą Hubertem Wylewą. Człowiek przed siedemdziesiątką, który dawno temu powinien przejść na emeryturę, nadal jednak sprawował swoją funkcję. Była ona głównie reprezentacyjna, ponieważ mężczyzna poza słabym wzrokiem i słuchem miał problemy z obsługą komputera, czy skutecznym i szybkim obsługiwaniem klientów. Jakakolwiek próba odesłania Huberta Wylewy na zasłużony odpoczynek natychmiast spotykała się z protestem stałych pensjonariuszy, wielce chwalaących sobie gadatliwość i życzliwość starszaka, który zawsze miał do opowiedzenia masę historii z bujnego, pełnego przygód życia.

Był on czymś w rodzaju dobrego ducha, spajającego wszystkie elementy w jedną całość. Ciężko było powiedzieć, co takiego robi na co dzień pan Hubert, jednak bez niego nie byłby to już ten sam ośrodek.

– Siedem lat temu – zaczął Wylewa – dawne czasy. – Mężczyzna mówił z dziwną manierą, co chwilę przełykając ślinę. Słowotok wylewający się z jego ust przyprawiłby o ból głowy najlepszego komentatora sportowego.

Policjanci przedstawili starszskowi kartkę ze spisem dwudziestu siedmiu osób, które wypoczywały w pensjonacie siedem lat temu, w okresie od siedemnastego do dwudziestego piątego sierpnia. Hubert Wylewa założył okulary i wczytał się w listę, mruczając coś pod nosem.

– Tych dwóch, to chyba nie żyje – zauważył Wylewa, wykazując się znajomością prasowych nowinek.

– Właśnie dlatego tu jesteśmy – odpowiedział Trygar.

– Pamiętam ich, bo byli... – mężczyzna zawiesił głos.

– Jacy? – zainteresowała się Marzena.

– Wiecznie pijani. Podrywali dziewczyny i zachowywali się jak zwierzęta – opowiadał starszy mężczyzna, gestykulując rękoma.

– I co robili z tymi dziewczynami? – zapytał Foltiński.

– No jak to co? Chędożyli – wymamrotał recepcjonista. – Takie młode koguciki, przed czterdziestką, co się do władzy dorwały, pieniądze wylewały im się z kieszeni.

– A czy wydarzyło się wtedy coś, że tak powiem... – Foltiński zastanawiał się nad doborem odpowiedniego słowa – nienormalnego?

Staruszek zastanawiał się, wydając przy tym dziwne odgłosy, które powstawały, kiedy pocierał górną szczęką o dolną. Może dziadulek czekał na wizytę u protetyka, próbując do tego czasu zetrzeć ocierające o siebie zęby?

– Jedna dziewczyna zabiła się po tym, jak ją dorwali – wymamrotał wreszcie.

– Dorwali? – zainteresował się Trygar. Spojrzał porozumiewawczo na Foltińskiego, w którego oczach odmalowała się iskra entuzjazmu.

– Ona twierdziła, że ją zgwałcili. Oni, że była pijana i sama dała. Wiedzą panowie, w takich ośrodkach jak ten, gdzie pojawiają się różni bogaci ludzie, co chwilę zdarzają się takie rzeczy. – Hubert otwierał szeroko oczy, ścisząc głos, jakby mówił o wielkiej tajemnicy.

– Proszę nam o tym opowiedzieć – zachęcał Foltiński.

– Mówiło się, że ona po tym... jak ją zgwałcili... że ona się załamała i popełniła samobójstwo. To była gdańszczanka, młoda, piękna, kręciła się wokół tych parlamentarzystów... chyba szukała dobrej partii na męża. Ale oni byli z tych gorszych, aż strach pomyśleć, że tacy ludzie rządzą krajem. Nie chciały być niesprawiedliwy, ale ja to się nawet cieszę, że ktoś ich, że tak powiem, odsyła na tamten świat. Już wtedy, siedem lat temu, to nie byli ludzie, tylko świnie, zachowywali się jak gangsterzy, przestępcy – zacietrzwił się recepcjonista.

– Czy kojarzy pan jeszcze jakieś zdarzenia z tamtego czasu? Coś, co mogłoby nam pomóc w śledztwie? – dopytywał Foltyński.

– Nie pamiętam, bo i głowa nie ta – Hubert podrapał się po łysinie – chyba więcej skandali wtedy nie było.

– Wróćmy zatem do tej zgwałconej dziewczyny, która popełniła samobójstwo. Jak się nazywała? Pamięta pan? – zapytał Rafał.

Pomarszczone czoło Huberta Wylewy pomarszczyło się jeszcze bardziej, kiedy próbował przypomnieć sobie dawne wydarzenia. – No zabij mnie, nie pamiętam. – recepcjonista rozejrzał się dookoła, jakby obawiał się, że ktoś ich obserwuje. Zbliżył się do Foltyńskiego i szepnął mu coś do ucha. – Ale pamiętam, gdzie jest jej grób. Mogę pokazać.

Tymon poklepał staruszką po plecach, uśmiechnął się i odpowiedział:

– Dziękujemy panu, porozmawiamy jeszcze z dwoma paniami z pensjonatu i jeśli nie będzie to dla pana problemem za godzinę, dwie poszlibyśmy na grób tej dziewczyny.

– Dobrze – potwierdził staruszek i oddalił się do swoich zajęć.

Po rozmowie z kierowniczką pokojówek i szefową strefy SPA, policjanci nie dowiedzieli się wiele więcej, niż to, co przekazał Hubert Wylewa.

Foltyński, Trygar i Gibała umówili się z recepcjonistą na Cmentarzu Centralnym „Srebrzysko” na gdańskim Wrzeszczu. Idąc alejkami nekropolii, staruszek próbował przypomnieć sobie miejsce pochówku dziewczyny. Zaglądał to tu, to tam, wreszcie po pół godziny kluczenia stanął nad jednym z grobów.

– To ten – stwierdził zadowolony. – Byłem na jej pogrzebie. Biedna dziewczyna.

Dwójka policjantów obeszła mogiłę dookoła, dokładnie ją fotografując. Na tablicy nagrobnej widniał napis Monika Wrześniewska oraz data narodzin i śmierci zmarłej.

– Miała zaledwie dwadzieścia cztery lata – stwierdził Foltyński.

– Co o tym sądzicie? – zapytała Marzena.

– Ktoś się mści za jej śmierć? – zaproponował Tymon.

- Przecież popełniła samobójstwo – stwierdził Rafał.
- Została zgwałcona.
- Nie wiadomo.
- Mściciel? Po siedmiu latach? – zauważył Foltynski. – Trochę późno.
- I tak nie mamy lepszego tropu – wzruszył ramionami Trygar.
- Odwiedzmy naszych gdańskich kolegów policjantów. Może znajdziemy coś w ich aktach.

ROZDZIAŁ 24

Cynarski trząśł się niczym po ataku febry. Osilek zaciągnął go do ciemnego betonowego pomieszczenia i usadowił na krześle, sam z kolegą stanął obok.

Do pokoju wszedł chuderlawy mężczyzna w podkoszulku, który najwyraźniej musiał być szefem grupy. Usiadł naprzeciwko Piotra i zmierzył go wzrokiem krokodyla. Przepita, poorana bruzdami twarz, zepsute zęby i czerwone policzki nie pozostawiały żadnych wątpliwości, że nie stroni od alkoholu, a może nawet od narkotyków. Cynarski ledwie był w stanie wysiedzieć, próbując nie postradać zmysłów. Spoglądał nerwowo to na byczków stojących obok, to na mężczyznę w podkoszulku.

– Szanowni... panowie – jękał się.

– Gdzie to masz? – zapytał mężczyzna przepitym, bulgoczącym głosem. Z wyrazu twarzy można było łatwo wywnioskować, że nie żartuje.

– Zaszła jakaś pomyłka – ciągnął Cynarski.

– Nie ma żadnej pomyłki. Trochę odświeżę ci pamięć. Wiemy, że kopiujesz e-maile z serwerów pocztowych SpecialBanku. Szczególnie korespondencję członków zarządu i prezesa Malinowskiego.

Na twarzy Cynarskiego odmalował się wielki znak zapytania.

– Jesteście z policji? – zapytał.

– Nie jesteśmy z policji – wymamrotał chuderlak. – Gdzie archiwizujesz skradzioną pocztę? Na twoim laptopie niczego nie znaleźliśmy.

– Jeśli nie jest mi potrzebna, to ją kasuję – wyznał Piotr.

– Potrzebna do czego? – zagadnął człowiek w podkoszulku.

Cynarski zawahał się, widząc, że mężczyźni, kimkolwiek byli, nie wiedzieli wszystkiego.

Dwóch muskularnych typków stojących obok, stwierdziwszy, że przesłuchiwany nie chce współpracować, podeszło bliżej, aby zmotywować go

do zeznań.

– Oszukujemy wraz z kolegami na giełdzie... tak trochę... znaczy – jękał się Cynarski.

Mężczyzna w podkoszulku podniósł się z krzesła i stanął nad Piotrem niczym kat.

– Sprytnie. Handlujecie tajnymi danymi? – zapytał.

– No... można tak powiedzieć – odpowiedział skruszony Cynarski.

– Nie robicie kopii e-maili? Jakies dyski zewnętrzne, pamięci masowe, płyty czy taśmy? – wymieniał mężczyzna.

– Przeglądam informacje na bieżąco, jeśli są przydatne, to daję je znajomym, resztę kasuję.

Mężczyzna patrzył na Piotra, kręcąc głową niczym sowa.

– Przysięgam – dodał Cynarski, który zdał sobie sprawę, że waży się jego losy.

– Nie zapytam cię, czy widziałeś w tej poczcie coś dla nas istotnego, bo zakładam, że i tak mi nie odpowiesz – stwierdził mężczyzna. – Wierzę ci, że kasujesz wszystkie informacje z poczty i nie archiwizujesz danych. Ale, jeśli kłamiesz...

– Przysięgam, że nie – zarzekał się Cynarski.

– Odprowadźcie go i przyprowadźcie tego drugiego – zawyrokował szef.

Po otwarciu drzwi celi, Piotrek zobaczył przerażoną twarz kolegi, chwilę potem wylądował z hukiem na twardej podłodze.

ROZDZIAŁ 25

Trygar, Foltiński i Gibała siedzieli w biurze komendy w Gdańsku i przeglądali akta sprawy gwałtu Moniki Wrześniewskiej sprzed siedmiu lat. Z protokołów wynikało, że kilka dni po wyjeździe prominentów z pensjonatu „Lazurowe wybrzeże” na policję zgłosiła się kobieta. W sposób bardzo lakoniczny opisywała, że podczas suto zakrapianej imprezy zgwałciło ją kilku mężczyzn. Niestety nie była w stanie wymienić żadnych nazwisk, ani opisać sprawców. Zgłoszenie przyjął posterunkowy Krzysztof Wywłoka, który nadal pracował w gdańskiej komendzie.

– Niewiele pamiętam z tego, co ona mówiła – zeznawał policjant. – Była jakaś taka podenerwowana, jakby niespełna rozumu, mówiła chaotycznie i bez sensu.

– Jak każda ofiara gwałtu – zauważył Foltiński, czytając protokół sprzed siedmiu laty. – Jak kobieta opisywała całe zdarzenie?

– Wszystko, co byłem w stanie z niej wyciągnąć, zapisałem w protokole. Ponoć było ich sześciu a całe zdarzenie miało miejsce w jednym z hotelowych pokoi w Sopocie. Niestety nie była nawet w stanie opisać, jak wyglądali ci mężczyźni.

Trygar spojrział na Foltińskiego w wymowny sposób.

– Nie pamiętała nawet, czy byli starzy, młodzi, grubi czy chudzi? – dopytywał Tymon.

– Nic nie pamiętała – zawyrokował Krzysztof Wywłoka.

– To częsty objaw po traumie – zauważył Trygar. – Była robiona lekarska obdukcja, albo badania na zawartość spermy w pochwie ofiary?

– Upłynęło kilka dni zanim się do nas zgłosiła, poza tym, ona nie chciała żadnych badań – odpowiedział posterunkowy.

Foltyński pogładził się po policzku, zastanawiając nad zeznaniami policjanta.

– Co działo się potem? – zapytał.

– Kilka dni po zgłoszeniu gwałtu kobieta wycofała zarzut. – Krzysztof wzruszył ramionami i pogładził kaburę z pistoletem, jakby sprawdzał, czy broń jest na miejscu.

– Tak po prostu? – zdziwił się Tymon.

– To się zdarza. Powiedziała, że po przemyśleniu doszła do wniosku, że to ona sama chciała.

– Próbował ją pan przekonywać, żeby podtrzymała zarzut o gwałt? – zapytał Trygar.

– Złożyła tylko podanie i uciekła. Próbowaliśmy ją odnaleźć. Kilka dni później dowiedzieliśmy się, że popełniła samobójstwo. – Policjant po raz kolejny pogładził kaburę pistoletu.

– Jak zginęła? – Zapytał Foltyński.

– Podobno rzuciła się pod pociąg, nie było z niej co zbierać – zauważył policjant.

– Ma pan akt zgonu?

– Tak, jest podłączony do akt jej sprawy.

– Moglibyśmy zrobić kopię?

– Jeśli komendant się zgodzi, to oczywiście.

– Kto wystawiał akt zgonu? – zapytał Tymon.

– Niejaki Damian Falkner – powiedział policjant, patrząc na pieczętkę.

Tymon dostrzegł, że policjant waha się, aby dopowiedzieć coś jeszcze. Wreszcie nieśmiało wymamrotał.

– Wspomniała chyba, że ma jakiś dowód.

– Dowód? – zdziwił się Foltyński. – Jaki dowód?

– Zadałem jej to samo pytanie, ale nie odpowiedziała. Czy mogę się już odmeldować? – poprosił posterunkowy. – Mam trochę papierkowej roboty.

– Oczywiście – powiedział Trygar. – I dziękujemy.

Policjanci, wracając do hotelu leżącego tuż nad brzegiem portu Gdynia, rozmawiali o sprawie samobójstwa Moniki Wrześniewskiej.

– Coś tu śmierdzi – powiedział Trygar, napawając się morskim jodowanym powietrzem. Marzena postanowiła, że wykorzysta nadarżającą się okazję i wyskoczy na plażę. To nic, że słońce szykowało się już, aby zniknąć w morskich odmętach.

– Nie wierzę w ten gwałt. Spili się pewnie wszyscy, jak zwykle na tego typu imprezach i laska poszła o jeden krok za daleko, potem ciężko to było odkręcić. Znam setki podobnych spraw.

– Jeśli nawet było tak jak mówisz, to jak powiązać wszystkie fakty? Minęło siedem lat od tamtego czasu. Trochę późno na odwet – stwierdził Rafał.

– Obejrzałem akt zgonu, rozpoznano ciało na podstawie strzępów ubrania i odcisków stomatologicznych. Zwłoki były zmasakrowane.

– Coś sugerujesz? – dopytywał Trygar.

– Zastanawiam się, czy to na pewno było samobójstwo? – Foltiński próbował zebrać dotychczasowe fakty. – Nasi koledzy z „listy szczęściu” zabawiają się z dziewczyną w pensjonacie „Lazurowe wybrzeże”. Monika Wrześniewska zgłasza gwałt, co powoduje u mężczyzn popłoch. Zmuszają ją do odwołania zeznań, a potem zabijają, żeby zatrzeć ślady. To całkiem prawdopodobne – stwierdził Foltiński.

– A są zeznania maszynisty pociągu? – zapytała Marzena.

– Tak. Twierdzi, że wyskoczyła na tory tuż przed pociągiem. Ledwie ją zauważył, poczuł tylko uderzenie. Natychmiast zatrzymał lokomotywę – Foltiński próbował przypomnieć sobie wszystkie szczegóły niedawno przeczytanego protokołu.

– Czyli ktoś mógł ją wepchnąć pod pociąg? – zapytał Rafał.

– Pewnie mógł – odpowiedział Foltiński, patrząc w niebo. – I jeszcze ta lakoniczna informacja, o dowodzie gwałtu na Monice.

Nieobecny wzrok Trygara sugerował, że ma w głowie pustkę.

– Sprawdźmy rodzinę tej Wrześniewskiej. Może czegoś się dowiemy – zaproponował komisarz.

Marzena zatarła ręce i spojrzała na policjantów wzrokiem z repertuaru roztapiaczy męskich serc.

– No co? To dopiero jutro. Nie pójdziecie ze mną na plażę?

ROZDZIAŁ 26

Piotr Cynarski siedział w kącie i pochlipywał, mamrocząc coś pod nosem. Słyszając otwierające się drzwi, zerwał się na równe nogi. Serce zamarło a gardło ścisnęły niewidzialne kleszcze. Najpierw do pomieszczenia wleciał Zaręba, zaraz za nim pojawił się mężczyzna z oznakami całkowitego zaniku karku. Syk bólu przeszył betonowe pomieszczenie, kiedy Adam uderzył kolaniem o betonową podłogę. Szczęknął zamek i po chwili przyjaciele zostali sami.

– Piotrek! – wymamrotał Adam przez zaciśnięte zęby. – Coś ty narobił?

– Wiem! – łkał Cynarski. – To wszystko moja wina.

– Pytali mnie o jakieś serwery, e-maile, informacje z poczty elektronicznej wykradzione ze skrzynki prezesa Arkadiusza Malinowskiego. Nie wiedziałem, co powiedzieć, dlatego przyznałem się do napisania programu, który ułatwiał ci giełdowe oszustwa.

Zaręba spojrział na kolegę wzrokiem, który skruszyłby beton.

– Piotrek, o co w tym wszystkim chodzi?

Cynarski otarł łzy, odetchnął głęboko i zaczął cedzić przez zęby.

– Sądzisz, że jak zdobywałem strategiczne informacje o firmie? – ciągnął. – Przecież zwykły pracownik jak ja, czy ty, nie ma wglądu do takich danych. Czasami można było się czegoś dowiedzieć z kuchennych plotek, ale ja potrzebowałem pewnych informacji.

– Jak je zdobywałeś?

Ból w kolanie zełżał Adamowi na tyle, że był w stanie skupić myśli.

– Byłem w zмовie z jednym z administratorów serwerów bankowych. Płaciłem mu, żeby kopiował mi całą pocztę członków zarządu – tłumaczył Cynarski.

– Prezesa Malinowskiego również? – zapytał Adam, któremu niemal odjęło głos. Nie podejrzewał, że szwindle i matactwa Piotra mogą sięgać aż tak daleko.

– Jego również – rzucił Cynarski.

Twarz Zaręby przybrała zagadkowy wyraz, jakby gdzieś w zakamarkach głowy wszystkie elementy układanki nagle połączyły się w całość.

– W tej pocztce coś było – zaczął Adam po chwili. – Oni chcą to odzyskać.

Cynarski podniósł głowę i spojrzał na kolegę.

– Piotrek, oddajmy im to, a może puszcza nas wolno – zaproponował Zaręba.

– Kasowałem wszystkie dane na bieżąco – wymamrotał Cynarski. – Nie pamiętam, żeby było tam coś istotnego.

– Zastanów się raz jeszcze. Może jakiś dokument, albo nagranie?

– Nie wczytywałem się w każdego e-maila. Patrzyłem pobieżnie na nagłówki i decydowałem, czy informacje mogą mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Jeśli było coś interesującego, zapisywałem to na pamięci podręcznej, czasem drukowałem.

– Piotrek, od tego zależy nasze życie. Skup się na chwilę i pomyśl raz jeszcze – nie ustępował Zaręba.

– Prezes subskrybował strony porno – wystrzelił Piotrek. – Może to?

Adam machnął ręką i popukał się po czole.

– Poza niezaprzeczalnie ważnymi informacjami o firmie, nie dopatrzyłem się tam niczego sprzecznego z prawem – odpowiedział Cynarski, wruszając ramionami.

– Czy to są ludzie prezesa Malinowskiego? – zapytał Zaręba.

– Może? Choć nie sądzę – stwierdził Piotr.

– Oni podejrzewają, że znamy ich tajemnicę. Nie pozwolą nam... odejść – wymamrotał Zaręba łamiącym się głosem.

– Adam, zrób coś, wymyśl... ja chcę żyć. Jestem jeszcze młody. Nie poznałem tylu kobiet, nie zaznałem przyjemności. Nie chcę tak skończyć – narzekał Cynarski.

Adam wstał i obszedł pomieszczenie, próbując znaleźć w ścianie jakieś pęknięcie, albo lukę. Obejrzał dokładnie drzwi, wreszcie zrezygnowany usiadł obok Piotra i westchnął. Siedzieli tak kilkanaście minut w zupełnej ciszy. Z każdą sekundą morale przyjaciół pikowało coraz niżej, niebezpiecznie zbliżając się do twardej ziemi. Po głowie krążyły najgorsze myśli, z których ta najczarniejsza miała swój koniec w cmentarnej kostnicy.

Nagle mężczyźni usłyszeli jakieś szmery. Coś zaszeleściło i w szczelinie pod drzwiami pojawiła się niewielka kartka papieru. Zaraz za nią wleciał mały płaski nożyk. Adam poderwał się z podłogi, podniósł zwitek i przeczytał szeptem.

Chcą was zabić.

Adam podniósł z ziemi nóż i schował do buta. Spojrzał w oczy przyjaciela i ujrzał w nich strach.

– Kto mógł nas ostrzec? – zapytał.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Cynarski z nadzieją w głosie. – Ale ktoś wie, że tu jesteśmy, a to daje nam szansę.

– A moim zdaniem ten ktoś, dając nam nóż, zasugerował, że mamy przesrane – zauważył Zaręba. – Piotrek musimy coś wymyślić, inaczej zginiemy.

– Co proponujesz? – zapytał przestraszony Cynarski.

– Przy pierwszej nadarzącej się okazji musimy spróbować ucieczki. Jeśli zajdzie konieczność, może trzeba będzie ich ogłuszyć albo nawet... – tłumaczył Zaręba.

– Nawet co? – Jeśli dotychczasowe przerażanie Cynarskiego było wielkie, to teraz zamieniło się w gigantyczne. – Adam, czy ty wiesz, co mówisz?

– Sam mnie tego uczyłeś. Jesteśmy zwierzętami, przeżyje najsilniejszy.

– Ale... – Piotrek zamilkł. Siedział na podłodze, głośno oddychając, niczym ryba wyrzucona na brzeg.

– Przecież nie wiemy, co oni chcą nam zrobić – odpowiedział wreszcie. – Może potrzymane nas chwilę i wypuszczą.

– Albo co bardziej prawdopodobne, wykończą strzałem w głowę – urwał Adam. – Na razie musimy czekać.

Zaręba wziął zwitek papieru z ostrzeżeniem otrzymanym od nieznajomego, włożył go do ust, pogryzł i połknął.

Siedzieli w milczeniu jeszcze kilkanaście godzin, próbując odpocząć. O śnie nie było nawet mowy. W pomieszczeniu bez okien, zupełnie stracili orientację w czasie, a co gorsze, zaczęło im doskwierać dokuczliwe pragnienie.

Nagle ze stanu czuwania wyrwały ich kroki, a potem szczęknięcie zamka.

– Wyłączyć. Obaj – usłyszeli.

Uczucie przenikającego lęku niczym trujący jad, rozlał się po ciele, paraliżując każdą komórkę ciała.

ROZDZIAŁ 27

– Pisz! – powiedział brodaty mężczyzna o krzaczastych brwiach i długich włosach związanych w kitkę. Jego pobrużdżona ospą wietrzną twarz wyglądała niczym orne pole, warga po lewej stronie ust była lekko podniesiona, upodabniając właściciela do wściekłego psa. Mimo słonecznego dnia dął porywisty wiatr, omiatając dwie postacie stojące na dachu dziesięciopiętrowego bloku na warszawskim Żoliborzu.

Wychodząc rano z domu, Konstanty Konopski zupełnie nie spodziewał się podobnego obrotu spraw. Jak co dzień, przyjechał do pracy, zaparkował samochód i ruszył w stronę wejścia do budynku Bankowego Funduszu Gwarancyjnego znajdującego się przy ulicy księdza Skorupki. Sapał przy każdym kroku niczym lokomotywa. Choć otyłość, z którą zmagął się od dzieciństwa, utrudniała mu funkcjonowanie, to słaby charakter i brak silnej woli nie pozwalały zrzucić zbędnych kilogramów. I mimo ponawianego rokrocznie postanowienia, waga mężczyzny systematycznie rosła, aż osiągnęła obecny, niebezpieczny dla zdrowia stan.

Zajęcie Konopskiego polegało głównie na podpisywaniu mało istotnych dokumentów, które robione były tylko po to, aby jakiś urzędnik niższego szczebla miał pracę. Drugim, cyklicznym zajęciem wiceprezesa, było podlizywanie się szefowi BFG. Należało wszelkimi metodami wykazać, jak ważne i odpowiedzialne stanowisko pełni Konstanty w, jakby nie patrzeć, szacownej polskiej instytucji. Oczywiście mężczyzna nie był głupcem i doskonale zdawał sobie sprawę, że w rzeczywistości jest tylko figurantem, co jednak zupełnie nie przeszkadzało mu w pełnieniu codziennych obowiązków.

W świecie polityki obowiązywała jedna niepisana reguła. Ugrupowanie, które zdobywało największą liczbę głosów w wyborach parlamentarnych, obsadzało swoimi ludźmi stanowiska w ważniejszych instytucjach państwowych. Wszyscy przegrani prezesi, wiceprezesi oraz kierownicy

różnych szczebli musieli liczyć na sojuszników z opozycji, którzy o ile mieli wobec nich dług wdzięczności, przechowywali ich przez najbliższe cztery lata na jakichś mało rzucających się w oczy stołkach. Po kolejnych wyborach, sytuacja zwykle zmieniała się o sto osiemdziesiąt stopni, wtedy partia rządząca wracała na intratne posady, nie zapominając, aby dać kolegom z przeciwnej strony sceny politycznej możliwość przetrwania złych czasów.

Wahadełko trwało tak długo, jak tylko się dało. Najwytrwalsi potrafili w ten sposób doczekać do emerytury, a nawet i dłużej.

Konopski wiedział, że w jego pracy ważne jest, aby w miarę możliwości nie podejmować żadnych ryzykownych decyzji. Każdy miesiąc na stanowisku oznaczał ogromną pensję, dzięki której będzie można w przyszłości przetrwać chudsze lata.

Wiceprezes był już blisko wejścia do budynku, kiedy nieoczekiwanie podszedł do niego brodaty człowiek z plecakiem. Mężczyzna koło sześćdziesiątki złapał Konstantego za rękę i wbił mu pod żebro jakiś przedmiot, mówiąc, że to pistolet. Następnie rozkazał wrócić do samochodu i zająć miejsce kierowcy, sam zaś usiadł jako pasażer. Konopski jechał zgodnie ze wskazówkami szantażysty, przemykając bocznymi uliczkami, aby ominąć korki. Cały czas zastanawiał się, czy nie spróbować ucieczki, zaryzykować, otworzyć drzwi i po prostu wybiec, albo przynajmniej spowodować wypadek. Wtedy zainteresowałby się nim inni uczestnicy ruchu, pojawiłaby się policja. Konopski walczył z myślami, zanim długowłosa mężczyzna nie rozwiązał jego wątpliwości:

– Nawet nie próbuj niczego kombinować – mruknął.

Zajechali samochodem na Żoliborz i ruszyli do jednego z bloków, jakich wiele było w okolicy. Konstanty szedł przodem, a w ślad za nim podążał szpetny mężczyzna. Pistolet miał schowany w kieszeni spodni, nie chcąc zwracać uwagi bardziej ciekawskich przechodniów. Doszli do jednej z klatek. Brodacz wyciągnął z kieszeni rękawiczki i założył je, wzbudzając niepokój Konopskiego. Mocne szarpnięcie drzwi sprawiło, że zamek puścił.

Jadąc windą, Konopski modlił się, aby zauważył ich jakiś dociekliwy mieszkaniec bloku. Dwóch podejrzanych typów kręcących się po klatce

powinno zwrócić czyjąś uwagę. Nic takiego się nie wydarzyło. Opuścili kabinę dźwigu na ostatnim piętrze. Poganiany przez oprawcę, Konstanty uniósł klapę prowadzącą na dach, i dysząc ze zmęczenia, ruszył po stopniach w górę.

Mężczyźni ujrzeli sterzące anteny telewizyjne, kominy wentylacyjne i płataninę kabli. Brodacz wydobył z kieszeni kartkę papieru i długopis, po czym wręczył je Konopskiemu.

– Co mam pisać? – wymamrotał wściekły wiceprezes.

– Nie jestem w stanie zmasać swojej winy – człowiek z pistoletem wypowiadał kolejne zdania. Konstanty, opierając się o komin wentylacyjny, kaligrafował słowa cytowane przez oprawcę, chcąc jak najdłużej odwleć nieuchronny moment.

– Dlaczego? Za co? – zapytał z wyrzutem.

– Siedem lat temu w Sopocie, pamiętasz? – wymamrotał brodacz.

Konstanty kluczył w pamięci, próbując przypomnieć sobie wydarzenia z przeszłości. Zapewne wiele grzechów ciążyło mu na sumieniu, bo dopiero po kilkunastu sekundach z twarzy mężczyzny można było wywnioskować, że domyślił się, o co chodzi.

– Czy ten e-mail, był od... ciebie? Śmierć moich kolegów... to twoja sprawa? – Konstanty cedził kolejne słowa.

Brodacz zwinął kartkę napisaną przez wiceprezesa na dwie części i wsunął w szczelinę mocowania piorunochronu, w taki sposób, aby nie porwał jej wiatr.

– Weź to – mężczyzna wyciągnął z plecaka dwa długie sznurki i kazał Konopskiemu zawiązać je sobie na kostkach.

Grubas, stękając i posapując, wykonał polecenie, zastanawiając się, jaki los szykuje mu oprawca.

– A teraz skacz – brodacz wskazał pistoletem na gzyms wysokiego wieżowca.

– Ona tego chciała. To było zupełnie inaczej, niż myślisz – tłumaczył się Konopski.

– Rozumiem – odrzekł chłodno – a teraz skacz.

– Pojechało cię! Sam sobie skacz – odpowiedział grubas, łapiąc się piorunochronu.

Mocny kopniak w brzuch sprawił, że Konstanty zwinął się w pól, jednak mimo tego nie puścił, nadal mocno trzymając się metalowego pręta zamocowanego do ściany bloku. Kolejne uderzenie pistoletem w głowę sprawiło, że otyły mężczyzna zatoczył się i upadł na ziemię, zwalniając uścisk. Brodacz wyciągnął z plecaka jakiś przedmiot i włożył Konopskiemu do kieszeni spodni, następnie złapał go za rękę i z niemałym wysiłkiem wypchnął za gzyms. Spojrzał tylko, jak bezładne ciało leci w dół niczym worek ziemniaków, zanim nie zahaczyło o wystające mocowanie na flagę. Mocne szarpnięcie targnęło truchłem, które ostatecznie upadło na betonowy bruk z odgłosem głośnego młaśnięcia. Kilkanaście sekund później pojawiło się wokół kilku ciekawskich przechodniów, krzyczeli coś i gestykulowali, wskazując na dach wieżowca, jednak tego mężczyzna już nie widział.

Uśmiechnął się, schował pistolet do plecaka i zszedł z dachu po drabinie. Należało się ulotnić, zanim pojawi się policja.

ROZDZIAŁ 28

Marzena Gibała spała w osobnym pokoju. Tymon Foltiński i Rafał Trygar w ramach policyjnych oszczędności dostali dwójkę. Dzwonek telefonu stacjonarnego stojącego na biurku obudził dziewczynę ze snu. Przez chwilę sądziła nawet, że to jakaś pomyłka. Spojrzała na elektroniczny zegarek i stwierdziła, że dochodzi druga w nocy. Potrząsnęła głową i odebrała, aby dzwonek telefonu nie obudził śpiących obok policjantów.

– Kto tam? – zapytała. Podwinęła nocną koszulę i usiadła na skraju łóżka. Prześwitujący materiał i brak bielizny sprawiały, że wszystkie intymne miejsca widoczne były jak na dłoni.

– To ja, Iwona – szepnęła koleżanka.

– Nie mogłaś zadzwonić na komórkę? – zapytała zaspana Marzena.

– Nie mogłam – odpowiedziała Strychalska.

– Iwona, czyś ty zwariowała? Jest druga w nocy.

– Marzena, musisz mi... pomóc – roztrzęsiony głos przyjaciółki sprawił, że Gibała rozbudziła się na dobre.

– Uspokój się. Co się stało? – zapytała Gibała.

– Nie chciałam... – dyszała Strychalska. – Musisz mi pomóc... – Strychalska ledwie była w stanie cokolwiek powiedzieć.

– Iwona. Weź kilka głębokich wdechów – mówiła Marzena szeptem. – A potem wolno i spokojnie powiedz mi, co się stało. – Policjantka starała się mówić na tyle cicho, aby Tymon i Rafał śpiący w sąsiadującym pokoju niczego nie usłyszeli.

Po kilkunastu sekundach Strychalska zdołała uspokoić się na tyle, aby nieskładnym językiem opowiedzieć Marzenie o wydarzeniach, które rozegrały się godzinę temu. Gibała siedziała na łóżku, słuchając z przerażeniem słów

przyjaciółki. Wreszcie, kiedy Iwona skończyła wywód, Gibała przygryzła paznokieć, próbując na szybko przeanalizować całą sytuację.

– Daj mi chwilę, muszę pomyśleć – powiedziała, po czym położyła słuchawkę na łóżku. Wstała i podeszła do okna. W świetle księżyca jej długie czarne włosy opadały na plecy, sprawiając, że wyglądała olśniewająco. Obserwowała wzburzone może i ogromne kontenerowce wpływające do oświetlonego portu. Westchnęła kilkukrotnie, jakby próbowała w myślach pogodzić się z rzeczywistością. Odwróciła się na pięcie i podeszła do telefonu.

– Jesteś tam? – zapytała.

– Tak – odpowiedziała Iwona.

– Zrobisz tak jak ci powiem. Słyszysz? – zagrzmiała Marzena.

ROZDZIAŁ 29

Zaraz po wyjściu z celi, jeden z gangsterów zakrył Zarębie i Cynarskiemu oczy przepaską, po czym skrępował im ręce. Zostali wyprowadzeni na zewnątrz i wtrąceni do samochodu. Usłyszeli trzask zamykanych drzwi i pojazd ruszył.

– Chyba jesteśmy sami – powiedział Zaręba, ale odpowiedziała mu tylko cisza. – Jesteś tu? – zapytał raz jeszcze.

– Tak – wyszeptał Cynarski.

– Możesz chodzić?

– Mogę, spróbujmy się rozwiązać – zaproponował Piotr, jakby czytając Zarębie w myślach.

Koledzy po omacku, usiedli do siebie tyłem i przez kilka minut, szarpali krępujące ich więzy. Wreszcie uwolnili dłonie i zdjęli z oczu opaski.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytał Cynarski, próbując przyzwyczaić wzrok do ciemności.

– To chyba ciężarówka – stwierdził Zaręba. Poruszył stopą, sprawdzając, czy wyczuwa nóż spoczywający w bucie.

– Gdzie oni nas wiozą? – Adam próbował się nie przewrócić, kiedy samochód wziął zakręt.

– Skoro zawiązali nam oczy, to najwyraźniej nie chcą, abyśmy wiedzieli, dokąd jedziemy – zastanawiał się głośno Zaręba.

– Może wcale nie chcą nas zabić? – rzucił Piotrek z nadzieją w głosie.

– Nie liczyłbym na to – odpowiedział Adam. – Musimy ustalić jakiś sygnał, albo hasło do ucieczki.

– Co proponujesz? – Cynarski całkowicie zdał się na inicjatywę kolegi.

– Słowo „wał” będzie chyba odpowiednie – powiedział Zaręba. – Jeśli je usłyszysz, to uciekaj, broń się, albo atakuj, w zależności od sytuacji.

Piotrek przytaknął. Z jego zachowania nietrudno było się domyślić, że przeżywa ciężkie chwile. Ukrył twarz w dłoniach i oddał się ulubionej czynności – narzekaniu.

– Ja nie chcę umierać – mamrotał pod nosem.

– Nie umrzemy. Musimy być silni. Rozumiesz? – przekonywał Zaręba.

W pewnym momencie mężczyźni poczuli, że samochód zakręca, asfaltowa równa droga zamieniła się w wyboistą i pełną dziur bocznicę. Do głowy napłynęły obrazy z tandetnych filmów sensacyjnych, w których gangsterzy w czarnych garniturach wywozili swoje ofiary do lasu, aby wykonać wyrok.

Samochód stanął, drzwi furgonetki otworzyły się z łoskotem, zalewając wnętrze słonecznym światłem.

– Wychodzić! – Zaręba rozpoznał głos jednego z przesłuchujących go wcześniej oprawców. Wyszedł z pojazdu jako pierwszy, zaraz za nim wyskoczył Cynarski. Mrużąc oczy, obserwował jak leśny, mokry poranek budzi się do życia. Dwóch osiłków towarzyszących wcześniej chudemu menelowi (który najwyraźniej postanowił nie kalać sobie rąk brudną robotą) było na tyle pewnych siebie, że nawet nie zawracali sobie głowy, aby ponownie związać ofiary.

Ruszyli leśną ścieżką, Zaręba szedł przodem, tuż za nim kroczył nieobecny Piotrek a potem dwójka gangsterów z pistoletami w dłoniach. Adam zastanawiał się, czy nie spróbować ucieczki, licząc, że świszczące kule przelecą gdzieś obok. Nadal jednak pozostawało pytanie – co stanie się z Piotrem? Przecież nie mógł zostawić kolegi na łasce tych szumowin.

Po krótkim spacerze dotarli do leśnej polanki. Widok, jaki ujrzeli sprawił, że ich ciałami zawładnął paniczny strach. Gangsterzy okazali się dużo lepiej zorganizowani, niż Piotrek z Adamem początkowo sądzili. Przed nimi w pełnej krasie prezentował się głęboki dół. Obok, na świeżo ukopanej ziemi, leżała łopata. Zaręba ani przez chwilę nie miał wątpliwości, dla kogo został wykopany. To był ostatni moment, aby cokolwiek zrobić, postawić wszystko na jedną kartę, albo pożegnać się z życiem.

Adam przewrócił się, celowo gubiąc prawego buta. Jeden z gangsterów, idący najbardziej z tyłu, podszedł do niego i bluźniąc coś pod nosem,

szturchnął go lufą pistoletu. Zaręba kucnął, udając, że boli go noga, tak naprawdę czekał tylko, na odpowiedni moment, aby zadać cios. Kątem oka obserwował drugiego gangstera, pilnującego Piotra. Zdawał sobie sprawę, że atak spotka się z natychmiastową reakcją oprawców. Sytuacja zdawała się beznadziejna.

I wtedy wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Tuż przed nimi na polanie pojawił się jeleni, piękny, dorodny i pełen godności. Patrzył na czwórkę mężczyzn, przekrzywając głowę, jakby niedowierzając, że ktoś śmiał przerwać jego spokój. To był moment zawahania, który należało wykorzystać. Zaręba wyciągnął z buta nóż i rzucił się na gangstera, uderzając go całą siłą w oko. Skowyt bólu poniósł się echem po lesie.

– Wal! – krzyknął Adam, jednak Cynarski ani drgnął. Stał niczym ciele, wpatrując się w jelenia, który na dźwięk strzału uciekł w stronę lasu. I stał się kolejny cud. Gangster, z nożem wbitym w oko, zaczął strzelać na oślep, raniąc kolegę w głowę. Dopiero teraz Adam i Piotrek zerwali się do ucieczki. Zza pleców dobiegały ich okrzyki, charczenie i bulgot przypominający zawodzenie umierającego.

– Biegnij, Piotrek! – krzyczał Adam – Szybko!

Walcząc o życie, przemierzyli kilkaset metrów, nie próbując nawet się odwracać. Odgłosy krzątania robiły się coraz cichsze, aż wreszcie umilkły, jednak adrenalina buzująca w żyłach ani na chwilę nie pozwalała im przerwać biegu. Zaręba wybierał leśne ścieżki, gdzie drzewostan był gęstszy, co dawało większe szanse na zgubienie pościgu. Po kilkunastu minutach Adam odważył się spojrzeć za plecy. Uczucie wielkiej ulgi rozlało się po ciele, kiedy nie zobaczył nikogo.

Po kilkunastu minutach dotarli do żwirowej drogi przecinającej las. Opierając dłonie na kolanach, dyszeli zmęczeni, próbując złapać oddech i nabrać sił do dalszej ucieczki. Szeroko otwarte źrenice i kapiący z czoła pot wskazywał, że byli na skraju wyczerpania. Zdawali sobie sprawę, że każda nietrafiona decyzja mogła być ostatnią w ich życiu.

– Idziemy... wzdłuż... drogi? – zapytał Cynarski.

– W żadnym wypadku. Mogliby nas... zobaczyć. W las – rzucił Zaręba.

ROZDZIAŁ 30

Tymon Foltyński, Rafał Trygar i Marzena Gibała spędzili na komisariacie w Sopocie kilka godzin, studiując i wertując stare protokoły, oraz przeszukując policyjne bazy danych. Dzięki życzliwości trójmiejskich funkcjonariuszy udało się dotrzeć do osób, które znały i pamiętały Monikę Wrześniewską. Okazało się, że zmarła siedem lat temu dziewczyna nie miała w Polsce żadnej bliższej rodziny. Jej matka nie żyła a ojciec dziesięć lat temu wyjechał do Niemiec. Wychowywali ją dziadkowie, którzy pięć lat temu również zmarli.

Znajomi z liceum opisywali Wrześniewską jako dziwną i ekscentryczną. Była piękna i powabna, jednak zawsze jakby nieobecna. Miała zwyczaj kusić mężczyzn i zachęcać ich do flirtowania, żeby potem ich odrzucać, zostawiając z kwitkiem. Jeden z jej dawnych znajomych zaryzykował nawet stwierdzenie, że coś z Moniką było nie tak. Nie wiadomo, czy miała problemy z psychiką, czy po prostu nie radziła sobie z życiem. Czasami sprawiała wrażenie, jakby cierpiała na rozdwojenie jaźni, przy czym lekarze nigdy nie zdiagnozowali u niej żadnej z odmian schizofrenii.

– Trzeba będzie dotrzeć do ojca dziewczyny – zaproponował Foltyński.

– To może nie być takie proste. Mamy kogoś w Niemczech? – Trygar spojrział w akta i przeczytał nazwę miejscowości, w której mieszkał Andrzej Wrześniewski, ojciec Moniki Wrześniewskiej. – W Rostocku?

– Sądziś, że jej ojciec może wnieść coś do sprawy? – dopytywał Tymon. Dość często zadawał z pozoru naiwne pytania, chcąc zachęcić Trygara do dyskusji.

– Wyjechał z Polski jeszcze za życia Wrześniewskiej, tuż po śmierci żony. Ciekawe dlaczego zostawił córkę samą? – zastanawiał się Rafał.

– Suski nas zabije, jeśli wrócimy do Warszawy z pustymi rękami – stwierdził Foltyński, patrząc na Marzenę Gibałę. Kobieta zdawała się jakby czymś przygnębiona.

Trygar, Foltyński i Gibała w porozumieniu z sopocką policją skontaktowali się z Interpolem. Poprosili kolegów z Niemiec o wezwanie Andrzeja Wrześniewskiego na komisariat, aby poprzez łącza internetowe zadać mu kilka pytań. Dopinali właśnie formalności związane z uruchomieniem międzynarodowej organizacji policyjnej, kiedy Trygar poczuł, że w kieszeni wibruje mu telefon.

– Suski – wymamrotał, patrząc na wyświetlacz, na którym prokurator, marszcząc brwi prezentował srogie oblicze. Po kilkunastu sekundach rozmowy komisarz schował telefon do kieszeni i spojrzął na Foltyńskiego wzrokiem, który zdradzał wszystko.

– Następny? – zapytał aspirant.

– Dwóch – powiedział Rafał.

Brwi Foltyńskiego powędrowały wysoko w górę. Nie takiej odpowiedzi oczekiwał. Marzena zdawała się nieco mniej zaskoczona.

– Konstanty Konopski, wiceprezes Bankowego Funduszu Gwarancyjnego i Wojciech Krata, pracownik biura prawniczego Verner i Miedziany.

Foltyński wyciągnął listę nazwisk, którą zdobył, analizując bazy prominentów odwiedzających sopocki pensjonat „Lazurowe wybrzeże”.

– Są na liście? – zapytał Rafał.

– Konopski jest, Kraty nie ma – odpowiedział Tymon.

ROZDZIAŁ 31

Piotr Cynarski i Adam Zaręba szli wiejską drogą, obawiając się, że zza drzew wyjdą uzbrojeni gangsterzy i zasypią ich gradem kul. Widząc autobus MKS z napisem Warszawa, nie zastanawiali się długo, tylko wskoczyli do środka. Usiedli z tyłu, obserwując wszystko uważnie. Rozluźnili się dopiero po kilku minutach, kiedy doszli do wniosku, że trójka zblazowanych pasażerów autobusu nie stanowi dla nich żadnego zagrożenia. Patrząc przez okno na drogę, zastanawiali się, co powinni teraz zrobić? Gdzie się udać? Obaj czuli podświadomie, że ich dotychczasowe życie zmieni się na zawsze.

Pojazd komunikacji miejskiej zawiózł ich w okolice dworca centralnego.

– Adam, co teraz? – zapytał Cynarski, wysiadając z autobusu. Dopiero teraz poczuł, że opuszcza go adrenalina a w zamian pojawia się ogromne pragnienie i głód trawiący wnętrzości.

– Powinniśmy pójść na policję – zaproponował Zaręba.

– Zapomnij – zachnął się Cynarski. – Przecież za oszustwa giełdowe dostanę ze trzy lata. I jeszcze z rok na dokładkę, za wykradanie tajnych informacji z firmy. Nie ma mowy.

– Piotrek, czy ty ukrywasz coś jeszcze? – zapytał Zaręba, widząc obawy Piotra.

– Nic nie ukrywam. Powiedziałem ci o wszystkim.

– To dlaczego boisz się pójść na policję? Twoje przewinienia nie są aż takie wielkie.

– Ale wystarczające, żeby dostać kilka lat.

– Ci bandyci nam nie odpuszczą, wiesz o tym – ciągnął Adam. – Jediną możliwością jest powiadomienie policji. Opowiemy im, co widzieliśmy. Pokażemy, gdzie nas wzięli. Powinniśmy bez większych problemów odnaleźć to miejsce.

– I co? Będziemy zeznawać w sądzie przeciwko tym ludziom a potem do końca życia się ukrywać?

– Obejmie nas program ochrony świadków – tłumaczył Zaręba.

– I ty wierzysz w polski system? Naiwny jesteś – roześmiał się Cynarski.

– Ci ludzie muszą być znani policji. Na pewno wszystkich ich zamkną.

– Albo ci, których nie zamkną, kropną nas przy pierwszej nadarzającej się okazji. Dziękuję, wolę nie ryzykować – mruknął Cynarski, ustawiając się w kolejce.

– I co? – zapytał Zaręba. – Zamierzasz tak po prostu wrócić do domu a jutro, jakby nigdy nic, pójść do pracy?

– A żebyś wiedział, że tak właśnie zrobię.

Zaręba wbił wzrok w kolegę.

– Piotrek – zaczął – nie jestem pewny, ale być może zabiłem człowieka.

– Mówisz o tym zwyrodnialcu, któremu wbiłeś nóż w oko? – zapytał Cynarski.

– Coś takiego nie przejdzie bez echa – zastanawiał się Adam.

– Jeśli to mafia, z pewnością nie zgłoszą tego na policję. Bo co niby mieliby powiedzieć? Chcieliśmy zastrzelić dwóch cwaniaczków, ale ci nas zranili i uciekli. Proszę ich złapać i nam przyprowadzić, żebyśmy mogli dokończyć wyrok.

– Piotrek, mówimy o naszym życiu – przekonywał Adam. – Policja powinna przymknąć oko na twój występki, jeśli wystawimy im tych przestępców. Poza tym, działaliśmy w obronie koniecznej.

– Nie ma mowy, nie pójde do pierdla. Mam trochę pieniędzy, gdzieś się zaszyję. Może czas wyjechać za granicę? – rozważał Cynarski. – Ale zanim to zrobię, najzwyczajniej w świecie spróbuję udawać, że nic się nie stało. Jeśli nie dam sobie szansy, mogę do końca życia żałować, że uciekłem.

Piotrek, zgodnie z postanowieniem, wrócił do mieszkania na Mokotowie. Adam, nie chcąc zostawiać kolegi samego, ruszył w ślad za nim. Zachowując wszelkie zasady ostrożności, mężczyźni dokładnie zlustrowali teren i weszli do klatki. Po przestąpieniu progu mieszkania przygotowali sobie górę tostów

z suchego chleba, wyciągnęli kuchenne noże do obrony, i pijąc herbatę, czekali na dalszy rozwój sytuacji. Posprząтали jeszcze lokal po nalocie gangsterów. Okazało się, że zniknęły wszystkie laptopy, dyski twarde i wszelkiego rodzaju nośniki pamięci.

Ponieważ po kilku godzinach nic się nie wydarzyło, ułożyli się do snu, czując w głowach trudy nieprzespanych nocy. Ze zdziwieniem skonstatowali, że jest niedziela a zatem spędzili w betonowym lochu dwie doby. Rozmawiali przez kilka godzin o swojej obecnej sytuacji, zastanawiając się głównie, co takiego bandyci chcieli od nich odzyskać, że byli skłonni za to zabić. Ostatecznie zmęczenie zawładnęło ich ciałem i zasnęli.

ROZDZIAŁ 32

Suski dojechał na miejsce zdarzenia w momencie, kiedy pojawił się zespół techników kryminalistycznych. Policja obstawiła teren i wywiesiła taśmy, aby odgrodzić ciało od gromadzących się gapiów. Zwłoki leżały na ulicy przykryte czarną folią.

– Odkrycie go – powiedział Suski.

Jeden z funkcjonariuszy wykonał polecenie. Denat leżał na plecach. Głowa, która uderzyła w asfaltowe podłoże roztrzaskała się w taki sposób, że widać było wyraźne pęknięcie czaszki. Skóra na czole rozeszła się, deformując twarz. Suski przyzwyczajony był do podobnych widoków, tym razem jednak zakrył usta i odszedł kilka kroków dalej.

– Nadal trzyma komórkę w dłoni – powiedział do policjanta stojącego obok. – Wygląda tak, jakby za wszelką cenę nie chciał jej upuścić.

– Technicy zaraz zabezpieczą przedmiot.

Marian spojrzał w górę na czwarte piętro kamienicy.

– Wysokość nie jest wielka.

– Jak widać wystarczająca, żeby się rozkwasić – odrzekł policjant, po czym na powrót zakrył ciało.

– Znaleźliście list? – zapytał Suski.

– Na razie nie, ale przeszukujemy dach.

– Sprawdzajcie dalej, ja jadę do drugiego latawca – zawyrokował Marian.

Droga przez warszawskie osiedla zajęła Suskiemu piętnaście minut. Wjechał windą na dach dziesięciopiętrowego wieżowca, po czym spojrzał na panoramę Warszawy. Funkcjonariusz kierujący zespołem operacyjnym, który pojawił się na miejscu najwcześniej, podszedł do prokuratora i zaczął zeznawać.

– To Konstanty Konopski, Wiceprezes Bankowego Funduszu Gwarancyjnego.

– Samobójstwo? – zagadnął Stefan bardziej z przekory, niż z ciekawości, bo tak naprawdę znał odpowiedź na to pytanie.

– Wygląda, że nie. Ale ciężko stwierdzić – odpowiedział funkcjonariusz. – Ciało, lecąc w dół, zahaczyło o mocowanie na flagę. Widok jest nieciekawym. Po obdukcji zwłok i sekcji będzie można cokolwiek powiedzieć.

Suski wychylił się za gzyms, próbując wyobrazić sobie tor lotu ofiary.

– Przeszukaliście dach?

– Tak. Znaleźliśmy list wsadzony w mocowanie piorunochronu. – Policjant wręczył prokuratorowi kartkę papieru.

Nie jestem w stanie zmazać swojej winy.

Bardzo żałuję tego, co zrobiłem.

Pragnę odpokutować za swoje grzechy.

Śmierć będzie dobrą karą,

aby pozostałych trzech przemyślało swoje postępowanie.

– Jest coś jeszcze? – dopytywał Suski, analizując list, który zdawał się bardziej lakoniczny od pozostałych, bez przemyślanych rymów, czy ukrytych znaczeń. Być może morderca działał w pośpiechu, co mogłoby sugerować, że stracił czujność i zacznie popełniać błędy.

– Tak. Ciało miało zawiązane wokół kostek długie sznurki – dodał funkcjonariusz.

– Nie rozumiem – zdziwił się prokurator, marszcząc brwi.

– Wygląda tak, jakby ktoś chciał przywiązać Konopskiego za nogi, żeby nie zleciał z dachu. Jednak sznurki były za cienkie, nie wytrzymałyby obciążenia. Poza tym, nie wyglądały na urwane a raczej odcięte.

– Zakładam, że to znowu upozorowanie rytualnego samobójstwa – stwierdził Suski.

Policjant tylko wzruszył ramionami, nie potrafiąc odpowiedzieć na pytanie.

– Sprawdziliście odciski butów, palców? – ciągnął Stefan.

– Technicy zbierają jeszcze ślady. Ciało wypadło z tego miejsca – funkcjonariusz wskazał palcem zabezpieczony taśmą obszar, gdzie technik zbierał mikroślady.

– Ofiara walczyła? – zapytał Suski, zwracając się do kucającego mężczyzny fotografującego dach wieżowca.

– Trudno na sto procent powiedzieć. Są ewidentne ślady, że coś się tu wydarzyło. Warstwa brudu i smoły ma zmienioną strukturę.

– To znaczy, że ktoś tu stał? – dopytywał Suski.

– Raczej leżał, tu widać ślad ręki – technik wskazał palcem na małe wgłębienie w smole pokrywającej dach.

– Czy to ręka denata, czy napastnika?

– Zbyt szybko na takie pytania – uciął technik. – Przedstawimy raport najszybciej jak się da.

– Jak udało mu się przejść przez domofon? – zastanawiał się Marian.

– Na tego typu osiedlach domofony zwykle nie działają, a drzwi da się po prostu otworzyć jednym mocnym szarpnięciem – dodał funkcjonariusz.

– A sprawdził ktoś jak jest w tym bloku? – zapytał prokurator.

– Jeszcze nie, ale sprawdzimy – stwierdził policjant. – Musimy najpierw zdjąć odciski.

– A jak z klapą prowadzącą na dach? Nie jest zamykana? – dopytywał Suski.

– I znowu różnie z tym bywa. Część klap jest zamknięta, część nie. Nie ma reguły.

– A zatem morderca musiał albo wiedzieć, że w tym bloku klapa jest otwarta, albo przygotował się wcześniej – zastanawiał się Suski. – Przepytajcie ludzi z bloku, czy czegoś nie zauważyli. Może znali ofiarę.

– Nasi ludzie już rozpytują mieszkańców, ale póki co, nikt niczego nie widział. Przechodnie odnaleźli zwłoki, chwilę po tym, jak ciało spadło na ziemię. Nawet nie byli w stanie powiedzieć, z którego piętra zleciała ofiara.

– Zastanawia mnie – zamyślił się Suski – dlaczego morderca wybrał akurat ten blok.

Funkcjonariusz odchrząknął, jakby czekał, aż prokurator udzieli mu głosu. Marian, widząc dziwne zachowanie policjanta, skinął głową i zapytał:

– Coś jeszcze?

– Przeszukaliśmy ciało denata. Poza rzeczami osobistymi miał w kieszeni zegarek. – Policjant wręczył prokuratorowi zabezpieczony foliowym workiem przedmiot.

Suski obejrzał go ze wszystkich stron. Nie był znawcą zegarków. O ile się jednak orientował, firma Patek była jednym z bardziej ekskluzywnych producentów tego typu męskiej biżuterii na rynku.

– Weźcie go do analizy. A gdzie są Trygar, Foltiński i Gibała? – zmienił temat Suski.

– Będą za godzinę, lecą samolotem z Trójmiasta.

– Czy ciało Konopskiego zostało zabrane do zakładu medycyny sądowej? – zapytał Marian.

– Tak – odpowiedział funkcjonariusz.

– Powiedz kryminalnym, jak ich zobaczysz, żeby przyjechali na sekcję. Tam się spotkamy. Zresztą sam do nich zadzwonię.

Prokurator stał jeszcze przez jakiś czas na dachu wieżowca, obserwując okolicę. Smętne szare warszawskie blokowiska straszyły wyglądem. Wymieszane style architektoniczne, gdzie nowoczesne biurowce stały tuż obok zabytkowych kamienic były znakiem rozpoznawczym Warszawy, tworząc jednocześnie jej bezpłciowość i bezpostaciowość. Suski, widząc, że policjant prowadzący dochodzenie, nie ma nic więcej do powiedzenia, zszedł po schodkach. Przyjrzał się dokładnie klapie wjazdu na dach, z której zdjęto już odciski palców. Wychodząc z bloku, szarpnął drzwi wejściowe. Puściły bez większego wysiłku. Mruknął jakby sam do siebie i udał się do samochodu. Coś się w tym wszystkim nie zgadzało.

ROZDZIAŁ 33

Adam Zaręba z Piotrkim Cynarskim przekraczali próg biurowca SpecialBanku z duszą na ramieniu. Przygotowali sobie kawę i obserwowali pracownicze życie. Wszystko wokół zdawało się płynąć starym korporacyjnym rytmem. Pod koniec dnia, na wewnętrznym komunikatorze firmowym Piotrka pojawiła się informacja, która z brutalną siłą sprowadziła jego dobry humor na ziemię.

Cynarski udał się do pokoju Zaręby i wyciągnął go na korytarz.

– Dostałem informację od Ali Kownackiej – szeptał Piotr, rozglądając się, czy ktoś ich nie obserwuje. – Chce się spotkać, dziś wieczorem w klubie Dekada na Grójeckiej.

– Co w tym dziwnego? – Adam wzruszył ramionami. – Pewnie ma ruję i chce, żebyś ją przeleciał.

– Ciebie również chce zobaczyć – dodał Piotr.

– Czyżby gustowała w trójkątach? – uśmiechnął się Zaręba.

– Nie! – Cynarski spoważniał. – Chce porozmawiać o nożu, który podrzuciła nam pod drzwiami.

Adam zamilkł. Wspomnienia minionych dni powróciły ze zdwojoną siłą.

– To ona... wtedy? – zapytał Zaręba. – Dała nam nóż?

– Na to wygląda – odpowiedział Piotr. – Adam, nie wiem, co o tym myśleć. Może ona jest z nimi w zмовie? Pójdziemy do Dekady i jacyś gangsterzy kropną nas przy pierwszej nadarzającej się okazji – mówił ściszym głosem.

Przyjaciele poczuli się niczym pionki rozstawiane na szachownicy przez początkującego adepta królewskiej gry. Życie w nieświadomości i udawanie, że nic złego się nie stało, nie miało dłużej sensu. Trzeba było podjąć męską decyzję.

– Spotkamy się z nią – zaproponował Zaręba. – Skoro raz nam pomogła, to nie może mieć złych intencji.

– Przecież może blefować. Pewnie to oni ją przysłali, żeby nas sprzątnęła – zastanawiał się Piotr.

– W lokalu gdzie kręci się setka osób? To kiepskie miejsce na wykonanie wyroku, ale za to bardzo dobre, jeśli chce się porozmawiać.

– A co jeśli nie pójdziemy na spotkanie? Jeśli pojawi się tu mafia, albo policja i zamknie nas do pierdła? – Cynarskiemu włączył się tryb narzekania.

– Piotrek, czy ty jej ufasz? – zapytał Adam.

– Chyba tak, a co?

– Chyba?

– Nie wiem. Sądziłem, że mogę jej ufać, ale teraz sam nie jestem już pewien.

Po długich debatach przyjaciele doszli do wniosku, że trzeba będzie spotkać się z Alicją. Wrócili do mieszkania Cynarskiego i wieczorem udali się na ulicę Grójecką do pubu Dekada. Postanowili, że pierwszy do lokalu wejdzie Piotrek, Adam będzie obserwował wszystko z ulicy na wypadek, gdyby wydarzyło się coś złego.

Nogi Cynarskiego trzęsły się jak galareta, kiedy przekraczał próg klubu.

ROZDZIAŁ 34

Policjanci wraz z prokuratorem i lekarzem medycyny sądowej stanęli naprzeciwko dwóch stołów, na których pod przykryciem leżały ciała Konstantego Konopskiego i Wojciecha Kraty. Medyk odkrył zwłoki pracownika kancelarii prawniczej Verner i Miedziany. Foltyński, widząc rozplataną czaszkę zamknął oczy i wyobraził sobie łąkę pełną kwiatów i owadów, gorące słońce prażyło niemiłosiernie. Sielankę przerwał głos Mariana Suskiego. Na lekarzu medycyny sądowej, przyzwyczajonego do podobnych obrazków, ani pokiereszowane ciało, ani zachowanie Foltyńskiego nie zrobiło żadnego wrażenia. Westchnął tylko, cmoknął, jakby szykował się do rozpoczęcia wykwiintnej kolacji i rozpoczął opowieść.

– Mężczyzna spadł z dachu kamienicy i uderzył głową o asfaltowe podłoże. Efekt to pęknięta czaszka z przemieszczeniem. We krwi miał prawie promil alkoholu. I to – zawiesił głos lekarz – w zasadzie tyle.

– Mężczyzna raczej nie spodziewał się, że spadnie, bo trzymał w ręku telefon komórkowy – zauważył Trygar.

– Nie mógł skoczyć z telefonem w rękę? – zapytała Marzena Gibała.

– W zasadzie mógł, jednak bardziej prawdopodobne jest, że albo ktoś go wypchnął, albo spadł niechcący – zastanawiał się Marian.

– Mógł się poślizgnąć? – zapytał Tymon, stojący nieco z tyłu.

– Teoretycznie mógł, przy czym gzyms na dachu zbudowany jest w taki sposób, że trudno byłoby się poślizgnąć – odpowiedział prokurator.

– Zweryfikowaliśmy, co było w telefonie zmarłego? – dopytywał Rafał.

– Tak – odezwał się Foltyński. – Technicy zdołali odtworzyć dane z karty pamięci i z telefonu.

– I? – zainteresował się Suski.

– Z najistotniejszych spraw są dwie. Mamy listę osób, do których Krata dzwonił w dniu śmierci. Są trzy takie osoby, przy czym ostatnią jest niejaka Iwona Strychalska, najprawdopodobniej narzeczona zmarłego.

Na twarzy Marzeny Gibały pojawił się delikatny, ledwie zauważalny grymas.

– Trzeba sprawdzić te osoby – zawyrokował Suski.

– Druga sprawa, to lista stron, które wyświetlał Krata w swoim telefonie. Część z nich dotyczy hinduskiego rytuału pogrzebowego Ghat Manikarnika.

– A cóż to takiego? – zdziwił się Marian.

– To hinduski rytuał związany z paleniem zwłok nad Gangesem – tłumaczył Foltiński. – Dzięki niemu osiąga się wyższą kastę, a ostatecznie uzyskuje się Nirwanę, czyli wyzwolenie się od cyklu życia i śmierci.

– Czyli mamy kolejny rytuał pasujący do sprawcy – stwierdził Trygar. – Czy udało się znaleźć list?

– Jeszcze nie, ale policjanci przeszukują okolicę – odpowiedział Tymon.

Zebrani zakryli ciało Wojciecha Kraty i przenieśli uwagę na drugiego denata.

Tymon Foltiński, widząc zmasakrowane ciało Konstantego Konopskiego, omal nie zwymiotował. Rozprute trzewia grubasa, zgnieciona czaszka i sine ciało trupa wyglądały koszmarnie. Jedna gałka oczna wypłynęła na zewnątrz, druga otwarta spoglądała beznamiętnie, jakby pamiętała nieme wspomnienia wydarzeń sprzed śmierci. Aspirant nie wytrzymał, przytknął do twarzy chusteczkę i odwrócił się, odchodząc kilka kroków dalej. Marzena Gibała zdążyła już przywyknąć do faktu, że Foltiński bardzo źle znosi obcowanie ze zmarłymi. Ostatnio ich relacje jakby nieco się nawet poprawiły. Uszczypliwości, które do siebie kierowali, były jakby bardziej wyrafinowane.

– Trudno powiedzieć, czy mężczyzna przed śmiercią walczył. Równie dobrze siniaki na twarzy i brzuchu mogły powstać na skutek uderzenia o ziemię albo mocowanie na flagę.

– A są jakieś inne ślady? – zapytał Suski.

– Włókienny powróż zawiązany na kostkach denata.

– Wszystko wskazuje na to, że ofiara miała być do czegoś przytwierdzona, aby uniknąć upadku – zastanawiał się głośno prokurator.

– Końcówki sznurka są ucięte jakimś ostrym narzędziem. Na pewno nie zerwały się na skutek obciążenia – dodał lekarz.

– Można coś jeszcze powiedzieć o denacie? – dopytywał Marian.

– Stan zdrowia raczej kiepski, nadciśnienie tętnicze, spora nadwaga, początki cukrzycy. W takim stanie pewnie przeżyłby jeszcze parę lat. Chyba że radykalnie zmieniłby styl życia. – Lekarz medycyny zakrył ciało.

– Zastanawiamą mnie te sznurki na kostkach – zaczął Suski. – Co mogą oznaczać?

– Słyszeliście o plemieniu na wyspach Vanuatu? – Foltyniński włączył się do rozmowy.

– Vanuatu?

– Kompleks wysp na Oceanii.

– I co jest na tych wyspach? – zainteresował się Trygar.

– Plemię, w którym dzieci, aby wejść w dorosłość i zostać zaakceptowanym przez starszyznę, muszą przejść rodzaj rytuału. Chłopcy w wieku lat dwunastu skaczą z wysokiej wieży związani sznurami, podobnie jak my robimy to na bungee.

– Chyba słyszałem coś o tym w telewizji – zauważył Suski.

– Ten proceder odbywa się tylko na jednej z wysp o nazwie Pentecost. Plemienia na pozostałych nie mają podobnych zwyczajów – opowiadał Tymon.

– Co dzieje się ze śmiałkami, którzy skaczą z wieży? – dopytywał zainteresowany prokurator.

– Liny przygotowywane są odpowiednio wcześniej, aby były w stanie utrzymać ciężar adepta chcącego wejść w dorosłość. Nie są to liny elastyczne, dlatego czasami zdarzają się wypadki.

– Jakie na przykład? – zaciekał się Trygar.

– Lina może się zerwać, bywa czasem, że jest źle wymierzona i delikwent uderzy głową o ziemię. Innym razem, wrywa sobie nogi z bioder, albo łamie

miednicę. Choć statystycznie, większość młodych przechodzi próbę bez szwanku.

– Z czego robi się taką linę? – dopytywał Rafał.

– To odpowiednio spreparowane gałęzie palm i bambusa. Co ciekawe, sama ceremonia nazywa się Gol.

– Gol? – zdziwił się prokurator.

– Legenda głosi, że mężczyzna z plemienia próbował udowodnić męstwo przed swoją kobietą, która zdradziła go z innym mężczyzną. Skoczyli razem na linie, ale tylko ona miała przywiązane nogi lianą, dlatego przeżyła.

– Jaki to wszystko ma związek z wiceprezesem Bankowego Funduszu Gwarancyjnego? Jakos nie chce mi się wierzyć, że musiał skoczyć z bloku, aby udowodnić swoje męstwo, albo zostać przyjętym do egzotycznego plemienia – naigrywał się Trygar.

– Moim zdaniem – odpowiedział Tymon – to wszystko dowodzi, że mamy do czynienia z tym samym człowiekiem. Upozorowanie rytualnego samobójstwa, ciąg dalszy japońskiego seppuku i rosyjskiego samospalenia.

– Tym bardziej, że Konopski jest na „liście sześciu” – zastanawiał się prokurator, przygryzając wargę.

– A list pożegnalny? – zapytał Trygar.

– Włożony był w piorunochron. Napisany jest bardziej chaotycznie niż pozostałe i nie wnosi do sprawy nic nowego – odpowiedział Suski.

– Czy podobnie jak przy poprzednich morderstwach, jest jakiś ślad wskazujący na sprawcę? – dopytywał Fołtyński.

– Właśnie chciałem poruszyć ten temat – ciągnął Marian. – W kieszeni ofiary znaleźliśmy zegarek należący do wiceministra infrastruktury Ignacego Cembrzyńskiego.

– A skąd wiecie, że to jego zegarek?

– Bo to Patek za sześćdziesiąt pięć tysięcy złotych. Kupiony dwa lata temu u jednego z warszawskich jubilerów – tłumaczył prokurator.

Suski zawiesił głos, westchnął kilkakrotnie, po czym wymamrotał.

– Te dwa trupy zupełnie mi do siebie nie pasują.

– Trzeba będzie wziąć pod lupę wiceministra i zapytać go, czy nie zgubił ostatnio zegarka – dodał Trygar.

Mężczyźni milczeli, zastanawiając się nad następstwami dwóch kolejnych morderstw, a przede wszystkim burzy, jaka rozegra się w mediach, po informacji o śmierci Konstantego Konopskiego. Śmierć Wojciecha Kraty była jakby zupełnie z boku, nijak nie pasowała do sprawy „listy sześciu”. Co gorsze, nadal nie mieli konkretnego śladu prowadzącego do sprawcy. Oczyma wyobraźni widzieli, jak prokuratura i policja kryminalna zostają przez media wytykane palcami za brak skuteczności i opieszałość w prowadzeniu śledztwa.

– Dowiedzieliście się czegoś w Trójmieście? – zmienił temat Suski.

Tymon opowiedział Marianowi o pobycie w pensjonacie „Lazurowe wybrzeże”, jak i o dochodzeniu prowadzonym w sprawie zmarłej Moniki Wrześniewskiej.

– Szóstka przyjaciół, podczas wakacyjnego pobytu, zgwałciła w pensjonacie młodą dziewczynę – parafrazował Suski, aby lepiej zrozumieć sytuację. – To sugerowałoby motyw zemsty po latach.

– Problem jednak w tym, że dziewczyna nie żyje od siedmiu lat.

– Może ktoś z rodziny? – dopytywał Marian.

– Poprosiliśmy Interpol, aby sprawdzili ojca zmarłej Moniki Wrześniewskiej. Facet mieszka w Niemczech w Rostocku. Obawiam się jednak, że to fałszywy trop – powątpiewał Trygar.

– Lipa, panowie, straszna lipa – podsumował Suski.

ROZDZIAŁ 35

Cynarski wszedł do lokalu Dekada i ruszył w stronę baru, dyskretnie rozglądając się w poszukiwaniu Ali Kownackiej. Ponieważ pora była jeszcze młoda, dostrzegł zaledwie kilkanaście osób rozsianych po klubie, niemrawo popijających piwo i rozmawiających przy stolikach. Zamówił u barmana colę i siedział, kontemplując myśli.

Kobieta pojawiła się kilka minut po godzinie ósmej. Widząc Piotra, siedzącego przy barze, podeszła bliżej, dotknęła jego ramienia i pocałowała namiętnie w usta. Cynarski był zupełnie zaskoczony tym przywitaniem. Mięśnie, naprężone niczym u sportowca przed finałowym występem, przygotowane były raczej do konfrontacji, niż do pieśszcot i czułości.

– Usiądź – wymamrotał, starając się sprawić wrażenie odprężonego.

Alicja spoczęła na wysokim krześle barowym obok Cynarskiego, zamówiła wodę i ze spokojem wpatrywała się w butelki z trunkami stojące w równym rzędku na półce za barem.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytał Piotr.

– Grozi wam śmiertelne niebezpieczeństwo. Zadarliście z niewłaściwymi ludźmi – powiedziała lodowatym tonem.

– Kim ty jesteś? – zagadnął Piotrek, odwracając się w jej stronę.

– Wiele ryzykuję, spotykając się z tobą – zaczęła – ale po prostu... zakochałam się – rzuciła cicho, jakby wstydząc się swoich słów. – Posłuchaj mnie teraz uważnie – dodała, a jej twarz na nowo przybrała kamienny wyraz – bo to, co powiem, może uratować wasze życie.

Cynarski spojrział dziewczynie w oczy, zastanawiając się, na ile szczerą są jej słowa.

– Nie jestem tą, za którą mnie uważasz – zaczęła. – Cała sprawa mocno się skomplikowała. Miałam tylko wywiązywać się z powierzonych zadań. Widząc

was, tam w celi, przestraszonych... wiedziałam, że nie mogę dać wam zginąć.

W tym momencie Cynarski zdał sobie sprawę, że kobieta, z którą dotychczas się spotykał, współpracuje z ludźmi ze świata przestępczego. Coraz częściej nachodziły go myśli, aby dać sobie spokój z podrywaniem dziewczyn. Może najwyższa pora, aby znaleźć sobie żonę i ustabilizować się?

Piotr zwrócił się w stronę Ali, postanawiając sobie w duchu, że jeśli jakimś cudem wyjdzie cało z tej kabały, zarzuci dotychczasowe nawyki.

– Jak znalazłeś się w tamtym lochu, w którym nas więzono? – dopytywał. – Pracujesz dla tych gangsterów? Wiesz, gdzie nas przetrzymywano?

– Im mniej pytań, tym lepiej dla was. Musicie na jakiś czas zniknąć. Nikt nie może się dowiedzieć, że się spotykamy. Oni wcale o was nie zapomnieli.

– Ale jak? – dopytywał zdezorientowany Piotr.

– Uwierz mi. Im mniej wiesz, tym lepiej. Mam nadzieję, że przyjdzie moment, kiedy będę mogła ci o wszystkim opowiedzieć. Zniknijcie z Adamem na jakiś czas, wyjedźcie za granicę, albo do cioci w podkarpackim. Jak wrócicie za kilka miesięcy, może sprawa przycichnie, coś się wyjaśni. Na razie jest zbyt wiele niewiadomych, aby cokolwiek powiedzieć.

– Nie wyjdę stąd dopóki nie powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi – uparł się Piotrek.

W pewnym momencie do lokalu wszedł wysoki mężczyzna o twarzy dżentelmena i posturze neandertalczyka. Masywna budowa ciała kontrastowała z wystylizowanymi włosami i idealnie przyciętą bródką i wąsami.

Ala Kownacka na widok wchodzącego człowieka zareagowała natychmiast. Wstała i pociągnęła Piotra do wnętrza lokalu, gdzie znajdowały się ubikacje. Wślizgnęli się do damskiej toalety i zamknęli kabinę. Patrząc sobie w oczy, nasłuchiwali odgłosów dobiegających z sali. Pełne elektryczności, zachłanne spojrzenia sprawiały, że narastało w nich erotyczne napięcie, które ostatecznie znalazło ujście w namiętym pocałunku. Dłonie zataczały po ciele coraz szersze kręgi, łapczywie wyławiając każdą wypukłość i zagłębienie. Czuli się niczym para skazanych na zagładę kochanków, którzy wykorzystują ostatni moment przed tragiczną śmiercią. Alicja z wielkim

trudem oderwała się od ust Piotra, w jej oczach płonęła nieokiełznana żądza i pragnienie bliskości.

– Rozdzielmy się – wymamrotała, ciężko oddychając. – Każdy pójdzie w swoją stronę. Musisz unikać tego faceta, który wszedł do lokalu. Jest jednym z nich. Jeśli zobaczy nas razem, zginiemy.

Piotr schował koszulę do spodni i spojrzał na Alicję, wyczekując dalszych wskazówek.

– Wyjdę pierwsza, ty minutę po mnie. Idź przed siebie i nie oglądaj się.

– Dobrze – przytaknął, nie wchodząc w zbędne dyskusje.

– Kocham cię – rzuciła Alicja, wychodząc z ubikacji.

Piotr siedział na zamkniętym klozecie, słysząc coraz głośniejsze bicie własnego serca. Po minucie, trwającej nieskończoność, otworzył drzwi i stanął twarzą w twarz z utapiowaną paniusią, która przyszła poprawić makijaż. Nie zważając na bombardujący wzrok kobiety, wyszedł z damskiej ubikacji, i patrząc w podłogę, ruszył w stronę wyjścia. Na szczęście klub Dekadaapełniał się ludźmi, co dawało dodatkowe możliwości, aby wmieszać się w tłum. Cynarski dopadł do drzwi prowadzących na zewnątrz, i kiedy miał je otworzyć, ktoś złapał go za rękę i szarpnął do tyłu. Piotr zamarł w bezruchu, oczyma wyobraźni widział napastnika, który bez żadnych skrupułów wbija mu nóż w plecy.

– Nie zapłacił pan za colę, pana przyjaciółka również – usłyszał głos ochroniarza.

Przez chwilę sądził, że zemdleje. Dopiero, kiedy doszło do niego, że chodzi tylko o uregulowanie należności, poczuł się lekki niczym balonik z helem. Szybko sięgnął po portfel i wręczył mężczyźnie dwudziestozłotowy banknot, po czym ruszył do wyjścia. Otworzył drzwi i struchlał po raz kolejny, bo zobaczył grubego mężczyznę tarasującego mu drogę. Wzrokowy pojedynek trwał przez kilka sekund.

– Gdzie ci się tak spieszy, przyjacielu? – powiedział nieznajomy.

– Mama na mnie czeka – mruknął Cynarski, zastanawiając się, skąd wytrzasnął podobnie kuriozalną odpowiedź.

– To pozdrów mamę.

Mężczyzna zszedł Piotrowi z drogi i pozwolił mu wyjść z lokalu. Cynarski wyskoczył na ulicę z prędkością katapulty i udał się Grójecką w stronę centrum miasta na plac Zawiszy. Przeszedł niedaleko siedziby SpecialBanku i skręcił na Raszyńską.

Zaręba, widząc, że przyjaciel niemal wybiega z klubu Dekada, natychmiast ruszył za nim. Cynarski zapewne zdawał sobie sprawę, że Adam idzie jego śladem. Mimo tego, nie reagował, co mogło sugerować, że czegoś się obawia, albo jest w niebezpieczeństwie. W pewnym momencie czyjaś ogromna ręka złapała Piotra za szyję i wciągnęła do ciemnej bramy. Trzasnęły drzwi. Mocne uderzenie w żebra sprawiło, że Cynarski stracił oddech. Nogi odmówiły posłuszeństwa i osunął się na ziemię.

Adam, obserwujący całe zajście z pewnej odległości, przestraszył się nie na żarty. Rozglądał się dookoła w panice, zastanawiając, czy nie zacząć krzyczeć, albo przynajmniej zatrzymać jakiegoś przechodnia, aby poprosić go o pomoc. Jedno wiedział na pewno, że nie może zostawić przyjaciela na pastwę tych szumowin. W przyływie nagłego heroizmu postanowił wejść do bramy.

Mężczyzna o posturze kulturysty wyciągnął z kieszeni pistolet i skierował w stronę leżącego Cynarskiego.

– Poczekamy na twojego kolegę. Zastanawia się, czy powinien cię ratować. Mam nadzieję, że zależy mu na tobie i podejmie właściwą decyzję.

Piotr poczuł, jak uchodzi z niego całe powietrze, zwinął się w kucki i czekał, co przyniesie los.

Po kilkunastu sekundach brama otworzyła się ze skrzypieniem i pojawił się w niej Adam Zaręba. Obmacywał ścianę, aby znaleźć włącznik światła.

Padło głucho uderzenie i chwilę potem koledzy leżeli razem na ziemi. Nieprzyjemne uczucie deja-vu zawładnęło ich umysłami. Zaledwie dwa dni temu siedzieli w ciemnym lochu bez okien, zastanawiając się, czy uda się przeżyć kolejną godzinę. Obecna sytuacja rokowała jeszcze gorzej.

Oprawca wycelował lufę pistoletu w stronę Cynarskiego, potem w Zarębę, jakby zastanawiając się, kogo pierwszego pozbawić życia.

– Porozmawiamy – powiedział Adam, próbując ugrać nieco na czasie. O ile pamiętał z filmów, tak się to właśnie robiło. Przystojny osiłek ani myślał

jednak wdawać się w dyskusje.

Nagle wszyscy zamarli, bo drzwi bramy po raz kolejny uchyliły się i pojawiła się w nich zasuszone staruszka. Chwilę potem zza winkła wychyliła się Ala Kownacka i jednym strzałem z pistoletu zraniła oprawcę w szyję. Skowyt bólu przeszył powietrze, niosąc się echem po całej klatce schodowej. Gangster, brocząc krwią i trzymając się za zranioną szyję, charczał coś, podrygując w śmiertelnych konwulsjach. Dwójka przyjaciół patrzyła z przerażeniem, to na sparaliżowaną strachem babinę, to na Alę Kownacką. Oczy starowinki zasły bielmem i chwilę potem jej bezładne ciało osunęło się zemdłone na betonową posadzkę.

– Zmywajmy się, zanim zlecą się tu wszyscy mieszkańcy kamienicy – zawyrokowała Ala, sprawdzając tętno starszej kobiety. – Tylko zemdlą – dodała, po czym podeszła do krwawiącego gangstera i kolejnym strzałem, tym razem w głowę, zakończyła jego cierpienie.

Zaręba z Cynarskim, długo się nie zastanawiając, wybiegli z bramy i ruszyli przed siebie wzdłuż ulicy. Ala schowała broń do kieszeni i uciekła w przeciwnym kierunku niż mężczyźni.

Przyjaciele po przejściu kilku przecznic i po upewnieniu się, że są bezpieczni, rozpoczęli rozmowę.

– Ala mówiła mi w Dekadzie, żebyśmy na jakiś czas zniknęli z Warszawy – tłumaczył Piotrek z przejęciem w głosie. – Teraz już się nie wywinie – powiedział. – Spójrz raz jeszcze za siebie i powiedz mi, czy nikt za nami nie idzie.

– Nie ma nikogo. Pewnie wszystkich zamordowała twoja narzeczona – odpowiedział poirytowany Zaręba. – Idziemy na policję, i to natychmiast! – krzyknął.

– Adam, oni na nas polują, jak na zwierzynę – narzekał Cynarski. – Musimy się gdzieś ukryć.

– Mam dziwne przeczucie, że jeszcze chwilę i my również w tym zamieszaniu stracimy życie – stwierdził Zaręba.

– Ala pracowała dla nich... zakochała się we mnie, uratowała nas tam... wtedy... i teraz – mamrotał Piotrek, nie mogąc uporządkować rozbieganych

myśli.

– Jednego nie rozumiem. Co ona z tym wszystkim ma wspólnego? – zapytał Adam.

– Nie wiem, niczego mi nie powiedziała. Mówiła tylko, że grozi nam niebezpieczeństwo, że ci ludzie nie żartują.

– Coś było w tych materiałach, które wykradłeś ze SpecialBanku, tylko nie wiemy co – zastanawiał się głośno Adam. Momentami musiał podbiegać, aby dogonić kolegę. – Jeśli ci życie miłe, musimy iść z tym na policję.

– Zapomnij! – zawyrokował Cynarski. – Idę do banku wybrać pieniądze i znikam stąd. Z tobą lub bez ciebie. Możesz wybierać – rzucił i zatrzymał się, jakby chciał tym samym dać Adamowi czas na podjęcie decyzji. Mężczyźni patrzyli na siebie przez kilka sekund, które zdawały się trwać wieczność.

– Przepraszam, Piotrek – powiedział Adam.

Cynarski bez chwili wahania odszedł kilkaset metrów dalej i zniknął za rogiem, zostawiając Zarębę na środku ulicy.

ROZDZIAŁ 36

Policjanci zebrali się w pokoju komendy, aby zapoznać się z nowymi materiałami zebranymi przez techników kryminalistyki.

– Panowie – zaczął Suski. Spojrzał na Marzenę ubraną w czerwoną koszulkę i dodał: – i panie. Mamy kilka nowych faktów, które należy przeanalizować.

Prokurator wręczył zebranym zdjęcia przedstawiające ujęcie z ulicznej kamery.

– Co to takiego? – zdziwił się Foltynski, próbując dostrzec cokolwiek z niewyraźnych białoczarnych fotografii.

– Ujęcie kamienicy na Pradze, gdzie zginął Wojciech Krata, pracownik kancelarii prawniczej Verner i Miedziany. Udało nam się dowiedzieć od pracowników, że mężczyzna spotykał się od jakiegoś czasu z niejaką Iwoną Strychalską. Potwierdza to również biling z telefonu Kraty.

– Tu nic nie widać – stwierdziła Gibała.

– Spójrzcie na zdjęcia w powiększeniu. Można dostrzec kontury dwóch osób. Jedną z nich jest Wojciech Krata, drugą próbujemy zidentyfikować. Jednak widać wyraźnie – tłumaczył Marian – że dyskutują o czymś na dachu kamienicy. Wygląda tak, jakby się pokłócili i w ferworze walki ta druga osoba wypchnęła mężczyznę poza gzyms.

– Ja tego tu nie widzę – zaoponowała Marzena.

– Spójrz na ostatnie zdjęcie – powiedział Suski. – Jest tam tylko ta druga osoba, mężczyzny nie ma. Pytaliśmy pracowników kancelarii prawnej, czy rozpoznają, kto to taki. Nie byli pewni, ponieważ widoczna jest tylko sylwetka – tłumaczył Suski.

– To morderstwo nijak nie pasuje do klucza – zastanawiał się Trygar. – Znaleźliście chociaż list?

– Obawiam się, że nigdy go nie znajdziemy – zawyrokował Tymon. – To morderstwo przypadkowo zgłosiło się ze śmiercią Konstantego Konopskiego.

– Nie możemy jednak zignorować tej Strychalskiej – powiedział Folyński. – Udało się ją odnaleźć?

– Tak – stwierdził Suski. – I to jest najciekawsze, bo dziewczyna ma alibi.

Folyński i Trygar zdziwili się, czego nie można było powiedzieć o Marzenie Gibale.

– Jakie? – zapytał Folyński.

– Jej narzeczony twierdzi, że była u niego całą noc – powiedział Marian.

– Narzeczony? – zapytał Trygar. – Przecież Wojciech Krata był jej narzeczonym.

– Najwyraźniej miała kilku narzeczonych – podsumował Suski.

– A kto to taki ten drugi narzeczony? – zapytał Tymon.

– Niejaki Jan Woliński – prokurator przeczytał nazwisko z kartki wydrukowanej na komputerze.

– W takim razie osoba na tej fotografii to nie Strychalska – zawyrokowała Marzena.

– Na to wygląda – zamyślił się Marian. – Trzeba będzie w takim razie sprawdzić, czy Iwona Strychalska faktycznie przebywała w mieszkaniu tego Wolińskiego. No i druga sprawa, należy przesłuchać zarówno Wolińskiego, jak i Strychalską.

– Mogę się tym zająć? – zapytała Marzena, patrząc na Suskiego wzrokiem łaszczącej się kotki.

Prokurator zastanawiał się przez chwilę, wreszcie przytaknął, zgadzając się, aby Marzena zajęła się przesłuchaniem.

Tymon Folyński z Rafałem Trygarem, po wcześniejszym zaanonsowaniu się, złożyli wizytę wiceministrowi infrastruktury urzędującemu w biurowcu znajdującym się przy ulicy Wspólnej. Przywitała ich długonoga sekretarka, przykuwająca uwagę skąpą spódniczką opinającą zgrabne pośladki.

Tuż obok drzwi do pokoju Ignacego Cembrzyńskiego siedział ochroniarz BOR-u. Z jego smętej miny łatwo można było wyczytać, że marzą mu się

samochodowe pościgi i karkołomne interwencje, a nie słęczenie przez biurem jakiegoś pyszałka, który przy byle wietrzyku poczuł się zagrożony.

– Dzień dobry – rzucił komisarz, pokazując odznakę. – Byliśmy umówieni z panem ministrem. Jesteśmy z policji kryminalnej.

Trygar minął cycatą sekretarkę, zastanawiając się, jakie trzeba mieć referencje, aby dostać pracę w ministerstwie.

– Tak, tak – odpowiedziała kobieta. – Pan minister czeka na panów.

Wnętrze biura pachniało skórą, którą obite były kanapa i krzesła. Na ścianach wisiały dyplomy i zdjęcia prezentujące Cembrzyńskiego z ważnymi osobistościami polskiego i zagranicznego świata polityki i biznesu.

– W czym mogę panom pomóc? – wiceminister, siedząc za biurkiem, wskazał ręką na kanapę stojącą pod ścianą. Był szpakowatym, korpulentnym panem koło sześćdziesiątki o gruszkowatej twarzy i podwójnym podbródku. Dwa wystające przednie zęby uwidaczniające się przy każdym uśmiechu upodabniały go do nutrii, albo bobra.

„Czy mając tyle pieniędzy i spotykając się ze znaczącymi ludźmi, Ignacemu Cembrzyńskiemu nie przyszło przez myśl, aby sprawić sobie lepsze zęby, które jakby nie patrzeć były wizytówką całej Polski?” – zastanawiał się Folyński.

– Chcielibyśmy porozmawiać o śmierci kilku ważnych osób – zaczął Trygar, który postanowił odegrać rolę złego policjanta, aby wyciągnąć z Cembrzyńskiego istotne dla sprawy informacje. Czasami ten wyświechtany fortel przynosił nadzwyczaj dobre rezultaty.

– Słyszałem o tym, to straszne – odpowiedział Ignacy. – Sam wzmocniłem ochronę, bo boję się, że i mnie może się coś przytrafić. To byłaby ogromna strata dla polskiej infrastruktury.

– Nie wątpimy – mruknął Rafał. – Czy ma pan coś na sumieniu, że wzmocnił pan ochronę?

– Wszyscy są tymi morderstwami bardzo poruszeni. O niczym innym nie mówi się na spotkaniach – zauważył Cembrzyński.

– Czy poznaje pan ten zegarek? – Trygar wyciągnął z kieszeni przedmiot zamknięty w foliowym woreczku i pokazał go ministrowi.

Mężczyzna przyglądał mu się chwilę z oznaką wyraźnego zainteresowania.

– Tak, to mój zegarek. Skąd go panowie mają?

– Dlaczego nie jest na pańskiej ręce? – zagadnął Tymon.

– Ukradziono mi go kilka tygodni temu. Zgłosiłem to nawet policji, bo to cenny zegarek. Czy mógłbym go odzyskać? – zapytał Cembrzyński, podnosząc się z fotela.

– To jest dowód w sprawie śmierci Konstantego Konopskiego. Znaleźliśmy ten zegarek w jego kieszeni – powiedział Fołtyński.

Na twarzy Ignacego po raz kolejny pojawiło się zaskoczenie. Mężczyzna usiadł w fotelu i wbił wzrok w Tymona.

– Nie rozumiem. Dlaczego mój zegarek miałby się znaleźć w kieszeni Konstantego Konopskiego?

– Czy panowie się znali? – dopytywał Trygar.

– Tak. Mieliśmy możliwość widywać się przy okazji różnego rodzaju wieców, rautów, czy imprez charytatywnych – tłumaczył wiceminister.

– A ja sądziłbym, że byliście starymi kumplami – zaatakował Rafał. – Czy nie byli panowie razem w pensjonacie „Lazurowe wybrzeże” siedem lat temu? – zapytał Trygar.

Na twarzy Cembrzyńskiego pojawiły się wypieki.

„Czyżby tracił grunt pod nogami i zaczynał się denerwować?” – zastanawiał się komisarz.

Mężczyzna zawiesił głos, udając, że nad czymś się zastanawia. Wreszcie wolno, jakby z namaszczeniem, odpowiedział:

– Tak, to możliwe, że byliśmy tam razem.

Trygarowi przeszło przez myśl, że polityk tej rangi, co Cembrzyński, nie powinien mieć najmniejszych problemów z wciskaniem ludziom ciemnoty i to bez najmniejszego mrugnienia okiem. To, co wytrąciło go z równowagi, musiało być na tyle istotne, że wiceminister nie był w stanie zapanować nad emocjami.

– Ktoś próbuje pana zrobić w morderstwo Konstantego Konopskiego, podrzucając pański zegarek. A ja spróbuję zgadnąć, kto to może być – ciągnął

Trygar, podnosząc się z kanapy i podchodząc do biurka. Wczuł się w rolę złego policjanta na tyle mocno, że puściły mu nerwy. Prezes poczuł, że jest atakowany, wcisnął się mocniej w fotel, złapał za oparcia i przyjął postawę obronną.

– Siedem lat temu zgwałciliście dziewczynę, teraz ktoś z jej znajomych, albo rodziny bierze na was odwet, a ja się zastanawiam – ciągnął Trygar – czy czasem nie dać dokończyć mu tej roboty.

Cembrzyński nie wytrzymał, wstał z fotela i wskazał palcem w stronę drzwi.

– Proszę wyjść! Wszelkie pytania proszę zadawać przez mojego adwokata – zawyrokował wiceminister. – Złożę oficjalną skargę na warszawską policję.

Foltyński z Trygarem, długo się nie zastanawiając, opuścili pomieszczenie. Natychmiast doskoczył do nich strażnik BOR-u, który nie posiadał się z radości, że wreszcie może się na coś przydać.

– Nie wiem, czy trochę nie przesadziłeś – powiedział Foltyński, kiedy wyszli z biurowca na zewnątrz.

– Celowo sprowokowałem Cembrzyńskiego. Trzeba go teraz obserwować.

– Sądysz, że skontaktuje się z Arkadiuszem Malinowskim albo Mateuszem Mańkowskim? – zapytał Tymon.

– Tak sądzę – odpowiedział Trygar.

– Chyba że panowie trzymają się od siebie z daleka, posądzając wzajemnie o wymordowanie kolegów z „listy szczęściu” – zauważył Foltyński.

– Jeśli tak jest, to tym bardziej powinniśmy obserwować Cembrzyńskiego. Jego zachowanie da nam kilka istotnych odpowiedzi w całej tej sprawie.

– Z racji braku dowodów, dobre i to – podsumował Foltyński, wzruszając ramionami.

Policjanci wsiedli do służbowego samochodu stojącego na płatnym parkingu nieopodal i ruszyli w kierunku prokuratury.

ROZDZIAŁ 37

Piotr Cynarski czuł się jak bezdomny pies. Spoglądał na tętniące życiem miasto, zastanawiając się, czy nie zaryzykować powrotu do mieszkania na Mokotowie. Obawiał się jednak, że będą tam na niego czekać koledzy z mafii, albo w lepszym wypadku policja. Jedyne, co wiedział na pewno, to że musi podjąć wszystkie pieniądze z banku i jak najszybciej wyjechać. Na początek gdzieś na Mazury, albo nad morze, żeby potem czmychnąć do Niemiec, albo jeszcze dalej. Jako że było już sporo po godzinie dziewiątej, podjęcie pieniędzy z oddziału nie wchodziło w rachubę, bankomat posiadał limity, a do przelewu międzynarodowego trzeba byłoby mieć konto za granicą. Należało poczekać, aż otworzą oddział banku, aby z samego rana podjąć pieniądze.

Piotra nękały wyrzuty sumienia, że tak bez słowa rozstał się z Adamem, jednak pomysł kolegi, aby zgłosić się na policję, był nie do zaakceptowania. Cynarski na tyle dobrze znał prawo, że zdawał sobie sprawę, jaką karę przewiduje kodeks za malwersacje giełdowe. Nie miał zamiaru trafić do więzienia, na pewno nie teraz, kiedy był młody, piękny i bogaty.

Pierwszą rzeczą, o jaką należało zadbać, to zorganizowanie noclegu. Cynarski przypomniał sobie o zacisznym motelu, do którego czasami zabierał nowo poznane dziewczyny, kiedy nie chciał ujawniać, gdzie mieszka. Ruszył przed siebie, z mocnym postanowieniem, że jutro po podjęciu pieniędzy rozpocznie nowe życie. Po cichu liczył, że po wydarzeniach z lokalu Dekada i po zejściu w bramie przy ulicy Raszyńskiej policja nie podejmie jego tropu. Nagle przypomniał sobie staruszkę, która zemdląła na widok martwego mężczyzny zastrzelonego przez Alę Kownacką. Co, jeśli zapamiętała twarz Piotra? Zezna policji, co widziała? Być może jutro w całej Warszawie będzie wisiał list gończy z twarzą Cynarskiego? Walcząc z przygnębiającymi myślami, doszedł do niskiego budynku, na którym widniał świecący szyld z napisem „Motel Hrabia”.

Adam stał na ulicy, zastanawiając się, co począć. Naiwna próba powrotu do dawnej rzeczywistości nie wypaliła. Należało pogodzić się z faktem, że dotychczasowe życie zmieni się raz na zawsze. Kto by pomyślał, że zaledwie po kilku miesiącach pobytu w Warszawie można przeistoczyć się w amanta, być świadkiem zabójstwa, zostać porwanym przez mafię, wbić nóż w oko gangstera i współuczestniczyć w malwersacjach finansowych na giełdzie. To całkiem sporo, jak na młodego, nieśmiałego człowieka, który dopiero zaczynał wchodzić w dorosłe życie.

W głowie dudniła Zarębie tylko jedna kwestia: jak najszybciej udać się na policję i opowiedzieć o wydarzeniach ostatnich dni. Oczywiście, przy okazji trzeba będzie wsypać siebie i kolegę, niemniej jednak w obliczu zagrożenia życia, ewentualna kara nie wydawała się aż tak dotkliwa. Może dostaną trzy lata w zawieszeniu? Albo będą musieli zapłacić grzywnę, lub skończyć się na pracach społecznych?

Przestępcy, z którymi zadarli przyjaciele, muszą być policji znani. Zeznania świadków, którzy pomogą oskarżyć a potem skazać sprawców, powinny być potraktowane jak taryfa ulgowa.

Zaręba ruszył w stronę najbliższego komisariatu policji. Przekraczając próg budynku, na którym dużymi literami widniał napis Komenda Rejonowa Policji, zastanawiał się, czy nie zrezygnować. Ostatecznie jednak wszedł do środka i stanął naprzeciwko znudzonego funkcjonariusza dyżurnego.

– Chciałbym złożyć zeznanie – wymamrotał, i nagle poczuł się zupełnie lekko. Jakby wraz z decyzją o przyjsciu tutaj, spadł mu z pleców wielki ciężar.

– Słucham? – policjant jakby obudził się z letargu.

– Zostaliśmy porwani przez bandytów i przetrzymywani na obrzeżach miasta. Cudem udało nam się zbiec.

– Wam? – zdziwił się policjant.

– Kolega nie odważył się do was zgłosić, bo obawiał się odpowiedzialności – zaczął Adam.

– Czy pan coś pił? – zapytał funkcjonariusz, marszcząc brwi.

– Jeśli pan chce, może mnie pan zbadać alkomatem – zaproponował Zaręba.

ROZDZIAŁ 38

Postawny mężczyzna, o szpakowatej urodzie i ciemnych włosach zaczesanych do tyłu, siedział naprzeciwko Marzeny Gibały, wbijając w nią pretensjonalny wzrok. Nieco z tyłu Marian Suski wraz z protokolantką przysłuchiwali się rozmowie. Marzena ubrana w niebieską tunikę wyglądała nad wyraz skromnie. Najwyraźniej nie chciała rozpraszać przesłuchiwanego i prokuratora.

– Czy zna pan Iwonę Strychalską? – zapytała, próbując wytrzymać spojrzenie przesłuchiwanego.

Mężczyzna poprawił się na krześle, odchrząknął i odpowiedział:

– Tak, to moja narzeczona – stwierdził.

– A jak długo się znacie? – dodała policjantka.

– Od pół roku.

– Sypiacie ze sobą?

Mężczyzna zawahał się. Spojrzał na prokuratora siedzącego w kącie i odparł:

– Czy muszę odpowiadać na to pytanie?

– Nie musi pan – urwała Gibała. – Proszę mi powiedzieć, czy wczoraj w nocy między godziną dziesiątą a ósmą byliście z Iwoną Strychalską razem? – zapytała.

– Tak. Iwona spała u mnie całą noc. Przyszliśmy do mnie koło godziny ósmej – powiedział Jan Woliński.

– Czy widział was ktoś? Ktoś może to potwierdzić? – zapytała Gibała.

– Nie wiem, byliśmy razem. Może jakiś sąsiad nas widział, ale trudno powiedzieć – dodał Jan.

– Wie pan, że będziemy mogli to łatwo sprawdzić. Nasi technicy przeczesują pana mieszkanie w poszukiwaniu śladów pobytu Iwony

Strychalskiej. Sprawdzimy też kamery osiedlowe, czy może któraś was zarejestrowała – powiedziała Marzena.

– Proszę bardzo, nie mamy nic do ukrycia – wypalił Woliński, uśmiechając się.

Gibała spojrzała kątem oka na prokuratora Suskiego, który skinął głową, dając do zrozumienia, że można przesłuchiwanego już zwolnić.

– Dziękuję bardzo. Nie mam więcej pytań – powiedziała policjantka.

Marzena wraz z prokuratorem i protokolantką zostali w pokoju sami.

– Technicy coś potwierdzili? – zapytała Marzena.

– Tak, znaleźli ślady Iwony Strychalskiej w mieszkaniu tego Wolińskiego. Na dywanie znaleźli nawet ślady płynów ustrojowych – powiedział Suski.

Marzena uniosła brwi.

– Uprawiali sex? – zapytała zainteresowana.

– Tego nie wiemy, ale na pewno nie pili tam kawy – stwierdził Suski.

– A czy można jednoznacznie stwierdzić, o której godzinie płyny ustrojowe znalazły się na dywanie? – zapytała Marzena.

– Technicy powiedzieli, że granica błędu to dwie trzy godziny – ciągnął Marian. – Ich zdaniem płyny ustrojowe są z godziny trzeciej w nocy, a zatem faktycznie wygląda na to, że oni tam razem byli.

– Ale śmierć Wojciecha Kraty nastąpiła koło godziny pierwszej w nocy – zauważyła Marzena.

– Plus minus dwie godziny – dodał Marian. – W sądzie to za mało. Jeśli nawet Iwona Strychalska zabiła Wojciecha Kratę, to była na tyle sprytna, aby załatwić sobie alibi. To dziwne, bo ludzie pod wpływem silnych emocji nie działają racjonalnie. Może ktoś jej pomagał? – zastanawiał się Suski.

– Czyli trop z Iwoną Strychalską wydaje się spalony? – zapytała Gibała, chcąc urwać prokuratorskie przemyślenia.

– Może faktycznie zabójcą Wojciecha Kraty był nasz mściciel – zamyślił się Suski. – Może warto byłoby tę parkę posadzić przed wariografem? – dodał po chwili.

Marzena przemilczała pytanie Mariana.

– Trzeba dać temu spokój i zająć się poszukiwaniem właściwego zabójcy – dodał po chwili.

– Czy w takim razie jest sens przesłuchiwać tę Strychalską? – zapytała Marzena.

– A jest tutaj?

– Tak. Czeka w poczekalni – odpowiedziała.

– Popytaj ją dla formalności. Ja mam coś do załatwienia. Nie będę w tym uczestniczył – zawyrokował poirytowany Marian, który zdał sobie sprawę, że nadal nie mają w sprawie „listy szczęściu” niczego konkretnego.

– Ale bez twojej obecności nie mogę przeprowadzić przesłuchania – stwierdziła Gibała.

– To potraktuj to jako zwykłe policyjne rozpytanie – powiedział prokurator, po czym opuścił pomieszczenie.

Po wyjściu protokolantki Marzena została sama w pokoju. Zastanawiała się nad całą sytuacją, zdając sobie sprawę, że igra z ogniem. Ociężała podniosła się z miejsca i udała do poczekalni, gdzie siedziała Iwona Strychalska. Kobiety weszły razem do pokoju i usiadły naprzeciwko siebie. Gibała wyprostowała się na krześle i spojrzała na przyjaciółkę beznamiętnym wzrokiem.

– Proszę mi powiedzieć, gdzie była pani wczoraj w nocy, między godziną dwudziestą drugą a ósmą rano? – zapytała.

Każdą odpowiedź Strychalskiej Gibała zapisywała w służbowym notesie. Kobiety zdawały sobie sprawę, że muszą jakoś przebrnąć przez tę całą szopkę. Miały tylko nadzieję, że nikt nie domyśli się, że łączy je stosunkowo zażyła relacja. Nie wiedzieć czemu, obie dość skrupulatnie ukrywały znajomość przed światem, jakby czuły podświadomie, że ostrożność przyniesie kiedyś wymierne korzyści.

ROZDZIAŁ 39

Rafał Trygar pojawił się na komendzie, co prawda na kacu, jednak lśniące z podniecenia oczy jednoznacznie wskazywały, że wydarzyło się coś bardziej istotnego niż zwykle.

– Chyba go mamy – komisarz wręczył Tymonowi Foltyńskiemu plik ze zdjęciami wydrukowanymi z komputera.

Fotografie prezentowały ściany ciemnego pomieszczenia, na których wisiały zdjęcia prezentujące makabryczne sceny zbrodni. Były tam martwe ciała topielców, ofiary zasztyletowania, wisielcy i osoby po wypadkach samochodowych. W innym miejscu, przyklejone taśmą widniały portrety znanych morderców, spośród których Foltyński rozpoznał Aileen Wuornos, Andrieja Czikatilo czy Johna Wayne Gacy’ego. Kolejne fotografie ukazywały zniekształconych ludzi cierpiących na dziwne dolegliwości, mutacje, guzy, wysypki i zwyrodnienia skóry.

– Co to takiego? – powiedział aspirant, przecierając oczy ze zdumienia.

– To piwnica Andrzeja Wrześniewskiego, ojca Moniki Wrześniewskiej. Koledzy z Niemiec na prośbę Interpolu wybrali się do niego do domu. Ponieważ przez kilka dni nikogo nie zastali, wzięli mężczyznę pod lupę. Okazało się, że facet zrezygnował z pracy i wyjechał do Polski jakieś pół roku temu. Załatwili nakaz przeszukania i weszli do jego domu. I oto, co zastali w piwnicy.

– Mieszkał sam? Nie miał nikogo, jakiejś kobiety, albo przyjaciela? – dopytywała Marzena.

– Niemieccy koledzy twierdzą, że był odludkiem, pracował jako stróż nocny w jednym z magazynów na przedmieściach. Z relacji sąsiadów wynika, że się go bali. Sypiał za dnia, nocami siedział w domu. Mówią, że miał nie za bardzo pod sufitem.

Foltyński uśmiechnął się, patrząc na rozentuzjanzmowanego Trygara, który pierwszy raz od dłuższego czasu wyglądał na szczęśliwego. Z drugiej strony przeszło Tymonowi przez myśl, że jego przełożonemu niewiele już brakuje, aby stać się podobnym odludkiem jak Andrzej Wrześniewski. Kto wie, co Rafał wyrabiał wieczorami w piwnicy zapuszczonego domu? Może towarzystwo Marzeny nie było wcale takie złe, a komisarz dzięki niej nieco wróci do życia, choćby staranniej się goląc albo lepiej ubierając.

– Nie cieszymy się przedwcześnie – stwierdził komisarz.

– Mamy motyw zemsty po latach. Tatuś maniak, pasjonat seryjnych morderców, wziął sprawy w swoje ręce. Zabija polskich prominentów, którzy przed laty zgwałcili jego córkę. To wszystko trzyma się kupy.

– Spójrz jeszcze na to – komisarz wręczył aspirantowi kolejne fotografie. Prezentowały one ryciny przedstawiające różnego rodzaju samobójstwa rytualne jak hara-kiri, samospalenie, czy rytuały voo-doo odprawiane przez haitańskich szamanów.

– Mówiłeś o tym Suskiemu? – zapytał Tymon.

– Jeszcze nie.

– Próbowaliście znaleźć tego Andrzeja Wrześniewskiego? – dopytywała Gibała.

– Na razie wiemy tylko tyle, że pół roku temu przybył na teren Polski i od tamtego czasu nie pojawił się w domu w Niemczech.

– Skoro jest człowiek, to da się go znaleźć – powiedział Tymon, zacierając ręce.

ROZDZIAŁ 40

Cynarski leżał w łóżku, w małym pokoiku na drugim piętrze kamienicy motelu „Hrabia” i wpatrywał się w telewizor, w którym leciała *Casablanca* z Humphreym Bogartem i Ingrid Bergman. Co chwilę spoglądał za okno, jakby wyczekiwał patrolu policji, albo mafii chcącej wziąć odwet za śmierć swoich ludzi.

Zmagał się z myślą, która niczym natrętna mucha nie chciała odlecieć. Czy nie warto byłoby podjechać na chwilę do domu, aby zabrać trochę rzeczy. Głupio byłoby tak po prostu wszystko zostawić i wyjechać. Nagły impuls sprawił, że chwilę przed godziną drugą w nocy wyszedł z motelu, wezwał taksówkę i rozkazał kierowcy zawieźć się pod swój blok. Na osiedlu było cicho i spokojnie, gdzieś z oddali dobiegały tylko krzyki studentów wracających z nocnej imprezy. W pewnym momencie uwagę Cynarskiego zwrócił pojazd marki BMW stojący na parkingu w pobliżu klatki schodowej. Wewnątrz siedziało dwóch mężczyzn.

– Jedziemy z powrotem – szepnął Piotr do kierowcy, nie mając żadnych złudzeń, na kogo czekają podejrzane typki.

Taksówka przemykała między opustoszałymi uliczkami Warszawy, kiedy Cynarski dostrzegł, że wóz marki BMW, który stał pod jego blokiem, podąża za nimi. Poczuł, jak zawartość żołądka podchodzi mu do gardła.

– Jeśli pan ich zgubi, daję stówę ekstra – wymamrotał. Ponieważ kierowca był starym wyjadaczem, jeżdżącym po Warszawie od kilkadziesiątu już lat, wystarczyło pięć minut, aby stracić ogon.

Cynarski wrócił do motelu „Hrabia”, i leżąc w łóżku, próbował zasnąć. Teraz nie miał wątpliwości, że gangsterzy są na jego tropie, choć policja najprawdopodobniej nadal o niczym nie wiedziała, co dawało spore szanse, aby rano podjąć pieniądze z banku. Chwilę przed godziną piątą udało mu się zasnąć, długo jednak nie pospał, ponieważ dziwne klucie w żołądku wywołałe

stresem zbudziło go o siódmej. Z trudem wepchnął w siebie parszywe śniadanie składające się z parówek i jajecznicy smażonej z dziwnej żółtej masy, po czym opuścił motel, kierując kroki w stronę oddziału banku. Otwierając drzwi, czuł się niczym złodziej, który za chwilę przystawi kasjerce pistolet do skroni i zażąda pieniędzy. Rozglądał się nerwowo, zastanawiając, czy zza zakrętu nie wyłoni się ochroniarz, który złapie go za rękę, skuje kajdankami i odprowadzi na policję. Ustawił się cierpliwie w kolejce i czekał, przyglądając się twarzom zmęczonych starszych ludzi oblegających salę operacyjną banku.

– Słucham? – usłyszał wreszcie.

– Chciałbym wypłacić pieniądze – wymamrotał.

– Proszę o dowód osobisty – powiedziała pani z okienka.

Piotr wręczył kasjerce dokument, próbując za wszelką cenę nie patrzeć jej w oczy. Czuł jak serce w klatce piersiowej wygrywa skoczne walce. Kobieta jakby nigdy nic, zweryfikowała Cynarskiego w systemie komputerowym, po czym zwróciła się do niego z zapytaniem:

– Ile pan wypłaca?

– Wszystko – rzucił Piotrek, obdarowując panią rozbajającym uśmiechem.

Kobieta zachnęła się, uniosła brwi i raz jeszcze spojrzała w ekran monitora, jakby niedowierzając.

– To większa kwota... – wymamrotała. – Proszę poczekać, muszę wezwać kierowniczkę. – Kobieta wybrała numer telefonu i rozmawiała z kimś przez chwilę. Wreszcie odłożyła słuchawkę, po czym wskazała ręką na krzesła w poczekalni. Cynarskiemu zdarzało się kilka razy w życiu podejmować większą ilość gotówki, dlatego cała sytuacja nie zaskoczyła go zbyt.

Po chwili pojawiła się kierowniczka oddziału i gestem ręki zaprosiła Piotra do swojego gabinetu. Poprosiła o dowód osobisty i stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, wyciągnęła z kasetki większą ilość pieniędzy, po czym rozpoczęła proces maszynowego liczenia. W międzyczasie pojawiła się jeszcze jedna pracownica oddziału banku, która zgodnie z procedurą miała czuwać nad przebiegiem operacji wypłaty gotówkowej.

Cynarski z pożądaniem w oczach obserwował, jak kolejne paczki banknotów lądują na stole.

– Zna pan obowiązek rejestracji wypłaty gotówkowej w pralni? – dodała kierowniczką oddziału.

– Pralni? – zdziwił się Zaręba.

– Pańska transakcja zostanie zgłoszona do Generalnego Inspektora Informacji Finansowej – tłumaczyła kobieta. – Takie są obowiązujące przepisy.

Cynarski przytaknął, przypomniawszy sobie, że faktycznie GIIF ma obowiązek ewidencjonowania większych transakcji finansowych mogących pochodzić z nielegalnych źródeł. Po podliczeniu pieniędzy przez kobietę, podpisał dowód wypłaty, po czym odebrał sporej wielkości reklamówkę. Ukłoniwszy się, ruszył w stronę wyjścia, czując, jak z każdym krokiem jest coraz bliższy euforii. Miał już rzucić się na drzwi i wybiec na miasto, kiedy drogę zatarasował mu ochroniarz pilnujący oddziału banku.

– Przepraszam pana – powiedział mundurowy niskim tembrem głosu.

Uderzenie adrenaliny było tak wielkie, że Piotr ledwie był w stanie uspokoić drżenie rąk.

– Tak? – wymamrotał.

– Pozwoli pan do pokoju obok – zaproponował strażnik.

Słyszając te słowa, Cynarski omal nie zemdleł.

– A w jakim celu? – zapytał.

– Proszę – strażnik wskazał ręką drzwi na zaplecze.

Piotrek nie wytrzymał nerwowo i rzucił się do ucieczki, próbując ominąć mundurowego. Ochroniarz zdołał złapać Cynarskiego za rękę, w której trzymał siatkę z pieniędzmi. Mocne szarpnięcie sprawiło, że reklamówka z paczkami banknotów rozdarła się i zawartość wylądowała na posadzce. Piotr wykorzystał moment zaskoczenia strażnika i wyrwał się z uścisku, po czym susem wypadł na zewnątrz. Przebiegł kilkaset metrów, jakby goniło go stado słoń, i upewniwszy się, że nie wszczęto pościgu, wyrównał krok do szybkiego marszu. Zatrzymał samochód z napisem przewóz osób, wsiadł do pojazdu i odjechał. Czuł się tak, jakby krew pulsująca w skroniach miała zaraz rozsadzić mu czaszkę.

ROZDZIAŁ 41

Suski, dowiedziawszy się o postępach w śledztwie, chodził po gabinecie podekscytowany niczym lew, który przed chwilą upolował jelenia i zaraz zabierze się do konsumpcji. Uspokoił się dopiero po kilku minutach, kiedy prokuratorski nos podpowiedział, że nie ujęli jeszcze sprawcy i na radość jest zbyt wcześnie.

– Rozesłaliśmy listy gończe po wszystkich komendach wojewódzkich – zeznawał Trygar.

– Czy ten Wrześniewski nie rejestrował się w jakimś urzędzie? Może korzystał z kart kredytowych, albo kupował telefon komórkowy? – dopytywał Suski. – Sprawdziliście wszystko?

– Tego typu weryfikacje chwilę trwają – odpowiedział Rafał.

– Tak na dobrą sprawę, nie wiemy nawet, czy ten mężczyzna nadal jest w Polsce – wtrącił się Folyński.

– Jeśli Wrześniewski faktycznie jest mordercą, to koczuje pewnie gdzieś w okolicach Warszawy – zastanawiał się głośno Trygar.

Prokurator usiadł na fotelu, przeczesał włosy i westchnął.

– Pokażcie mi zdjęcie tego Wrześniewskiego – poprosił.

Folyński wręczył Suskiem fotografię przedstawiającą brodatego mężczyznę sporo po pięćdziesiątce, z długimi zaniedbanymi włosami spływającymi na ramiona. Na policzkach nosił trwałe blizny, najprawdopodobniej skutek przebytej ospy wietrznej. Lewa część ust była uniesiona, co sprawiało wrażenie, jakby niewprawy chirurg plastyczny spaprał robotę.

– Nie ma co, ładny to on nie jest – podsumował Suski.

– Jest na tyle charakterystyczny, że powinno udać się go odnaleźć. Chyba, że zmienił wygląd – stwierdził Folyński.

– Albo zaszył się gdzieś na dobre – Suski znowu podniósł się z fotela i rozpoczął wędrówkę po ciasnym gabinecie. – Wszystko zaczyna do siebie pasować – powiedział, krocząc niczym rasowy detektyw zastanawiający się nad najcięższą sprawą w swojej karierze. – Pół roku temu Andrzej Wrześniewski wrócił do Polski z zamiarem likwidacji członków „listy sześciu” – analizował Marian.

– Moim zdaniem, musiał śledzić swoje przeszłe ofiary, dowiedzieć się, co robią, jakie mają zwyczaje, z kim się spotykają. Bez tego nie zaplanowałby tych morderstw tak dokładnie – zauważył Trygar.

– Być może ten Wrześniewski ma jakieś dowody na to, że prominenci z „listy sześciu” pomogli jego córce rozstać się z życiem? – zapytał Tymon.

– To możliwe – mruknął prokurator. – Choć gdyby coś miał, to czy nie przedstawiłby dowodów policji?

– Wiedział, że to wysoko postawione głowy i włos im z głowy nie spadnie – dodał prokurator.

– Jakkolwiek nie było, Wrześniewski postanowił sam wymierzyć sprawiedliwość, próbując przy okazji rzucić podejrzenia na żyjących członków „listy sześciu” – wtrąciła Marzena.

– I jak dotychczas, jego plan jest znakomity. Nie żyją trzy z sześciu osób. Morderca nadal jest nieuchwytny, nie zostawia żadnych śladów – wymienił Suski.

– Ciekawe, kiedy znowu uderzy – zastanawiał się Foltiński.

– Sądzę, że wkrótce. Pozostali trzej członkowie z listy pewnie podejrzewają siebie nawzajem – ciągnął Trygar.

– Musimy obserwować każdy ich ruch. To może nam dać jakąś wskazówkę – stwierdził Suski. – Póki co, musimy zaangażować wszystkie siły w poszukiwanie Andrzeja Wrześniewskiego.

Do pomieszczenia nieoczekiwanie wszedł umundurowany funkcjonariusz.

– Zgłosił się do nas jakiś młody człowiek, który twierdzi, że w ostatni weekend był przetrzymywany na posesji pod Warszawą. Jacyś kolesie chcieli go zabić, ale udało mu się zbiec, raniąc jednego z oprawców w oko. Teraz

obawia się o swoje życie, dlatego chce naszej ochrony – zameldował jednym tchem policjant.

Suski drapał się po głowie, obserwując coraz większe zdziwienie policjantów.

– Gdzie ten koleś? – zapytał Marian.

– Jest na komendzie w śródmieściu – stwierdził policjant.

– Jedziemy – zawyrokował prokurator.

ROZDZIAŁ 42

Cynarski wstąpił do sklepu, kupił kilka bułek, ser i butelkę wódki. Następnie załamany wrócił do motelu „Hrabia” i przedłużył pobyt o dwie dodatkowe noce. Wszedł do pokoju, zaciągnął zasłony, i pijąc alkohol, użalał się nad sobą. Był pewny, że jego życie skończyło się raz na zawsze. Nie miał już żadnych wątpliwości, że jest poszukiwany nie tylko przez gangsterów, ale i policję. Co gorsze, nie miał pieniędzy, choć cel wydawał się tak bliski. Gdyby szybciej wyszedł z oddziału banku, być może strażnik nie zdołałby go zatrzymać.

Powoli dojrzewiała w nim myśl, że jedynym wyjściem jest wyznanie wszystkich grzechów strażnikom prawa. Dostanie trzy, może pięć lat, wyjdzie po dwóch za dobre sprawowanie. I co wtedy? Gdzie dostanie pracę? Jako człowiek będzie skończony, w najlepszym razie, o ile mama i tato będą chcieli patrzeć jeszcze na syna kryminalistę, pozostanie na utrzymaniu rodziców. Wypił kilka łyków z flaszki, po czym rzucił się na łóżko, próbując przełknąć palącą zawartość. Leżał przez dwie godziny w bezruchu, co jakiś czas tylko sięgając po butelkę. Ostatecznie podniósł się z łóżka i omal nie upadł, czując jak świat wiruje.

„Jestem kompletnie pijany” – pomyślał, konstatując, że opróżnił całą butelkę wódki.

Nagle przez głowę przeszła mu dziwna myśl. Długo się nie zastanawiając, złapał za telefon komórkowy. Przymykając jedno oko, próbował walczyć z dwojącym się i trojącym obrazem. Wreszcie, znalazłszy prawidłowy numer, zadzwonił. Zdziwił się wielce, słysząc w słuchawce głos Arkadiusza Malinowskiego.

– Słuchaj – powiedział Piotrek agresywnym tonem, próbując wszelkimi siłami udawać trzeźwego. – Jeśli do jutra nie przekażesz mi dziesięciu milionów złotych w banknotach na recepcję do motelu „Hrabia”, wyślę wszystkie kompromitujące cię materiały policji.

– Przepraszam, kto dzwoni? – dopytywał prezes, sądząc, że ktoś robi sobie żarty.

– Jutro do dziesiątej rano w szczelnej torbie masz przekazać dziesięć milionów – powtórzył Piotrek – inaczej materiał z e-maila wpadnie w ręce policji.

Cynarski rozłączył się, dziwiąc sam sobie, że gotów był na podobnie rozpaczliwy krok. W zasadzie był tak pijany, że nie do końca uświadamiał sobie, co właśnie zrobił. Czuł, jak alkohol z minuty na minutę potęguje działanie, sprawiając, że nogi stają się miękkie, jak u szmacianej lalki.

W euforii i alkoholowym amoku Cynarski wybiegł na miasto i płatał się bezładnie, próbując dojść do siebie. Przeszło mu dopiero po kilku godzinach, kiedy latarnie rozświetliły mroczne ulice. Wróciło w miarę racjonalne myślenie, a i obraz potrójnego świata scalił się w monolit.

Piotrek nie miał szczegółowego planu, co robić dalej, wiedział jednak, że musi wyjechać. Zastanawiał się, czy desperacka próba wyłudzenia pieniędzy od Malinowskiego nie ściągnie na niego bandytów.

Ponieważ Piotrek posiadał na Pomorzu rodzinę i znał tamte tereny bardzo dobrze, postanowił, że na początek uda się do Gdańska, a stamtąd być może na zachód do Niemiec. Zaszyje się w jakimś ustronnym miejscu i przeczeka złe czasy. Liczył, że po kilku miesiącach sprawa ucichnie i będzie można wrócić do Polski. Z drugiej strony, miał dziwne odczucie, że do niczego mu ta Polska nie jest potrzebna, piękne kobiety są przecież wszędzie. Załatwi sobie dla niepoznaki jakąś mało wymagającą pracę i kupi nową tożsamość. Jak wszystko się uspokoi, znajdzie bezpieczną metodę, aby poinformować rodzinę, że jest cały i zdrowy. Kiedyś czytał artykuł o tym, jak wiele osób przepada bez wieści. Jeszcze jeden zaginiony nie powinien przecież nikogo zdziwić.

Język angielski Cynarskiego nie stał na najwyższym poziomie, jednak przy odrobinie dobrych chęci powinien pozbyć się polskiego akcentu. Oczywiście wszystko pod warunkiem, że Malinowski przyniesie pieniądze.

Rozmarzony, z głową w chmurach i na rauszu, ruszył w stronę przejścia dla pieszych. Nagle podeszło do niego dwóch niepozornie wyglądających mężczyzn. Złapali go pod rękę i w ciszy odprowadzili do samochodu stojącego

przy ulicy. Cała akcja trwała może kilka sekund i wyglądała zupełnie, jak w starych filmach kryminalnych. Cynarski nie zdążył się nawet przestraszyć, usiadł z tyłu pojazdu, zastanawiając, czy za chwilę jeden z mężczyzn nie poczęstuje go kulką z pistoletu.

– Panowie, ale o co chodzi? – zdołał wymamrotać.

– Proszę się uspokoić, jesteśmy z policji – odpowiedział kierowca, włączył niebieskiego koguta i rozpoczął żmudny proces przeciskania się przez warszawskie korki. Przez całą drogę do prokuratury panowała cisza. Piotr zmagał się wyłącznie z własnymi myślami. Zastanawiał się, w jaki sposób policja zdołała go namierzyć? Może to Adam wszystko im opowiedział? A może przyskrzynili Alę Kownacką, albo staruszka z bramy przy Raszyńskiej zapamiętała twarz Piotra? Jeśli Zaręba opowiedział funkcjonariuszom o giełdowych malwersacjach Cynarskiego, to należało się przygotować na najgorsze.

ROZDZIAŁ 43

Piotrek pod ochroną policjantów w cywilu wszedł do prokuratury regionalnej Praga Południe. Najpierw został przeszukany, a potem wepchnięto go do niewielkiego pokoiku bez okien, w którym mieściły się zaledwie fotel i krzesło. Usłyszał szczęknięcie zamka i zapadła cisza, przerywana sporadycznymi odgłosami kroków i rozmów dobiegających z korytarza. Cynarski westchnął, zdając sobie sprawę, że najprawdopodobniej trafił do tymczasowego aresztu.

W pokoju obok dwójka policjantów – jeden młody, wysoki, przypominający ojca rodziny, drugi starszy, o przepitej twarzy i małych napuchniętych oczach – siedziała przy stoliku i wpatrywała się w Adama Zarębę. Po chwili otworzyły się drzwi i w progu pojawił się mężczyzna w garniturze. Stał niczym posąg i spoglądał w milczeniu na zgromadzonych.

– Chciałby pan kawy albo herbaty? – zapytał, zwracając się do Zaręby.

– Jeśli można kawy, to byłbym wdzięczny – odpowiedział zalekniiony młodzieniec.

Marian Suski wyszedł z pokoju i wrócił po chwili z kubkiem czarnej kawy z automatu, wręczył go Adamowi i usiadł na ostatnim wolnym krześle.

– Proszę nam opowiedzieć wszystko od początku – zaczął Foltiński.

Zaręba odchrząknął, upił łyk gorącego płynu i skrzywił się, ujawniając tym samym przeciętne walory smakowe zaserwowanej kawy. Jego zeznania były szczere, suche i pełne faktów. Nie wahał się mówić o wszystkim. Opowiadał o swoim przyjeździe do Warszawy, o tym jak poznał Piotra, współuczestniczył w tworzeniu oprogramowania, za pomocą którego Cynarski oszukiwał na giełdzie, wreszcie o tym, jak wraz z Piotrem zostali porwani przez gangsterów, aż po udaną próbę ucieczki i tragiczne zdarzenie, do jakiego doszło w bramie przy ulicy Raszyńskiej.

Trygar z Foltińskim słuchali uważnie, poprawiając się tylko czasem na krześle i nachylając bliżej, jakby obawiając, że mogą cokolwiek stracić

z opowieści Zaręby.

– Szukali czegoś w mieszkaniu twojego kolegi – sparafrazował Fołtyński. – Nie wiesz, co to mogło być?

Zaręba zamyślił się, patrząc na sufit i szukając w głowie właściwej odpowiedzi.

– Skoro to było w mailu, to nie wiem... może jakiś dokument, zdjęcie, albo film.

Trygar pogłaskał się po dwudniowym zarostie, zastanawiając nad słowami mężczyzny. Próbował zebrać wszystko w jedną całość, aby uzyskać syntetyczny obraz.

– Rozpoznałbyś tych ludzi? – zapytał.

– Pewnie, że tak. Jeden z nich nie ma oka – dodał Adam.

– Nie wiecie, co stało się z gangsterami, po tym jak zostawiliście ich w lesie? – dopytywał Suski.

– Uciekaliśmy, jakby nas diabły goniły. Po tym, jak włożyłem mu w oko nóż, mógł się nawet wykrwawić na śmierć. Wył jak zarzynana świnia – opowiadał Zaręba.

– A co z tym drugim gangsterem, który napadł na was, jak wyszliście z klubu Dekada? – zapytał Tymon.

– Tak jak powiedziałem, tego drugiego załatwiła Ala Kownacka, dziewczyna, którą poderwał Piotrek, sekretarka prezesa SpecialBanku Arkadiusza Malinowskiego.

Fołtyński spojrzął na Trygara porozumiewawczo.

– Znaleźliście Piotrka? – wtrącił się Zaręba.

– Tak, przywieźliśmy go tutaj do prokuratury – uciął Fołtyński.

– Jak go namierzyliście? – zapytał Adam z zainteresowaniem.

– Tajemnica operacyjna – stwierdził Trygar.

– Ja wam wszystko powiedziałem – nie ustępował Adam.

Fołtyński spojrzął na Suskiego, który przytaknął, dając tym samym aprobatę, aby wyjawić sekrety policji kryminalnej.

– Po telefonie komórkowym, to najłatwiejsza metoda. Nawet wyłączony wysyła sygnały do najbliższej wieży – stwierdził Trygar, uśmiechając się.

Nagle drzwi pokoju otworzyły się i pojawił się Piotr Cynarski z towarzyszącym mu policjantem. Przyjaciele, widząc siebie, początkowo zachowywali się powściągliwie, mając w pamięci przykre rozstanie. Ostatecznie emocje wzięły górę i wylądowali w swoich ramionach.

– Masz mi za złe? – zapytał Zaręba.

– Jeszcze nie wiem, zastanowię się – stwierdził Cynarski, zwracając się w stronę policjantów i prokuratora.

– Na razie musimy was ukryć – zaczął Suski. – Póki co, nie przedstawimy wam żadnych zarzutów, pod warunkiem, że będziecie z nami współpracować. Wiążemy z wami pewne plany, jednak dla dobra śledztwa nie możemy wam niczego powiedzieć.

– To nie pójdziemy siedzieć? – zapytał Cynarski z nadzieją w oczach.

– Jeśli nam pomożecie, to nie – odpowiedział Trygar. – Wszystko zależy od waszej dobrej woli i chęci współpracy z policją kryminalną.

Twarz Cynarskiego rozpromieniło szczęście.

ROZDZIAŁ 44

Foltyński, Trygar i Suski próbowali opracować plan dalszego działania, uwzględniając nowe informacje, jakie uzyskali od Cynarskiego i Zaręby.

– Siedem lat temu – ciągnął Marian – sześciu młodych gniewnych, robiących karierę polityczną, podczas suto zakrapianej imprezy w pensjonacie „Lazurowe wybrzeże” zgwałciło dziewczynę. W wyniku tego zdarzenia kobieta popełniła samobójstwo.

– Albo też młodzi gniewni pomogli kobiecie rozstać się ze światem, wrzucając ją pod pociąg. Tego nie wiemy – wtrącił się Trygar.

– Jakkolwiek by nie było – kontynuował prokurator – z niewyjaśnionych powodów, jakieś pół roku temu dowiedział się o wszystkim ojciec zgwałconej, niejaki Andrzej Wrześniewski, który postanowił rozpocząć prywatną wendettę. Na początek wysłał do szóstki osobistości jakieś materiały pocztą elektroniczną, które miały ich zastraszyć.

– Na to wygląda – podsumował Foltyński – przy czym, nie mamy zielonego pojęcia, co było w tych materiałach.

– W sumie to nieważne – urwał Marian – zakładam, że mogą to być podrobione protokoły z sekcji zwłok Moniki Wrześniewskiej, albo jakieś dowody, że ją zamordowano. Dochodzi do pierwszego zabójstwa w japońskiej restauracji, potem do kolejnych. Za każdym razem sprawca pozostawia ślady, które wskazują na jednego z członków grupy sześciu.

– Co więcej – dodał Foltyński – Wrześniewski najprawdopodobniej planował wszystko jeszcze w Niemczech. Do Polski przyjechał, aby dokończyć dzieła.

– Idźmy dalej – ciągnął Suski. – Dwóch koleśki pracujących w nowo otwartym banku niechcący przechwytyje e-maila z niewygodnym materiałem skierowanym przez mordercę do prezesa Malinowskiego. Nie wiemy do końca, czy pozostała piątka dostała takie same pogróżki, ale możemy przyjąć, że tak.

Tadeusz Mańkowski, który jako jedyny z całej szóstki ma na bakier z prawem, próbując się zabezpieczyć, wysłał swoich ludzi na przeszpiegi do pozostałych pięciu członków grupy. Zakładam, że taką właśnie rolę szpiega odgrywała Ala Kownacka, sekretarka Malinowskiego.

– Ale niestety wdała się w romans z jednym z pracowników SpecialBanku – dodał Foltiński.

– Piękna sekretarka Malinowskiego zwęszyła, że jej kochanek podprowadza pocztę prezesa. Zakładam, że zameldowała o wszystkim pracodawcy. I wtedy Maniek, bojąc się, że przypadkowi świadkowie mogą zadenuncjować go policji, postanowił się ich pozbyć.

– Postępowanie Mańkowskiego sugerowałoby, że było w tych materiałach coś naprawdę istotnego – powiedział Trygar.

– Zakładam, że tam musiało być coś, co obciąża nie tylko Malinowskiego czy Mańkowskiego, ale również pozostałą czwórkę – zastanawiał się głośno Tymon. – W przeciwnym wypadku, nie angażowałyby aż tyle energii, aby zatrzeć ślady.

– Maniek nie przewidział jednak, że dwóch niewygodnych świadków zamiast zostać zlikwidowanych, zdoła uciec jego ludziom. Teraz Mańkowski próbuje poruszyć niebo i ziemię, żeby ich odnaleźć.

– Są u nas. Bezpieczni – dodał Trygar.

– Trochę się to wszystko pokomplikowało – westchnął Suski – co gorsze nadal nie mamy mordercy. Andrzej Wrześniewski dobrze się zaszył. No i jest jeszcze zabójstwo Wojciecha Kraty, które nijak nie pasuje do „listy sześciu”.

– A mnie zastanawia inny aspekt – zagadnął Foltiński. – Dlaczego Ala Kownacka, choć kochała Piotra Cynarskiego, to wydała go Mańkowskiemu?

– Może dużo później uzmysłowiła sobie, że go kocha. Albo nie mogła patrzeć, jak ukochany czeka na śmierć w zimnym lochu – stwierdził Trygar. – Zapytamy ją o to wszystko, jak ją znajdziemy.

Zapadła cisza, prokurator zmrużył oczy i w skupieniu obserwował rozmawiających podwładnych.

– Chciałbyś upiec dwie pieczenie na jednym ogniu? – zapytał Trygar, który niemal od razu wyczuł intencje Mariana. – Złapać Andrzeja Wrześniewskiego

i udupić Mateusza Mańkowskiego?

– Jeśli będę w stanie, chciałbym udupić całą szóstkę, nawet jeśli musiałbym zrugać pamięć po zmarłej trójce – powiedział Suski językiem, który zupełnie do niego nie pasował.

– Tak się zastanawiam, czy te materiały, które morderca wysłał do członków „listy sześciu” – zaczął Foltyński – nie byłyby do odzyskania, gdzieś z archiwalnych serwerów pocztowych, albo kopii bezpieczeństwa dostawców usług internetowych.

– Spróbujcie dotrzeć do tych danych – ciągnął Marian.

– Obawiam się, że cała szóstka zadbała o to, żeby wszystko skrzętnie zamazać – włączył się Rafał – ale oczywiście trzeba będzie to sprawdzić.

– Sam fakt, że ktoś zacierał ślady, też będzie dla nas jakąś informacją – podsumował Suski.

Siedział w fotelu niczym cesarz, zastanawiający się, jak rozegrać decydującą partię szachów. Zarówno pionki, jak i bardziej wartościowe figury tworzyły skomplikowany układ, a każdy nieprzemysłany ruch mógł rozsypać układankę. Nagle do głowy przyszedł pomysł.

– A jak się czują nasi świadkowie? – zapytał Suski.

– To tylko płotki. Są przestraszeni jak polne myszy w gnieździe żmij – stwierdził Foltyński.

ROZDZIAŁ 45

Marzena Gibała siedziała w swoim mieszkaniu z laptopem na nogach. Ubrana w same majtki, bez stanika, zastanawiała się czasem, czy jakiś podglądacz nie obserwuje jej przez okno. A jeśli nawet, to co z tego? Niech się napatrzy, póki jest piękna i stosunkowo młoda. Policjantka odebrała e-maila i wczytała się w krótką treść.

Dziękuję i do zobaczenia kiedyś.

Tylko delikatny uśmiech na twarzy Marzeny sugerował, że doskonale zdaje sobie sprawę, od kogo jest informacja. Zastanawiała się tylko, co takiego Iwona Strychalska obiecała Janowi Wolińskiemu, że zgodził się dać jej alibi. Największym wabikiem, jaki kobieta może zaoferować mężczyźnie jest sex. Przyjaciółka skorzystała zapewne z podpowiedzi policjantki i zgodziła się świadczyć Wolińskiemu dożywotnie usługi seksualne. Gibała zasugerowała również koleżance, aby znikła na jakiś czas, a najlepiej wyjechała z kraju. Takie posunięcie zabezpieczyłoby obie kobiety przed podejrzeniami, póki sprawa nie ucichnie. Gdyby wyszło na jaw, że Marzena maczała palce w zacieraniu śladów po śmierci Wojciecha Kraty, zarówno ona, jak i jej ojciec mieliby wielkie nieprzyjemności. Z drugiej jednak strony, nie mogła przecież zostawić przyjaciółki na lodzie. Należało jedynie dopilnować, aby wątek Iwony Strychalskiej umarł śmiercią naturalną, a najlepiej, gdyby został o nią oskarżony zabójca prominentów z „listy sześciu”. No i był jeszcze Jan Woliński, który nadal mógł stanowić pewne zagrożenie.

ROZDZIAŁ 46

W pokoju konferencyjnym warszawskiej prokuratury trwała narada. W pomieszczeniu poza Foltyńskim i Trygarem zgromadzonych było kilku funkcjonariuszy policji kryminalnej zaangażowanych w sprawę „listy sześcioro”. Była tam również Marzena Gibała, jak zawsze w skąpej spódnicy i koszulce z napisem „Jak mi w życiu nic nie wyjdzie, to wyjdę za męża”.

– Panowie – zaczął Suski, po czym spojrzał na Gibałę i uśmiechnął się. – I panie. Chciałbym skonsultować z wami plan działania.

W sali panowała cisza, wszyscy byli ciekawi, jakie rewelacje zaprezentuje prokurator.

– Poszukujemy Andrzeja Wrześniewskiego, który najprawdopodobniej przebywa na terenie Polski. Niestety dotychczas nie natrafiliśmy jeszcze na jego trop. Według nas jest to poszukiwany przez nas morderca Eugeniusza Tadli, Dominika Klezmerowicza i Konstantego Konopskiego. Nie mamy co prawda stuprocentowej pewności, jednak prawdopodobieństwo jest duże. – Marian mówił sucho, jakby odczytywał protokół sądowy. – Odpowiednie listy gończe zostały już rozesłane. Zamiast czekać, aż morderca uderzy znowu, chciałbym skonsultować z wami pomysł, aby go sprowokować. To jednak nie wszystko – ciągnął – przy okazji ujęcia Andrzeja Wrześniewskiego, chciałbym postawić zarzuty również Mateuszowi Mańkowskiemu, który jak wiecie, od wielu już lat wymyka nam się z rąk.

– Warto wspomnieć, że przy okazji możemy zdobyć dowody przeciwko prezesowi SpecialBanku Arkadiuszowi Malinowskiemu i wiceministrowi infrastruktury Ignacemu Cembrzyńskiemu – wtrącił się Trygar.

– Tymi aresztowaniami możemy wywołać rewolucję wśród polskich skorumpowanych polityków – zauważył z przekąsem jeden z policjantów.

– Jestem skłonny podjąć to ryzyko. Może czas najwyższy wyczyścić tę stajnię Augiasza – urwał Suski.

Do pokoju zostali wezwani Adam Zaręba i Piotr Cynarski.

– Przedstawiam panom naszych świadków koronnych przeciwko Mateuszowi Mańkowskiemu – powiedział prokurator.

Przyjaciele wchodzący do pomieszczenia przypominali parę więźniów prowadzonych na przymusowe roboty. Usiedli na wolnych krzesłach i spoglądali dyskretnie po twarzach zgromadzonych. Suski bez zbędnych ceregieli postanowił przejść do sedna tematu.

– Chcielibyśmy, abyście zaszantażowali prezesa Arkadiusza Malinowskiego, Mateusza Mańkowskiego i Ignacego Cembrzyńskiego – wypalił.

– Słucham? – zdziwił się Zaręba. Cynarski otworzył szeroko oczy, zastanawiając się, czy prokurator czasami nie żartuje.

– Już raz podjęliście próbę szantażu, chcąc wyłudzić pieniądze od prezesa Malinowskiego – powiedział Suski.

– Pijany wtedy byłem – wymamrotał Piotrek, spoglądając na Adama spod oka.

– Zakładam – kontynuował Marian – że Malinowski nie miał żadnego problemu, aby po numerze telefonu, czy głosie zweryfikować szantażystę – kontynuował prokurator.

– Jeśli prezes SpecialBanku zna waszą tożsamość, to dowiedział się również od swojego kolegi Mateusza Mańkowskiego, że zbiegliście jego ludziom. To znowu powinno utwierdzić go w przekonaniu, że faktycznie posiadacie dyskredytujące go materiały – dodał Foltynski.

– Musimy założyć, że tak jest – stwierdził Suski. – Chciałbym jednak, żebyśmy poszli krok dalej.

Zdanie wypowiedziane przez Mariana sprawiło, że na sali zrobiło się zupełnie cicho.

– Będziecie udawać morderców Eugeniusza Tadli, Dominika Klezmerowicza i Konstantego Konopskiego! – wypalił prokurator.

Zaręba przełknął ślinę.

– Będziecie udawali morderców, którzy zmienili zdanie i teraz nie chcą już śmierci pozostałych trzech członków grupy sześciu, tylko pragną wyłudzić od nich pieniądze – ciągnął Marian.

– Jak niby mamy to zrobić? – dopytywał Zaręba, który nijak nie był w stanie odnaleźć się w roli mordercy, nawet jeśli miał tylko udawać.

– Pana kolega już przetaił ścieżkę. Trzeba kontynuować tę farsę. Dzwoniąc w stanie nietrzeźwości do prezesa Malinowskiego, wiele ryzykowaliście.

– Ja nie dzwoniłem – powiedział Adam, patrząc z politowaniem na kolegę.

– No co, mówiłem, że się upiłem – tłumaczył Piotrek.

– Jeśli dobrze to rozegramy, Mańkowski i Malinowski powinni uwierzyć, że faktycznie możecie być zabójcami ich kolegów.

– Jest jeszcze Ala Kownacka. Musimy założyć, że Mańkowski nie wie, że to ona zabiła jego człowieka – dodał Zaręba.

– Trudno. Zagramy va-banque. Musimy pamiętać, że głównym naszym celem nadal jest schwytanie Andrzeja Wrześniewskiego – ciągnął prokurator. – Z informacji z recepcji motelu „Hrabia” wiemy, że po próbie szantażu przeprowadzonego przez pana Cynarskiego, nikt nie zostawił pieniędzy, choć przyjechał samochód, z którego wysiadł mężczyzna z torbą. Czekał przez kilka minut, po czym wrócił do pojazdu, zdając sobie sprawę, że to najprawdopodobniej jakiś dowcip. Tym razem jednak pojawicie się przy podjęciu pieniędzy osobiście i utwierdzicie ich w przekonaniu, że nie żartujecie.

Zaręba i Cynarski patrzyli na mówiącego prokuratora z przerażeniem w oczach.

– W najbliższym tygodniu – ciągnął Marian – w Warszawie organizowane będzie dwudniowe sympozjum naukowe dotyczące paliw odnawialnych, na które zaprosimy trójkę naszych szanownych gości. Tam również spróbujecie zmusić ich do zwierzeń i przyznania się do winy. Nawet jeśli się nie uda, sam fakt, że przyjdą dokonać transakcji, będzie dla sądu istotną poszlaką. Liczymy przede wszystkim, że pojawi się tam Andrzej Wrześniewski, skuszony faktem, że będzie mógł dopaść trójkę osób, na które tak bardzo poluje. Nie odpuści sobie takiej okazji. W ten sposób upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu.

– A co z nami? – zapytał Cynarski. – Przecież oni będą mogli nas zabić.

– Nie przy tyłu świadkach. Obstawimy wszystko naszymi ludźmi, dostaniecie kamizelki kuloodporne. Będzie to ryzykowne, ale warte świeczki.

– A co jeśli Wrześniewski zdoła zabić Mańkowskiego, Malinowskiego albo Cembrzyńskiego? – zapytała Marzena.

– Postaramy się do tego nie dopuścić – odpowiedział Suski, akcentując słowo „postaramy”.

– Czy nie byłoby możliwości, aby zamiast nas pojawili się tam podstawieni policjanci? – dopytywał Cynarski, który trząśł się na samą myśl, że będzie musiał udawać mordercę, negocjującego z niebezpiecznymi przestępcami.

– W obecnych okolicznościach tylko wy jesteście wiarygodni. Każdy nowy aktor, który pojawi się na scenie, jest z góry skazany na niepowodzenie. Gdyby nie wasz telefon do Malinowskiego, pewnie można byłoby to próbować rozegrać inaczej – tłumaczył Marian.

– Czy to jest warunek, aby oczyścić nas z zarzutów? – dopytywał Adam.

– Tak – potwierdził Suski.

Zaręba spojrział na przyjaciela, i widząc w jego oczach aprobatę, skinął głową.

Zapadła krępująca cisza. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że cała mistyfikacja wymyślona przez Suskiego, szyta jest marynarską liną. Niemniej jednak, było to lepsze wyjście, niż bierne czekanie z założonymi rękami.

– Trzeba znaleźć Alę Kownacką, jeśli Maniek dotrze do niej pierwszy, może pokrzyżować nasze plany – Foltiński przerwał krępującą ciszę.

– Przepadła jak kamfora. Choć może to i lepiej w obecnych okolicznościach – stwierdził Trygar.

– Wygląda, że ta kobieta jest profesjonalistką, dzięki czemu powinna skutecznie zniknąć z pola widzenia. A my będziemy mieć czas na realizację naszych zamierzeń – powiedział Tymon.

– Musimy zaryzykować. W najgorszym razie nasz plan po prostu nie wypali – stwierdził Trygar.

– Zróbmy to – powiedział prokurator, klaszcząc w ręce.

– Poczekajcie – odezwał się Zaręba – mam lepszy pomysł. Będzie lepiej, jeśli pójde sam.

Na sali wśród zgromadzonych pojawiły się szept.

ROZDZIAŁ 47

W dźwiękoszczelnym pokoju w prokuraturze zgromadzili się Zaręba, Trygar, Foltyński, Suski, Gibała oraz policyjny technik. Cynarski siedział w osobnym pomieszczeniu, ze słuchawkami na uszach i mikrofonem. Na sygnał Piotra inżynier wybrał numer na wideotelefonie.

– Słucham? – po chwili zebrani usłyszeli głos prezesa SpecialBanku Arkadiusza Malinowskiego.

– Witaj – odezwał się Cynarski, próbując wczuć się w rolę. Na ekranie wideotelefonu na czymś w rodzaju promptera wyświetlony był dokładny scenariusz prowadzonej rozmowy wraz z rozpiską kilku możliwych wariantów. Pojawiały się tam również podpowiedzi osób siedzących w pokoju obok.

– Kto mówi? – zapytał prezes Malinowski.

– Twój człowiek miał zostawić pieniądze w recepcji motelu „Hrabia” – wymamrotał Piotrek.

Zapadła kilkusekundowa cisza.

– Skąd miałem wiedzieć, że to nie żart? – tłumaczył się Arkadiusz.

– Dajemy wam ostatnią szansę. Jeśli jej nie wykorzystacie, prześlemy materiał policji. Macie dostarczyć dziesięć milionów złotych.

– Poczekaj – rzucił do słuchawki prezes SpecialBanku. – Gdzie i kiedy?

– Za trzy dni w Warszawie w Hotelu „Polonia Palace” na Alejach Jerozolimskich odbędzie się sympozjum naukowe dotyczące sektora paliwowego. Pojawicie się tam we trójkę na wykładzie profesora Jowialskiego poświęconym ekopaliwom. Rozpoczyna się o godzinie ósmej wieczorem i trwa do dziesiątej. Po tym, jak wszyscy opuszczą salę, mój przyjaciel odbierze torbę z pieniędzmi. W razie gdyby nie wrócił, prześle wszystkie materiały policji i prasie.

– To jest was więcej? Kim jesteście? – dopytywał Malinowski.

– Więcej prób nie będzie. To ostatnie ostrzeżenie, inaczej dowody trafią na policję i do prasy – ciągnął Cynarski, co chwilę spoglądając na Zarębę, policjantów i prokuratora Suskiego, jakby chciał w ich oczach znaleźć potwierdzenie, że rozmowa przebiega zgodnie z planem.

– Skąd mam wiedzieć, że nie blefujesz? – ciągnął Arkadiusz. – Czy masz te materiały?

– Zapytaj swojego kolegę Mańka, jak rozprawiliśmy się z jego ludźmi. Wiemy o was wszystko. Znamy wszystkie grzechy. Młoda dziewczyna, siedem lat temu. Trójmiasto. Jak sądzisz, kto pomógł popełnić harakiri Tadli? A kto spalił Klezmerowicza i zrzucił z bloku Konstantego Konopskiego?

– Ale skąd... – jękał się Malinowski. – Jak...

– Powiem krótko. Alfred Kwizun, zegarek Cembrzyńskiego w kieszeni Konopskiego, nagranie twojego przemówienia odtworzone w domofonie Klezmerowicza. Kojarzysz fakty? Trzeba ci więcej dowodów?

Zapadła chwila milczenia.

– Dobrze. Będziemy – wymamrotał prezes SpecialBanku.

Rozmowa się zakończyła. Cynarski, upewniwszy się, że nikt z drugiej strony już go nie słyszy, zaczął narzekać:

– Będą chcieli nas sprzątnąć.

– Właśnie dlatego pójde tam sam, bo nie mam już siły słuchać twojego biadolenia – urwał Zaręba, w którego oczach odmalowała się dziwna hardość i zacięcie, jakby wydarzenia ostatnich tygodni zmieniły jego charakter.

– Będziemy was chronić – uspokajał Suski – po tym jak podpadliście Mańkowi i grozili Malinowskiemu i tak musielibyśmy objąć was programem ochrony świadków. Damy wam nową tożsamość, zaczniecie nowe życie. Choć musicie zdawać sobie sprawę, że cała ta sprawa tworzy dla was realne zagrożenie – urwał prokurator.

– Zdajemy sobie sprawę z zagrożenia – odpowiedział Zaręba.

– Nie daliście nam wyboru – dodał Cynarski.

– Nie chcę wam przypominać, ale to nie my zadarliśmy z prawem – wtrącił Foltiński. – W każdej chwili możecie się wycofać.

– I co wtedy? Przystaniemy być świadkami koronnymi? – zapytał Cynarski.

Tymon tylko wzruszył ramionami. Smutny wzrok Zaręby zawieszony na Piotrze był wystarczającym komentarzem dla całej sytuacji.

ROZDZIAŁ 48

Symposium w hotelu „Polonia Palace” było pokazem blichtru i przepychu. Zjechało się wiele znamienitych osobistości ze świata polityki i biznesu. Pojawił się nawet metropolita warszawski. Koncerny paliwowe prześcigały się w prezentowaniu nowych wspaniałych rynkowych rozwiązań. Odbyło się szereg spotkań i wykładów tematycznych dotyczących ochrony przyrody i nowych odnawialnych źródeł energii, z którymi wiązano przyszłość gospodarki i przemysłu motoryzacyjnego. Oczywiście lista zaproszonych gości była szeroka i publicznie dostępna, o co skrzętnie zadbała stołeczna policja. Prezes Arkadiusz Malinowski, Tadeusz Mańkowski i wiceminister infrastruktury Ignacy Cembrzyński przybyli na popołudniową konferencję prasową, a potem wraz z innymi ważnymi osobistościami udali się na wystawną kolację.

Kelnerzy roznosili wykwintne potrawy, serwowali przystawki i szampana. Na okazałych stoiskach wystawowych modelki o ponętnych kształtach prezentowały nowe rodzaje olejów napędowych i rozwiązań opatentowanych przez największych motoryzacyjnych producentów. Pomiedzy zaproszonymi gośćmi kręcili się również agenci policji kryminalnej, wśród których był także Zaręba. Ubrany był w specjalnie przygotowany na tę okoliczność garnitur, z wszytą wewnątrz kamizelką kuloodporną z nylonu. Adam, wraz z funkcjonariuszami, wprowadzony został do hotelu tylnym wejściem. Gdyby wszedł wraz ze wszystkimi gośćmi, bramki weryfikacyjne rozbłysłyby tęczą barw, wyczuwając odzież chroniącą przed kulami.

Po kolacji odbył się wykład dotyczący paliw biodegradowalnych prowadzony przez profesora Ildefonsa Jowialskiego z Wydziału Inżynierii Środowiska Politechniki Warszawskiej. Jakże wielkie było zdziwienie Zaręby, kiedy wśród zgromadzonych gości na sali konferencyjnej dostrzegł Alę Kownacką. Miał wielką ochotę podejść do niej i przywitać się, wiedział jednak,

że nie może tego zrobić. Zastanawiał się tylko, czy dziewczyna wróciła do łask Mateusza Mańkowskiego? A może nigdy tych łask nie straciła, bo cała sytuacja była sprytnie zmistyfikowaną pułapką, albo rodzajem wabika na Zarębę i Cynarskiego?

Na sali u profesora Jowialskiego zebrało się kilkudziesięciu zaproszonych gości. Oczywiście byli tam również Mateusz Mańkowski, Arkadiusz Malinowski i Ignacy Cembrzyński, którzy celowo usiedli w różnych miejscach, aby nie wzbudzić podejrzeń, że mogłoby ich cokolwiek łączyć. Adam Zaręba, wraz z dwoma funkcjonariuszami policji w cywilu, obserwował wszystko z ostatniego rzędu. Wykład profesora był ciekawy i zajmujący, a przede wszystkim różnorodny. Poza prezentacjami i filmami wyświetlanymi na projektorze, naukowiec przeprowadzał eksperymenty, z których te, ukazujące spalanie różnego rodzaju paliw, wzbudziły największy entuzjazm zgromadzonej gawiedzi. Gdzieś koło godziny dziewiątej, kiedy prowadzący miał już ogłosić przerwę, z jednego ze środkowych rzędów wyszedł dziwnie wyglądający mężczyzna. Profesor sądził, że to jakiś pasjonat albo student, który chce o coś zapytać, albo pogratulować znakomitej prelekcji. Tymczasem człowiek wszedł na mównicę, złapał naukowca za rękę i przystawił mu do gardła nóż.

Zgromadzeni na sali ludzie nie od razu zorientowali się w sytuacji. Część osób zupełnie nie zwróciła uwagi na rozgrywające się w dole wydarzenia, szykując się raczej do wyjścia na przerwę. Dopiero po kilkunastu sekundach publiczność domyśliła się, że coś jest nie w porządku. Niektórzy wskazywali palcem na mównicę, sądząc, że organizatorzy, chcąc podnieść atrakcyjność sympozjum, zorganizowali dodatkowe fajerwerki. Część wstawała i wykrzykiwała jakieś obraźliwe hasła, chcąc tym samym wyrazić swoje oburzenie.

Zaręba, widząc mężczyznę stojącego na mównicy obok profesora, wcale nie był zaskoczony, jakby spodziewał się podobnego obrotu sytuacji. Przecież tego właśnie chcieli policjanci, aby zbierając w jednym miejscu Malinowskiego, Cembrzyńskiego i Mańkowskiego zwabić Andrzeja Wrześniewskiego w pułapkę. Adam czuł nawet pewien rodzaj ulgi, że dzięki

wydarzeniom rozgrywającym się na sali, nie będzie musiał negocjować z bandytami, próbując wyciągnąć obciążające ich zeznania. Funkcjonariusze policji zgromadzeni na auli czekali na dogodny moment, aby odbić zakładnika.

Groźący naukowcowi człowiek zupełnie nie przypominał Andrzeja Wrześniewskiego, jakiego Adam Zaręba widział na policyjnych zdjęciach. Ubrany był w niebieski, obszerny kombinezon, podobny do tego, jakie noszą mechanicy samochodowi albo ogrodnicy. Trzymając profesora w stalowych objęciach, przeszedł kilka kroków, aby przybliżyć się do mikrofonu przytwierdzonego do statywu.

– Proszę ochronę o zamknięcie sali na klucz. – Niski tembr głosu rozniósł się po sali. Mężczyzna mówił z wyczuwalnie niemieckim akcentem. – Bardzo mi przykro, ale od teraz są państwo moimi zakładnikami. Mam na sobie bombę, która może zmieść z powierzchni ziemi połowę hotelu.

Terrorysta na znak, że nie żartuje, przytknął ostrze noża do gardła profesora. Z uszkodzonego naskórka pociekła stróżka krwi, co skłoniło ochroniarzy pilnujących wejścia do zamknięcia sali konferencyjnej na klucz.

W międzyczasie w innym miejscu do pomieszczenia ochrony weszli Tymon Foltiński i Rafał Trygar. Szef hotelu poinformował policjantów o zaistniałej sytuacji.

– Czy to Andrzej Wrześniewski? – zapytał Foltiński, przyglądając się monitorom przedstawiającym podgląd z trzech kamer rozmieszczonych na auli.

– A któżby inny? – parsknął Trygar – Ma na sobie maskę albo makijaż, zgolił brodę, ale reszta pasuje. No i ten akcent.

– Czy nie możemy go po prostu sprzątnąć? – zapytał szef ochrony hotelu, wysoki szpakowaty mężczyzna z orlim nosem i grzywką zaczesaną na lewo.

– Obawiam się, że ten człowiek nie blefuje i faktycznie ma na sobie bombę. Musimy poczekać na dalszy rozwój sytuacji – uspokajał Trygar.

– Chyba domyślam się, jakie żądania wysunie terrorysta – wtrącił Foltiński.

– Powiedźcie mi lepiej – Trygar zwrócił się w stronę szefa ochrony – jakim cudem ten mężczyzna wniósł na teren hotelu nóż i bombę? Przecież poza naszymi ludźmi sprawdzaliście wszystkich wchodzących? – dopytywał Rafał.

– Sprawdzaliśmy – odpowiedział skruszony mężczyzna, jakby czuł się współodpowiedzialny za zaistniałą sytuację.

– Spójrzcie – przerwał Tymon, wskazując na monitory. – Coś się dzieje.

Początkowa panika, która wybuchła wśród zgromadzonych gości stopniowo zanikła, przeobrażając się w rodzaj zaciekawienia albo zainteresowania, jakie żądania wysunie terrorysta.

– Tuż obok – mężczyzna skinął głową na niewielkie drzwi znajdujące się na tylnej ścianie za mównicą – jest pomieszczenie techniczne. Chciałbym, aby w przeciągu pięciu minut zgłosili się w nim Ignacy Cembrzyński, Mateusz Mańkowski i Arkadiusz Malinowski.

Na sali zrobił się tumult, słychać było, że spora część zgromadzonych osób, nie słysząc swojego nazwiska, odetchnęła z ulgą. Z drugiej strony osoba wiceministra Ignacego Cembrzyńskiego była na tyle znana, że nie obyło się bez szeptów podniecenia. Pozostałe dwa nazwiska mówiły zebranim niewiele.

– Jeśli za trzy minuty wyczytane osoby nie zgłoszą się do pomieszczenia technicznego, zabiję najpierw profesora Jowialskiego, a potem zdetonuję bombę – straszył terrorysta.

– Nie ma pan żadnej bomby – padło ze środka sali. Adwokat Mateusz Mańkowski wstał z miejsca i wraz z towarzyszącą mu piękną, długonogą asystentką i dwójką ochroniarzy ruszyli na środek sali.

– Skąd ta pewność panie Mańkowski? – powiedział terrorysta, rozpoznając znanego warszawskiego prawnika.

– Sprawdzono wszystkich gości na obecność materiałów wybuchowych i metali. Skłonny jestem uwierzyć w ceramiczny nóż, który uszedł czujności strażników, ale bomba? – ciągnął Maniek prowokacyjnie.

– Żeby stać się bardziej wiarygodny, zdradzę państwu kilka tajników. Całe moje ubranie nasączone jest materiałem wybuchowym. Zapalnik uruchamia się, kiedy nie wyczuje mojego tętna. A teraz proszę uprzejmie – ciągnął mężczyzna – aby na środek sali wyszli jeszcze prezes Arkadiusz Malinowski i wiceminister Ignacy Cembrzyński.

Wywołani mężczyźni podnieśli się z miejsc i zeszli na dół.

– Tych dwóch panów z ochrony i piękną panią prosiłbym, aby wrócili na miejsce – powiedział terrorysta z dziwną uprzejmością w głosie. Na znak Mateusza Mańkowskiego dwójka ochroniarzy wróciła na widownię, pozostała tylko Ala Kownacka.

– Nie odejdę, kocham go i wolę zginąć, niż puścić go samego – wyłała płaczącym tonem, zachowując się niczym rozgoryczona kochanka z taniego melodramatu.

Terrorysta wzruszył ramionami, skinął głową na znak przyzwolenia, po czym wskazał czwórce osób, aby usiedli na krzesłach stojących na podeście. Trzymając profesora Jowialskiego cały czas obok siebie, przybliżył się do mikrofonu i zwrócił w stronę sali.

– A teraz, zanim zamknę się z tymi panami w pokoju technicznym, chciałbym opowiedzieć państwu, kim oni są i przede wszystkim, dlaczego powinni zginąć. I nie chcę tutaj bynajmniej usprawiedliwiać swojego postępowania.

Uczestnicy sympozjum, policjanci, ochrona i obsługa hotelu słuchali z zainteresowaniem słów terrorysty.

– Mam dowody na to, że ci panowie zamieszani są w wiele poważnych przestępstw, w tym śmierć kilku osób, wśród których była również moja córka.

Ledwie terrorysta wypowiedział te słowa, Ala Kownacka doskoczyła do niego, wyrwała mu z ręki nóż i wbiła w krtań. Trysnęła krew, męczyzna brocząc, upadł na podłogę, podrygując w przedśmiertnych konwulsjach. Na sali wybuchła panika, wszyscy rzucili się do ucieczki, tratując wzajemnie. Zapanował ogólny gwar i harmider.

Ala dopadła do terrorysty i zaczęła go rozbierać, szukając urządzenia monitorującego tętno. Ledwie obmacała jego klatkę piersiową, poczuła w plecach ogromny ból. Zamachowiec prowadzony adrenaliną zdołał wyciągnąć z buta drugi nóż i zadać kilka kolejnych uderzeń. Kownacka wydała z siebie zwierzęcy okrzyk, po czym upadła na krwawiącego mężczyznę.

Gdzieś spomiędzy tłumu wyłonił się Adam Zaręba i ruszył w stronę podestu z mównicą. Mateusz Mańkowski tymczasem przesunął leżącą Alę, jakby była tylko kawałkiem mięsa i kontynuował przeszukiwanie martwego

terrorysty. W okolicach krzyża znalazł niewielki plaster podłączony kablem do ciężkiego, nasączonego dziwną substancją ubrania. Oderwał go i nakleił sobie w okolicach serca, licząc, że bomba nie wybuchnie. Adam w międzyczasie dobiegł do leżącej Ali i uklęknął, wsłuchując się w jej ostatnie słowa.

– Szpiegowałam Piotra... znalazłam w poczcie film – szeptała, z trudem łapiąc powietrze. – Musiałam dla niego pracować, szantażował mnie... Powiedz Piotrowi, że...

W tym momencie Mańkowski, ciągnąc ciało terrorysty za sobą, zbliżył się do leżącej Ali. Przytknął jej dłoń do ust i przycisnął, patrząc złowrogo na Zarębę, który czuł się jak sparaliżowany.

– Chcieliście nas wciągnąć w pułapkę – wymamrotał Maniek. – Nic na nas nie macie. Wiecie tylko tyle, ile powiedziała wam policja.

Minęło kilka długich sekund, w trakcie których Ala zmarła. Na sali pojawili się Trygar i Foltyński. Zbiegli na dół i spoglądali z niedowierzaniem to na Zarębę, to na Mańkowskiego.

– Wezwijcie saperów! – krzyczał Mateusz. – Trzeba to kurestwo jakoś rozbroić, zanim wybuchnie mi w twarz!

Malinowski i Cembrzyński siedzieli w milczeniu, obserwując jak ostatnie osoby z widowni ewakuują się z sali.

Załamany Zaręba patrzył pustym wzrokiem na policjantów, czując, że poniósł największą porażkę w życiu.

ROZDZIAŁ 49

Spotkanie na komendzie wojewódzkiej przebiegało w minorowych nastrojach. Wszyscy zgromadzeni uczestnicy czuli, że cała akcja przeprowadzona w hotelu „Polonia Palace” przybrała najgorszy z możliwych wariantów. Na sali obecni byli również Cynarski i Zaręba.

– Powiedział mi prosto w twarz – opowiadał roztrzęsiony Adam – że zdaje sobie sprawę, że nic na niego nie mamy. Ala Kownacka nie miała wyjścia, musiała pracować dla Mańkowskiego. Miał na nią haki. Z czasem stała się niczym żołnierz, który nie zawaha się, aby wykonać każdy rozkaz.

– Trzeba będzie spróbować prześwietlić jej życiorys. Może uda się coś znaleźć – powiedział Suski, który niczym tonący, chwycił się każdej możliwości, która pozwoliłaby znaleźć materiały obciążające Mateusza Mańkowskiego.

– Już szukaliśmy – odpowiedział Trygar. – Jest czysta, nigdy nie zadarła z prawem, pochodzi z domu dziecka, nie ma rodziny, nawet stałego meldunku. Idealny życiorys dla płatnego mordercy. Choć dziwne, że dała się zaskoczyć przez Wrześniewskiego, który ukrył drugi nóż w bucie.

– Gdybym nie stał jak ciełę, może Ala jeszcze by żyła – narzekał Adam. – Mańkowski zatkał jej usta i, patrząc mi w oczy, czekał, aż ona umrze.

Cynarski słuchał opowieści Adama z rozgoryczeniem, jakby czuł się współodpowiedzialny za śmierci Kownackiej. Gdyby wcześniej nie użył na kobiecie całego arsenału sztuczek, których nauczył się na spotkaniach PUA, być może ona nadal przeżywałaby wśród żywych. Słuchał całej rozmowy, jakby nie do końca zdając sobie sprawę, że rozmawiają o śmierci kobiety, którą jeszcze nie tak dawno trzymał w ramionach. Bezbronną, oddaną i całkowicie uległą.

– Jasna cholera – wymamrotał Zaręba przez zęby. – Dlaczego nic nie zrobiłem?

– Spokojnie – powiedział Suski, kładąc rękę na ramieniu Adama. – Nie obwiniaj się. Wszyscy zawiedliśmy. Mańkowski od lat wymyka nam się z rąk. Jest cwany i przebiegły, ma pieniądze i plecy w politycznych sferach.

– Cembrzyński z Malinowskim siedzieli z tyłu i patrzyli jak Maniek załatwia za nich brudną robotę – narzekał Zaręba.

– A czemu tu się dziwić? – stwierdził Suski, wzruszając ramionami.

– Czy możemy Mańkowskiemu postawić jakieś zarzuty? – zapytał Foltiński.

– Moim zdaniem, nie możemy – wymamrotał prokurator. – Trochę poszlak, zaznania panów Cynarskiego i Zaręby, którzy w żaden sposób nie są w stanie potwierdzić, że za ich porwaniem stał Mańkowski. Dodatkowo po ostatnich wydarzeniach z hotelu „Polonia Palace”, Maniek i jego piękna zmarła asystentka stali się w oczach opinii publicznej bohaterami, którzy wybawili znamienitych warszawiaków od śmierci z rąk terrorysty. To kiepski moment, aby postawić Mańkowskiemu zarzuty. Co więcej, zgodnie z decyzją premiera, Ala Kownacka ma być pochowana w alei zasłużonych na Powązkach.

– Z tym akurat nie będę dyskutował – powiedział Cynarski. – Zasłużyła na to.

– A co z Wrześniewskim? Może chociaż jego śmierć należy uznać za połowiczny sukces? – zastanawiał się Trygar.

– Wrześniewski przechytrył nas wszystkich. Nikt nie spodziewał się, że zagra va-banque i sterroryzuje całą salę na symposium w hotelu. Z drugiej strony patrząc – stwierdził Suski z wyrazem bezsilności wymalowanym na twarzy – chyba dzięki temu, możemy uznać sprawę „listy sześciu” za zamkniętą.

Suski urwał, jakby zastanawiał się nad doborem właściwych słów.

– Nie takiego rozwiązania się spodziewałem. Chętnie usłyszałbym zeznania Andrzeja Wrześniewskiego, a tak, nadal wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi – dodał.

– Wracamy do szarej rzeczywistości i mozolnego zbierania materiałów obciążających Mateusza Mańkowskiego. – Tymon wstał z krzesła i podszedł do

okna. – A co wykazał trop związany z ubraniem Wrześniewskiego? Skąd wytrzasnął tak zmyślną bombę? – dodał.

– Tego typu materiałów wybuchowych używają islamscy terroryści – tłumaczył Suski. – Można je dostać w Rosji czy na Białorusi. Ubranie nasącza się specjalną substancją wybuchową, trzeba mieć tylko zapalnik, który umożliwi detonację. Całość jest niewykrywalna przez czujniki umiejscowione na lotniskach, ambasadach czy sądach.

– O ile wiem – zastanawiał się głośno Tymon – zapalnik był metalowy. Powinien zostać wykryty na bramkach przy wejściu do hotelu.

– Wielka mi rzecz – powiedział Trygar. – Jaki problem ukryć zapalnik wcześniej w ubikacji, czy w pokoju hotelowym? Saperzy sprawdzają jeszcze ten trop, ale mogę się założyć, że tak właśnie było.

– A co z Arkadiuszem Malinowskim i Ignacym Cembrzyńskim? – zapytał Tymon, który stał przy oknie i spoglądał na szare blokowisko widoczne z okna komendy.

– A co ma być? Trzeba będzie ich nadal obserwować. Któremuś musi się wreszcie podwinąć noga. Arkadiusz Malinowski otwiera nowy bank, co daje możliwości, aby coś na niego znaleźć. W przyszłym roku wybory, nie wiadomo, czy Cembrzyński utrzyma się na stanowisku. Jak nie będzie miał immunitetu, może wreszcie dobierzemy mu się do tyłka.

– Andrzej Wrześniewski zaczął opowiadać o dowodach przeciwko Cembrzyńskiemu, Mańkowskiemu i reszcie. Prasa węszy i dopytuje. Chcą wiedzieć, czy faktycznie coś na nich miał, czy tylko blefował.

– Gdyby nie Ala Kownacka, pewnie byśmy się dowiedzieli – wtrącił Cynarski.

– Musiała go zabić. W tym właśnie celu Mańkowski wziął ją ze sobą na środek sali. Mieli opracowany plan – wtrącił Zaręba.

– Tacy ludzie, jak Ignacy Cembrzyński i Arkadiusz Malinowski, zawsze spadną na cztery łapy – dodał Trygar.

– Podobnie jak połowa polityków i biznesmenów posiadających władzę i pieniądze – urwał Suski. – Nie mam już siły walczyć z systemem, dlatego

płynę pod prąd, starając się wyławić tylko te najbardziej śmierdzące i zepsute ryby.

Wśród zebranych zapanowało poczucie bezradności i bezsilności, szczególnie po ostatnim zdaniu wypowiedzianym przez Mariana.

– Jest coś jeszcze – przypomniał sobie Zaręba. – Ala przed śmiercią powiedziała, że znalazła w poczcie Piotra Cynarskiego film. Nie wiem, czy to może mieć znaczenie dla sprawy.

– Więc to o ten materiał wszyscy tak się bili – stwierdził Trygar. – Film obciążający osoby z „listy sześciu”. To zgodne z naszymi dotychczasowymi domysłami. Teraz przynajmniej wiemy, że chodziło o film.

– Co i tak nam nic nie daje, póki tego filmu nie mamy – urwał rozmowę Suski.

– A co z nami? – zapytał Cynarski, który dotychczas siedział w kącie i milczał.

– Będziecie podlegać ustawie o ochronie i pomocy dla pokrzywdzonych świadków – tłumaczył Suski.

– Co to oznacza? – dopytywał Piotr.

– Pewnie będziecie musieli zmienić pracę, dane personalne, być może przenieść się do innego miasta. Mateusz Mańkowski powinien dać wam spokój, choć początkowo będziecie pod ochroną policji. Oczywiście postępowanie w sprawie waszego porwania będzie trwało nadal. Może uda się jeszcze coś w tej sprawie ustalić.

– Wydawałoby się, że odnalezienie jednookiego bandyty nie powinno być trudne – dodał Foltiński.

– Obawiam się, że nawet jeśli go znajdziemy, Mańkowski zdoła się wybielić. Nie zawaha się, aby wyeliminować wszystkich świadków, którzy mogliby postawić go w złym świetle. Ale, kto wie – westchnął Marian – każdy kiedyś popełnia błąd.

Suski przeprosił zebranych, po czym odszedł na bok, aby odebrać telefon. Rozmawiał z kimś przez chwilę, po czym wrócił z miną wyrażającą zdziwienie i konsternację.

– Arkadiusz Malinowski nie żyje. Został wepchnięty pod nadjeżdżające metro – powiedział.

– Przez kogo? – zapytała zdziwiona Marzena.

– Nikogo nie złapano. Z relacji świadków wynika, że jakaś drobna kobieta wepchnęła go pod nadjeżdżające metro i uciekła – dodał Suski.

ROZDZIAŁ 50

Mężczyzna koło czterdziestki, wyglądający jak kloszard, siedział przy biurku i mamrotał coś pod nosem. Tymon Foltyński z Rafałem Trygarem, Marzeną Gibałą i Marianem Suskim pojawili się w pokoju przesłuchań z protokolantką.

– Jak się pan nazywa? – rzucił prokurator, zaczynając od pytań natury podstawowej.

– Staszek Wanio – powiedział suchy, wąty człowieczek. Jego przedramiona zdobiły niedbale wykonane tatuaże, zapewne pamiątka z więzienia.

– Co się wydarzyło na peronie metra centrum? – zapytał komisarz.

Przestraszony mężczyzna, który był świadkiem śmierci Arkadiusza Malinowskiego, cały się trząsł, z trudem wypowiadając kolejne słowa.

– Tam na peronie było sporo ludzi... tłoczyli się. Była tam kobieta... ona popchnęła tego pana w garniturze – tłumaczył mężczyzna.

– Czy ta pani wypchnęła tego mężczyznę pod metro celowo?

– Nie jestem pewien, mówiłem, że tam było tłoczno. Równie dobrze, to ją mogli popchnąć, a ona potrąciła tamtego człowieka, który stracił równowagę i wypadł na tory – plątał się Staszek.

Suski wyciągnął z teczki kilka zdjęć i rozłożył je na stole przed mężczyzną.

– Czy rozpoznaje pan te osoby? – zapytał.

Kloszard oglądał przez chwilę fotografię, aby zatrzymać się przy zdjęciu Moniki Wrześniewskiej.

– Czy to ona? – zapytała Trygar.

– Nie jestem pewien. Była starsza, taka jakby zgarbiona – tłumaczył mężczyzna.

Suski odchrząknął, dając policjantom znak, że chciałby porozmawiać z nimi na osobności.

– Czy to możliwe, żeby to była Wrześniewska? – zapytał Suski, zwracając się do Trygara i Folyńskiego, którzy wraz z protokolantką wyszli na korytarz.

– Ktoś podszywa się pod Monikę Wrześniewską, żeby dokończyć zemstę – stwierdził Trygar.

– A jeśli nie? Jeśli ona żyje? – pytanie Marzeny rozbiło się o ścianę milczenia. Mężczyźni stali na korytarzu komendy i patrzyli na siebie w poczuciu, że cała sprawa „listy szczęściu” wymyka im się spod kontroli, o ile kiedykolwiek można było uznać, że w jakikolwiek sposób ją kontrolowali.

– Poprosiłem kolegów z Niemiec, aby raz jeszcze bardzo dokładnie przeszukali dom Andrzeja Wrześniewskiego – powiedział Folyński, przerywając panującą ciszę.

– Masz jakiś pomysł? – zapytał Trygar, patrząc podejrzliwie na podwładnego.

– Zostały nam dwie żyjące osoby z „listy szczęściu”. Możemy poczekać jeszcze miesiąc, a potem z czystym sumieniem zamknąć sprawę – powiedział z przekąsem w głosie.

– Mam dziwne przeczucie, że po śmierci Andrzeja Wrześniewskiego to Mateusz Mańkowski podjął rękawice i kontynuuje zabijanie kolegów – zastanawiał się głośno prokurator.

– Postanowił wykorzystać okazję i pozbyć się niewygodnych świadków? – zapytał Trygar.

– Wiedział, że prezes Malinowski jeździ do pracy metrem. Może opłacił jakąś nieszczęśliwą podobną do Wrześniewskiej, żeby go zabiła – wtrącił się Tymon. – Choć ja cały czas odnoszę wrażenie, że czegoś jeszcze w tej sprawie nie wiemy, coś nam umknęło.

– Roześlijcie listy gończe za Moniką Wrześniewską. Albo jej sobowtórem – powiedział prokurator.

– A jak mamy wytłumaczyć, że szukamy zmarłej? – zapytał Tymon.

– Nie tłumaczcie.

– A co z tamtym? – zapytał Trygar, wskazując na pokój, w którym siedział przesłuchiwany pijaczek.

– Wypuście go. I zapytajcie innych świadków zdarzenia, czy rozpoznali Wrześniewską. Może się okazać, że pozostałe osoby widziały czarownicę Hogatę.

ROZDZIAŁ 51

Posiadłość Andrzeja Wrześniewskiego znacząco różniła się od pozostałych zadbanych domów stojących przy ulicy Parkstrasse. Wysoka trawa sięgająca kolan, nieprzycięte krzewy i drzewa tworzyły rodzaj zielonego kokonu opatulającego parterowy budynek.

Dwóch niemieckich funkcjonariuszy, jeden w randze Polizeikommissar, który był już wcześniej w domu Wrześniewskiego, drugi podwładny Polizeirat, po odpięciu drzwi wejściowych, zderzyło się z wonią stęchlizny, grzybów i pleśni. Wnętrze urządzone było skromnie, stare meble, kanapa obita satyną, kominek, telewizor, brudne garnki w kuchni, w których larwy na spółkę z muchami konsumowały zasuszone resztki jedzenia.

– Ten mężczyzna poszukiwany jest listem gończym z Interpolu – powiedział wysoki blondyn w mundurze, wyciągając z kieszeni gumowe rękawiczki.

Policjanci weszli do salonu, obserwując bałagan i rozgardiasz panujący wokół. Ich uwagę zwrócił stary regał z książkami w języku polskim i niemieckim, wśród których przeważały wolumenty dotyczące medycyny, anatomii człowieka i historii chorób zakaźnych. Po kilku minutach wstępnego rekonesansu policjanci z Rostocku udali się do piwnicy, gdzie znajdowała się najciekawsza część domu Andrzeja Wrześniewskiego. Widok, jaki ujrzeli po zapaleniu światła, wprowadził ich w niemałe osłupienie.

W kącie pokoju stało zavalone papierami biurko, ściany wyściełane były korkowymi tablicami, do których przywieszono zostały zdjęcia seryjnych morderców, oszpecone ludzkie zwłoki, ciała zdeformowane i powyginane chorobami, płody w różnych fazach rozwoju oraz cała menażeria wynaturzeń, o jakich cyrk osobliwości mógłby tylko pomarzyć.

– Co on tu robił? – zapytał policjant, oglądając notatki Wrześniewskiego leżące na biurku.

– Każdy ma jakieś hobby. Ten miał takie – odpowiedział rostocki funkcjonariusz. – Pasjonował się śmiercią, seryjnymi mordercami, rozkładem ludzkiego ciała, jak również materiałami wybuchowymi – dodał Polizeikommissar po chwili. – Nie było go w domu od dobrych kilku miesięcy, jakby zapadł się pod ziemię.

– Czy to są tylko zdjęcia, czy również jego trofea? – zapytał młodszy policjant.

– W Niemczech Wrześniewski nie jest poszukiwany. A ci ludzie na zdjęciach są z Internetu, czasopism i książek.

– Jakby nie patrzeć, ciekawe miał hobby – podsumował funkcjonariusz, przyglądając się zdjęciu, na którym narodził na ciele kobiety przysłaniała niemal całą twarz. – Zainteresowanie materiałami wybuchowymi tłumaczyłoby próbę zamachu, którą przeprowadził w hotelu „Polonia Palace” w Warszawie – dodał niższy rangą policjant, wykazując się znajomością sprawy.

– Dobra, nie gadajmy tyle, tylko szukajmy – powiedział drugi z funkcjonariuszy, rozglądając się uważnie po notatkach pozostawionych przez Wrześniewskiego. Nie ulegało wątpliwości, że przestępca zaplanował morderstwa z najdrobniejszymi szczegółami. Nic nie zostało pozostawione przypadkowi. Wśród zapisków i wydruków znajdowały się informacje na temat rytualnych samobójstw, morderstw, opisy praktyk szamańskich, voo-doo czy zagadnień związanych z czarną magią. Udało się nawet znaleźć szczegółową rozpiskę spraw, jakie należało załatwić, planując morderstwa Dominika Klezmerowicza i Eugeniusza Tadli. Sposób popełnienia zbrodni został nawet rozrysowany na kadrach, nie zabrakło również podstawionych śladów, mających rzucić podejrzenie na innych członków „listy sześciu”. Znalazły się tam zapiski na temat dziesięciozłotowego banknotu odnalezionego w restauracji Honsiu, czy obserwacji Alfreda Kwizuna pobierającego zadania i pieniądze z sejfów umiejscowionych w supermarkecie na Marszałkowskiej. Na kolejnej kartce przyklejone były wycięte z gazet materiały prasowe związane z przygotowaniem się przez Arkadiusza Malinowskiego do otwarcia w Warszawie centrali SpecialBanku. Był plan dnia Ignacego Cembrzyńskiego, rozpisany zapewne po to, aby w dogodnym momencie ukraść jego drogi

zegarek i włożyć do kieszeni Konstantego Konopskiego przed wypchnięciem go z dziesiątego piętra.

– Polscy policjanci nie mają wątpliwości, że to ten człowiek popełnił zbrodnię na warszawskich VIP-ach – stwierdził policjant, przyglądając się komputerowemu wydrukowi z opisem rytuałów plemienia zamieszkującego wyspy Vanuatu na Oceanii.

– Ale to sugerowałoby, że ten mężczyzna musiał być w Polsce dużo wcześniej niż pół roku temu, aby zbierać materiały do przygotowania zabójstw. Dopiero potem w zaciszu niemieckiej piwnicy opracowywał szczegółowe plany – snuł domysły młodszy funkcjonariusz.

– Wiemy tylko tyle, że opuścił Niemcy pół roku temu. Co robił wcześniej, nie wiadomo – urwał Polizeikommissar.

W pewnym momencie uwagę policjanta zwrócił stos książek leżących na półce. Wziął do ręki pierwszą z góry, opisującą życiorysy seryjnych morderców i patrzył chwilę na okładkę prezentującą najsłynniejszego zabójcę w historii dziejów Teda Bundiego. Przekartkował ją, odłożył na miejsce, po czym sięgnął po kolejną pozycję dotyczącą chorób wenerycznych. Z niemiecką sumiennością kartkował wolumeny, jakby był pewien, że gdzieś na marginesie musi się znajdować jakiś trop. W historycznej biografii Lukrecji Borgii, jednej z najsłynniejszych trucielek wszechczasów, wetknięta była szara koperta.

– Co to jest? – zapytał, patrząc na podwładnego.

Policjant wziął papierowe znalezisko za róg i oglądał je pod światło. Na odrocie dostrzegł niewielki napis wydrukowany na drukarce komputerowej, który brzmiał: *prześłać za sześć lat*.

– Trzeba to wysłać kolegom z Polski.

ROZDZIAŁ 52

– Co było w tej kopercie? – zapytał Suski.

– Mogę się tylko domyślać, co w niej było, ale nie to jest najważniejsze – tłumaczył Tymon. – Na razie możemy założyć, że koperta leżała u kuriera, który miał ją przekazać za sześć lat. Z naszych danych wynika, że Andrzej Wrześniewski rozpoczął przygotowywania do swojej wendetty jakiś rok temu.

Zebrani słuchali z uwagą słów Foltłyńskiego, czekając na finałową konkluzję.

– Pomyślcie tylko, co wydarzyło się siedem lat temu? – zapytał Tymon.

– Śmierć Moniki Wrześniewskiej – odpowiedział prokurator, wchodząc w konwencję naiwnych pytań, w którą dość często bawił się Foltłyński.

– Czy to nie nazbyt oczywisty zbieg okoliczności? I choć nie wiemy, kto był nadawcą listu, wiąże się z nim coś niezwykle ciekawego.

– To znaczy? – zdziwiła się Marzena.

– Zanim do ciebie przyszedliśmy, byliśmy u techników. Komputerowy wydruk na kopercie powstał ponad wszelką wątpliwość kilka miesięcy temu. Na pewno nie siedem lat temu – tłumaczył Foltłyński. – Co więcej, koperta wyprodukowana była przez fabrykę papieru w Sopocie. Założę się, że można byłoby po numerze seryjnym dowieść, kiedy powstała.

– Spodziewasz się potwierdzenia faktu, że koperta ma mniej niż siedem lat? – dopytywał prokurator.

– Tak. Jednak nie do tego zmierzam. Jeśli połączyć te informacje z relacjami świadków, którzy twierdzą, że widzieli kobietę podobną do Moniki Wrześniewskiej wpychającą Arkadiusza Malinowskiego pod metro, to konkluzja nasuwa się sama – ciągnął Foltłyński.

– Kto w takim razie wysłał list z filmem? – zapytał Suski, jakby chciał sprowadzić rozmowę na właściwy tor.

– Ktokolwiek to był, chciał przede wszystkim, żeby Andrzej Wrześniewski sądził, że list wysłała jego córka, jeszcze przed śmiercią – dodał Tymon.

Na sali zapanowała cisza. Po głowie zebranych kołatała się myśl, której nikt nie odważył się powiedzieć na głos.

– Ten list wysłała Monika Wrześniewska – wypalił Foltiński.

Znowu zapadło grobowe milczenie.

– Materiały dotyczące jej śmierci są bardzo mgliste. Zresztą sami widzieliście – wymamrotał Tymon.

Suski westchnął, widząc w oczach Foltińskiego wyczekiwanie na prokuratorską decyzję.

– Rezerwujcie trzy bilety do Trójmiasta. Zarządę ekshumację i sekcję zwłok – powiedział wreszcie. – Jeśli to będzie fałszywy trop... to prasa i minister zjedzą mnie żywcem.

ROZDZIAŁ 53

Ekshumacja zwłok Moniki Wrześniewskiej zgodnie z procedurami odbywała się z samego rana, pod nadzorem powiatowego inspektoratu sanitarnego. Człowiek z brzuszkiem, w okularach, tuż przed emeryturą, doglądał pracowników zakładu pogrzebowego starających się dochować obowiązujących procedur. Chodziło przede wszystkim o bezpieczeństwo nie tyle ciała, co osób wydobywających zwłoki. Trupi jad, zawierający kadawerynę i putrescynę, w skrajnym przypadku mógł doprowadzić nawet do śmierci. Tymon Foltyński, Rafał Trygar i Marian Suski stali nieopodal, obserwując specjalistów odsuwających płytę nagrobną i rozkuwających betonowe zabezpieczenia, aby następnie zejść na dół piwniczki i wydobyć trumnę.

– Jak wygląda ciało po siedmiu latach leżenia w grobie? – zapytał Foltyński, któremu na samą myśl, że ma za chwilę oglądać siedmioletnie zwłoki, zrobiło się niedobrze. Marzena Gibała stała odwrócona tyłem i piłowała sobie paznokcie. Miała sukienkę, która co chwilę była podwiewana przez wiatr, aby ukazać światu białe majtki. Kobieta niewiele robiła sobie z faktu, że kilka metrów dalej grabarze wydobywali z ziemi zwłoki.

– Średnio po pięciu latach z ciała zostają same kości, choć wszystko zależy od wielu czynników, jak atmosfera, czy odczyn gleby – tłumaczył Suski. – Nawet materiał, w który ubrany jest denatka, ma znaczenie dla procesów gnilnych. Bywa, że po pięćdziesięciu latach wyciąga się z grobu zwłoki, które wyglądają jakby zaledwie wczoraj zostały pochowane.

Mężczyźni z zakładu pogrzebowego z wielką pieczołowitością wyciągnęli trumnę, włożyli ją do specjalnego pojemnika, po czym przetransportowali do zakładu medycyny sądowej w Gdyni.

Foltyński, jadąc taksówką, zastanawiał się, czy przyjdzie kiedyś taki moment, że przyzwyczai się do widoku martwych ciał. Wchodząc do budynku zakładu medycyny sądowej, czuł, jak miękną mu nogi. Wewnątrz przywitał ich

wąsaty lekarz, który wyglądem przypominał połączenie doktora Frankenstein'a z Drakulą. Tymon za każdym razem, kiedy spotykał kogoś zajmującego się krojeniem rozkładających się zwłok, zachodził w głowę, czy tacy ludzie mogą być normalni? Wracają wieczorem do domu i kochają się z żoną, czule pieszcząc i dotykając jej intymnych sfer? Albo tymi samymi rękoma, którym jeszcze wczoraj wyciągali wnętrzności z jakiegoś zgniętego topielca, robią dzieciom kanapki do szkoły?

Po otwarciu trumny, ku swojemu zdziwieniu, ujrzeli drobny szkielet opatulony w czarną długą suknię. Obrazek był na tyle kuriozalny, że nawet Tymon nie miał problemów, aby patrzeć na ludzkie szczątki bez mdłości i obrzydzenia. Lekarz przyglądał się szkieletowi przez chwilę, potem zerknął raz jeszcze w szczegółowy opis wyglądu Marty Wrześniewskiej, cmoknął kilka razy i pokręcił głową z dezaprobatą.

– To są inne zwłoki – stwierdził.

Raz jeszcze odchrząknął, pogładził długie wąsy i niemrawo dodał:

– Ta kobieta była dużo niższa i drobniejsza niż Marta Wrześniewska.

– Może kości się zbiegły, albo skurczyły? – zastanawiał się Trygar.

– To wykluczone – odpowiedział medyk.

– Ile czasu potrwałoby dokładne oględziny zwłok, aby mieć pewność? – zapytał Suski.

– Do wieczora powinniśmy wiedzieć dużo więcej.

Dalsza część dnia przebiegła mężczyznom na oczekiwaniu. Snuli się po Trójmieście, udając, że cieszą się plażą, morzem i turystycznymi atrakcjami, jednak ich myśli cały czas zaprzętały szczątki Moniki Wrześniewskiej. Wieczorem podekscytowani przybyli do zakładu medycyny sądowej, aby spotkać się z lekarzem.

– Ciało należy do niejakiej Aleksandry Siuty – zaczął medyk. – Zweryfikowaliśmy to na podstawie odcisków szczęk, to wieloletnia pacjentka jednego z gdańskich zakładów psychiatrycznych. Jej dokumentacja medyczna jest dosyć bogata. Sprawdziliśmy nawet próbki DNA.

– Jak można było pomylić ciała? – zapytał Suski.

– Protokoły zostały sfałszowane – stwierdził lekarz.

– Kto wystawił akt zgonu? – dopytywał Foltyński.

– Niejaki Damian Falkner – mówił lekarz. – Sprawdziliśmy jednak, że lekarz ten zmarł na zawał serca kilka tygodni po śmierci domniemanej Moniki Wrześniewskiej.

Foltyński i Trygar patrzyli na Suskiego z wyrazem wielkiego znaku zapytania wymalowanym na twarzy.

– Czy moglibyśmy prosić o adres tego zakładu psychiatrycznego? – poprosił Marian.

ROZDZIAŁ 54

Zakład psychiatryczny w Gdańsku położony był w bardzo urokliwym miejscu. Z oddali rozciągał się wspaniały widok na morze, szpitalny park pełen roślinności zachęcał do spacerów, a jod zawarty w powietrzu pomagał leczyć dolegliwości związane z układem oddechowym.

Foltyński, Trygar i Suski pojawili się w szpitalnej recepcji i poprosili o możliwość spotkania z Aleksandrą Siutą. Chwilę potem przyszedł lekarz, który zaprosił mężczyznę do gabinetu.

– Czy może nam pan opowiedzieć, jak pacjentka zjawiła się w zakładzie? – zapytał Trygar, rozsiadając się na głębokim fotelu. Pokój lekarza urządzone był niczym małe mieszkanko, był nawet dywan i firanki w oknach.

– Przewieziono ją siedem lat temu z ośrodka w Sopocie – tłumaczył medyk.

– Przewieziono? – zdziwił się Foltyński.

– Tak, wcześniej była pensjonariuszką państwowego zakładu o dużo gorszym standardzie.

– A dlaczego ją przewieziono? – zapytała Marzena.

– Znalazł się jakiś sponsor, który przekazał spore środki pieniężne, aby mogła pozostać w naszym ośrodku przez długie lata.

– Wiadomo, co to za sponsor?

– Niestety, nie.

– Na co choruje pacjentka? Jakie ma objawy? – zapytał Suski.

– Schizofrenia rezydualna. Dotychczas prawie wcale nie było z nią kontaktu – tłumaczył medyk, poprawiając się na krześle. – Jakiś rok temu jej stan nieznacznie się poprawił, czasami chodzi na spacer, a nawet korzysta z komputera.

– Czy ma pan zdjęcie tej kobiety? – poprosił Foltyński.

Lekarz przeszukiwał akta medyczne, wreszcie wyciągnął fotografię i wręczył mężczyznom, którzy przyglądali jej się uważnie, nie mogąc oderwać wzroku.

– Jest starsza, ale to bez wątplenia Monika Wrześniewska – powiedział Foltiński, po chwili namysłu.

– Czy możemy się z nią spotkać? – zapytał Suski.

– W zasadzie byłoby to możliwe, gdyby nie fakt, że jej tu nie ma – stwierdził lekarz z rozbijającą szczerością.

– Jak to? – zdziwił się Suski.

– Uciekła kilka dni temu.

– Można stąd uciec? – dopytywał Foltiński.

– W tej części zakładu ochrona pacjentów nie jest tak mocna, jak w zakładzie zamkniętym w lewym skrzydle – tłumaczył lekarz, jakby czuł się winny, że nie dopatrzył wszystkich formalności, aby zapobiec zniknięciu pacjentki. – Ucieczki zdarzają się bardzo rzadko.

– Przecież ci ludzie mogą być niebezpieczni dla otoczenia – podniósł głos Trygar.

– Dostają leki, nie podnieśliby ręki nawet na muchę – tłumaczył medyk. – Kobieta uciekła z parku podczas spaceru.

– Nie pilnujecie pacjentów podczas spacerów?

– Pilnujemy, ale trudno mieć na oku trzydziestkę pacjentów przez cały czas. Przypominam, że to nie jest ośrodek zamknięty, przebywają tu pacjenci niegroźni dla otoczenia.

– Szukacie jej? – zapytał Trygar.

– Oczywiście, zgłosiliśmy ucieczkę policji.

– Bez efektu?

Lekarz skinął głową, wzruszając ramionami.

– Możemy obejrzeć jej pokój? – zapytał Suski.

– Tak, proszę. Pokażę panom – powiedział lekarz, wstając z fotela i wskazując ręką w stronę drzwi.

Mężczyźni szli korytarzem w stronę sal pacjentów, oglądając snujących się bez życia pensjonariuszy. Wszystko wyglądało tak, jakby dowcipny operator odtwarzał film w zwolnionym tempie.

– Teraz już panowie rozumieją, dlaczego ci ludzie nie są groźni – stwierdził lekarz.

Nagle na komórkę Suskiego przyszedł SMS. Prokurator przeczytał go, po czym pokazał wyświetlacz aparatu Trygarowi i Foltyńskiemu: *Złapaliśmy kobietę, która próbowała zabić Cembrzyńskiego.*

– Wracamy do Warszawy, chyba mamy uciekinierkę – zawyrokował Marian.

ROZDZIAŁ 55

Mężczyźni po przybyciu do Warszawy udali się wprost na komisariat.

– Czy to Monika Wrześniewska? – Suski zagadnął policjanta posterunkowego.

– Nie wiemy. Próbowaliśmy ugodzić nożem Ignacego Cembrzyńskiego, kiedy wchodził do budynku ministerstwa – powiedział funkcjonariusz. – Miała przy sobie trochę pieniędzy, rachunek ze schroniska i bilet autobusowy z Gdyni.

Policjant pokręcił palcem nad głową i dodał:

– Ona chyba nie do końca jest normalna.

– Skoro zdołała przyjechać do Warszawy i odnaleźć Cembrzyńskiego, to musi być z nią całkiem dobrze – stwierdził Foltyski, wchodząc do pokoju. Na krześle siedziała chuda, wysoka kobieta patrząca beznamiętnie w jeden punkt. Była spokojna i zrównoważona, na jej twarzy odbijał się rodzaj mistycyzmu, niczym u buddyjskiego mnicha. Spojrzała powściągliwie w stronę wchodzących policjantów. Jej ruchy były powolne i ociężałe, jakby motoryka ciała sprawiała jej ból. Po kilku dniach od ucieczki ze szpitala psychiatrycznego zapewne nie była już pod działaniem leków psychotropowych i uspokajających.

Mężczyźni podeszli bliżej i niemal od razu rozpoznali w kobiecie Monikę Wrześniewską. Miała dłuższe włosy niż na zdjęciach sprzed siedmiu lat i bardzo się postarzała. Mimo trzydziestu jeden lat posiadała już zmarszczki w okolicach oczu i na czole, blada cera i podkrążone oczy dopełniały obrazu pacjentki zakładu psychiatrycznego. Suski wraz z policjantami usiedli na krzesłach naprzeciwko przesłuchiwanej. Kobieta spojrzała na mężczyzn i uśmiechnęła się, po czym odezwała spokojnym aksamitnym głosem.

– Czego ode mnie chcecie? – Nagle wyraz jej twarzy zmienił się diametralnie. W oczach pojawił się strach, niczym u spłoszonego zwierzęcia.

Chciała wstać, aby zerwać się do ucieczki, jednak Marian złapał ją za rękę i na powrót usadowił na krześle.

– Proszę się uspokoić. Jest pani tu bezpieczna – powiedział, jakby nie chciał przestraszyć płochliwego ptaka.

Kobieta rozejrzała się wokół, jakby obawiała się ścian, które za chwilę zaczną się przybliżać.

– Czy pani jest Moniką Wrześniewską? – Suski postanowił zadać najistotniejsze pytanie.

– Jestem Aleksandrą Siutą – tłumaczyła zalekciona kobieta.

– Ale kiedyś, siedem lat temu, była pani Moniką Wrześniewską – nie ustępował Marian.

– Kiedyś tak – odpowiedziała.

– Dlaczego chciała pani zabić Ignacego Cembrzyńskiego? – dopytywał prokurator.

Kobieta siedziała zgarbiona z rękami na kolanach i przebierała palcami, jakby próbowała grać na niewidzialnym pianinie, chybocząc się przy tym niczym trzcina na wietrze. Żaden z mężczyzn nie odważył się przerwać ciszy.

– Kiedyś – powiedziała wreszcie – zanim trafiłam do szpitala w Gdańsku, byłam bardzo chora. Zadbali o to panowie, którzy rządzą naszym krajem – tłumaczyła trzęsącym się głosem.

– Co ci panowie pani zrobili? – wtrącił się Foltiński.

– Oni sądzą, że zginęłam pod pociągiem, siedem lat temu – tłumaczyła, cały czas patrząc w jeden punkt na ścianie. – Ja wszystko wiedziałam. Wiedziałam, co ze mną zrobili, byłam świadoma.

– Proszę nam opowiedzieć, co pani zrobili – ciągnął Suski.

– A co mieli kurwa zrobić? Wsadzili swoje śmierdzące kutasy w moją cipę! – zawyła niczym zranione zwierze. Zmarszczyła brwi i na nowo zamknęła się w sobie. Minęło kilka minut, zanim wróciła do świata żywych. Trygar w międzyczasie kazał przynieść szklanekę wody dla kobiety. Chwyliła kubek i wlała go sobie do gardła, jakby nie piła od kilku dni.

– Zgwałcili panią? – kontynuował Marian.

Wrześniewska przytaknęła.

– Co się stało potem? Jak się pani znalazła w zakładzie dla obłąkanych?

– To ten prawnik. On mnie umieścił w zakładzie, sfinansował pobyt – wymamrotała.

Na twarzach zebranych odmalowało się zdziwienie.

– Czy ten prawnik nazywał się Mateusz Mańkowski? – zapytał Trygar.

– Nigdy się nie przedstawił, ale chyba tak się nazywał. Widziałam go może jeden raz od tamtego tragicznego dnia – wybełkotała.

– Czy ma pani coś wspólnego ze śmiercią Arkadiusza Malinowskiego? – zapytał Suski.

– Do dzisiaj pamiętam jego obleśny dotyk. Wepchnęłam tę gnidę pod metro – powiedziała ze stoickim spokojem, uśmiechając się, jakby była dumna ze swojego czynu.

– I nie widzi pani w tym nic złego? – wtrącił się Foltiński.

– A niby co? – obruszyła się. – Tacy jak on powinni ginąć, ten grubas z zębami jak nutria też powinien zdechnąć. Nie wiem dlaczego nie pozwoliliście wbić noża w jego parszywy łeb.

– A czy Eugeniusza Tadłę, Dominika Klezmerowicza i Konstantego Konopskiego też pani zabiła? – zapytał Suski, widząc, że kobieta nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, co jest dobre, a co złe, traktując morderstwo niczym poranne mycie zębów.

– Może, pośrednio – odpowiedziała.

Mężczyźni spojrzeli na siebie z niedowierzaniem.

– Czy może nam pani o tym opowiedzieć? – ciągnął Foltiński.

Aleksandra westchnęła, podskoczyła kilka razy na krześle, niczym dziecko czekające na ulubiony podwieczorek i spojrzała na mężczyzn lubieżnym wzrokiem. Widać było, że musiała być kiedyś piękną kobietą. Obecnie z chudej, bladej twarzy wyzierały tylko strach i cierpienie.

– Czy zeznania psychicznie chorej kobiety są przez sąd uznawane za dowód? – zapytała, mrugając oczami kokieteryjnie.

– Wszystko zależy, jak pani stan oceni psychiatra – odpowiedział Marian.

– To bardzo dobrze – odpowiedziała. – A czy jeśli chory zdaje sobie sprawę, że jest popierdolony – zawiesiła głos, aby zaakcentować wulgaryzm – to czy jest to okoliczność łagodząca?

– Proszę nam powiedzieć, jak przyczyniła się pani do śmierci tych mężczyzn? – zmienił temat Suski, próbując sprowadzić dyskusję na właściwe tory.

– Mój mózg od samego początku pragnął zemsty. Tylko ciało nie chciało słuchać. Pamiętam ten dzień jak dziś. To było siedemnastego lipca zeszłego roku, kiedy przypomniałam sobie, gdzie ukryłam film.

– Film? – zainteresował się Suski. – Co na nim było?

Usta kobiety przybrały wyraz lejka, jakby szykowały się do namiętnego pocałunku.

– Wszystko było. Najgorsza godzina mojego życia – tłumaczyła z przejęciem. – Ale teraz nie chcę o tym mówić, może potem – dodała.

– Jak udało się pani wysłać list do ojca? Czy to ten w szarej kopercie z napisem *otworzyć za sześć lat*? – zapytał Trygar.

– Tak, to ten – stwierdziła kobieta, unosząc brwi, jakby dziwiąc się, skąd policjanci znają podobne szczegóły. – Poprosiłam lekarza, czy mogłabym pojechać na grób mojej mamy. Zgodził się. Pod opieką pielęgniarza udaliśmy się do Sopotu do mojego starego mieszkania, które kiedyś wynajmowałam. Byli tam jacyś ludzie, na szczęście nie zmieniali płytek w łazience.

Kobieta nagle jakby się zacięła.

– Proszę mówić dalej – zachęcał Marian.

– Za jedną z płytek ukryłam swój telefon z filmem – ciągnęła. – Skopiowałam go tamtego dnia z aparatu, na którym oprawcy nakręcili swoje wyczyny.

– Co działo się potem?

– Nic. Szukaliśmy grobu Jadwigi Siuty, a potem wróciliśmy do zakładu w Gdańsku.

– Jak udało się pani wysłać kopertę z filmem do taty? – zapytał Foltyński.

– Czasami w ośrodku za zgodą pielęgniarza używałam komputera. To mnie odprężyło. Grałam w pasjansa, czytałam Internet, żeby wiedzieć, co się dzieje na świecie. To dzięki sieci zorganizowałam kuriera, który za sporą opłatą zabrał ode mnie pamięć z telefonu i przekazał anonimowo list do Niemiec do taty.

– Nie chciała pani, żeby ojciec wiedział, że pani żyje?

– Tato nigdy nie był całkiem normalny. Zresztą – zawiesiła głos – nienawidziłyśmy go. Bił nas – urwała, po czym na nowo jakby zapadła się w sobie. Po jej twarzy przeszedł grymas bólu połączony z euforycznym uniesieniem.

Minęła minuta, zanim kobieta doszła do siebie.

– To po nim odziedziczyłam geny – kontynuowała. – Prosiłam go w liście, żeby zemścił się za mnie, że to moja ostatnia prośba przed samobójczą śmiercią, że nie potrafię żyć z takim ciężarem i muszę się zabić. W pewnym sensie chciałam się w ten sposób na nim odegrać. Chciałam, żeby miał poczucie winy, że źle mnie wychował, że mnie skrzywdził.

– A te wszystkie ślady, które zostawiał pani ojciec. Te rytualne zabójstwa. Czytała pani o tym? – dopytywał Trygar.

– Śledziłam jego wyczyny w Internecie i bardzo mu kibicowałam. Choć sposób popełnienia tych morderstw to były jego pomysły – zawiesiła głos – zawsze fascynowała go śmierć i przemoc.

– A teraz, kiedy on zginął, chce pani dokończyć zemstę? – zapytał Fołtyński.

– Należy im się. To źli ludzie – mówiła bezzamiętnie.

– Opowie nam pani, co się tam wtedy wydarzyło, siedem lat temu? – zapytał prokurator, próbując wrócić do niewygodnego tematu. – A może to nazbyt bolesne wspomnienia?

Kobieta popatrzyła w sufit, próbując zapanować nad roztrzęsionym ciałem, potem skuliła się niczym zwiędły kwiat.

– W sumie, mogę opowiedzieć – wymamrotała.

Milczała przez kolejną minutę, jakby zastanawiała się nad doбором właściwych słów, wreszcie wolno, spokojnie rozpoczęła:

– Siedem lat temu w pensjonacie... nie pamiętam jego nazwy.

– „Lazurowe wybrzeże”?

– O tak, „Lazurowe wybrzeże” – patrzyła w powietrze, jakby próbowała myślami przenieść się siedem lat wstecz. – Koleżanki mówiły, że można tam znaleźć dobrą partię na męża. No i znalazłam sześciu kretyńców, którzy jak sobie popili...

Zagryzła wargi, i spoglądając to na swoje dłonie, to na Suskiego i Foltyńskiego, próbowała zebrać myśli.

– Brali mnie wszyscy, po kilka razy, wszystko dokładnie nagrywając na komórkę. Chcieli mieć trofeum, podobnie robili z innymi dziewczynami.

– To były też inne dziewczyny? – zapytał Suski ze zdziwieniem.

– Pewnie, że były, przynajmniej tak słyszałam, niektóre godziły się chętniej, inne mniej chętnie. Ja zaprotestowałam, dlatego wzięli mnie siłą. Potem jak już wszyscy się spili, wykradłam komórkę i skopiowałam nagranie, żeby mieć dowód. Aparat oddałam z powrotem, żeby niczego nie zauważyli.

– Zgłosiła się pani na posterunek, chcąc donieść o gwałcie. Dlaczego nie pokazała pani filmu policji? – dopytywał Suski.

– Nie wiem, byłam w szoku, po tamtym wydarzeniu coś we mnie pękło, zaczęłam mieć dziury w pamięci, nie mogłam sobie przypomnieć, co robiłam przez godzinę, czasem nawet cały dzień – przerwała, po czym nabrawszy kilka głębszych oddechów, kontynuowała wypowiedź. – Jak dowiedzieli się, że byłam na policji, grozili mi, kazali odwołać zeznania. Po tym wydarzeniu... nigdy już się nie otrząsnęłam. Coraz bardziej zapadałam się w sobie. Miałam świadomość, jednak ciało i umysł jakby straciły wolę do życia, rzeczywistość była zbyt okropna – dokończyła słowotok trzęsącym się głosem.

– Jeśli pani chce, możemy zrobić przerwę – zaproponowała Marzena.

– Przerwę? – zdziwiła się kobieta. – A na co?

– Żeby odpocząć – tłumaczyła policjantka.

– Koleżanki ze szkoły mówiły, że zawsze byłam dziwna – wtrąciła. Na jej twarzy pojawił się grymas, jakby kobieta toczyła wewnętrzną batalię z samą sobą.

– Dlaczego Mańkowski zmistyfikował pani śmierć, ukrywając wszystko przed pozostałymi oprawcami? – zapytał prokurator.

Kobieta spojrzała Marianowi w oczy, i uspokoiwszy się, kontynuowała opowieść.

– Na początku nie wiedziałam, że umieścił mnie w szpitalu za tę kobietę. Dowiedziałam się o tym dużo później, jak odwiedziła mnie siostra. Ten prawnik chciał mieć ją w ręku, żeby dla niego pracowała – wymamrotała.

– Kim jest pani siostra? – zdziwił się Foltiński.

– Pracowała dla tego prawnika. Odwiedziła mnie dwa razy w szpitalu, opowiadała o swojej pracy, że to zły człowiek, że niedługo mnie stąd zabierze. I choć nic nie mówiłam, na swój sposób rozumiałam.

– Czy Ala Kownacka była pani siostrą?

– Chyba takie przybrała nazwisko, żeby ukryć swoją przeszłość. Jak dowiedziałam się, że zginęła wraz z ojcem w hotelu „Polonia Palace”, coś we mnie drgnęło. To zemsta sprawiła, że obudziłam się na nowo. Postanowiłam uciec i dokończyć to, co zaczął tata.

– Czy Ala nienawidziła ojca?

– Uczynił jej wiele złego, zawsze mówiła, że go zabije, kiedy tylko nadarzy się ku temu odpowiednia okazja – wymamrotała kobieta.

– A czy gwałciciele wiedzieli, że pani wykradła ten film? Podejrzewali, że pani go miała? – dopytywał Suski.

– Nie wiem. Chyba nie wiedzieli. Co może chora kobieta zamknięta w zakładzie psychiatrycznym?

– Czy Ala Kownacka wiedziała, że Mańkowski panią zgwałcił? – zapytał Trygar.

– Oczywiście, że wiedziała, ale była pod jego wpływem. On ją chyba szantażował, że przestanie finansować mój pobyt w zakładzie albo nawet mnie zabije. Mieli ze sobą dziwne układy, musiała dla niego pracować.

– Chyba rozumie pani, że nie może zabić Cembrzyńskiego i Mańkowskiego – tłumaczył Marian.

– Muszę skończyć to, co zaczęłam! – kobieta wstała i rzuciła się z pazurami na Suskiego. Foltyński zdołał zareagować odpowiednio wcześniej. Przytulił kobietę do siebie, i trzymając rękoma niczym w stalowej klatce, czekał, aż ta się uspokoi.

– Czy ma pani jeszcze ten film? – szepnął jej do ucha.

Kobieta próbowała się wyrwać, wreszcie czując, że nie wygra, skinęła tylko głową.

– Jest na komputerze... w ośrodku w Gdańsku – wymamrotała, po czym dodała. – Proszę mi obiecać, że dokończycie za mnie zemstę.

– Dokończymy – powiedział Tymon, puszczając kobietę i pomagając jej usiąść na krześle.

Tymon Foltyński natychmiast opuścił pokój przesłuchań.

– W jaki sposób ten prawnik zamienił panią z Aleksandrą Siutą? – zmienił temat prokurator, chcąc zająć czymś Monikę Wrześniewską.

Kobieta siedziała z zaciśniętymi udami i rękami na kolanach, kołysząc się rytmicznie.

– Wziął jakąś samotną nieszczęśniczkę, która umarła dzień wcześniej w jakimś podrzędnym zakładzie zamkniętym w Sopocie. Wynajął zbirów, żeby wrzucili jej ciało pod pociąg – tłumaczyła. – Potem zapłacono jakiemuś staremu konowałowi, który chyba już nie żyje, żeby wystawił trefny akt zgonu. Ciało było zmasakrowane, więc nikt się nie czepiał. Podmienił mnie z Aleksandrą Siutą, tłumacząc, że znalazł się jakiś sponsor, który zapłaci za mój pobyt.

– Skąd pani to wszystko wie? – zapytał Marian.

– Od mojej siostry. Opowiedziała mi o tym. Ona wiedziała, że jeśli będę martwa dla świata, to dadzą mi spokój. Potrzebowałam czasu, żeby dojść do siebie.

Marian spojrział Trygarowi w oczy, po czym podziękował Monice Wrześniewskiej za zeznania.

– Proszę się nie martwić, zaopiekujemy się panią – powiedział, wychodząc z pomieszczenia. Spojrzał na Tymona Foltyńskiego, który dopiero co skończył telefoniczną rozmowę:

– I jak, mamy ten film? – Po czole prokuratora spłynęła kropla potu.

ROZDZIAŁ 56

Piotr Cynarski wprowadzał się właśnie do mieszkania we Wrocławiu, gdzie pod zmienionym nazwiskiem miał rozpocząć nowe życie. Uśmiechał się na samą myśl, że wieczorem wyruszy na miasto zapolować na nową zwierzynę. Województwo dolnośląskie jawiło się niczym cudowne eldorado dla odkrywcy badającego dziewicze tereny. Zdejmując buty, przypomniał sobie rozmowę, jaką zaledwie wczoraj przeprowadził z Adamem Zarębą w Warszawie.

– Nie pojedziesz ze mną? – zapytał Piotr. – Moglibyśmy podrywać dziewczyny i chodzić na imprezki. Jesteś już zawodowym PUA.

– Piotrek, czy ty się kiedyś zastanawiałeś nad konsekwencjami takiego stylu życia? – dopytywał Zaręba. – To jest krótkowzroczne patrzenie na przyszłość. Ja jestem inny, ja tak nie chcę. Zachłysnąłem się tym wszystkim, ale nie na tym polega życie.

– Adam, o co ci chodzi? – dopytywał zdziwiony Piotr. – Przecież nie ma niczego przyjemniejszego niż nowa panienka w łóżku.

– Takie postępowanie okalecza i ciebie, i te dziewczyny, z którymi się spotykasz. Jak twoje życie będzie wyglądało za dziesięć, dwadzieścia lat? Zastanawiałeś się kiedyś?

Piotrek tylko wrzucił ramionami.

– Wiem, wiem. Poszaleję jeszcze parę lat, wyszumię się i wtedy zacznę myśleć o stabilizacji – powiedział, jakby próbował usprawiedliwić samego siebie.

– Sam dobrze wiesz, że nic takiego nie będzie miało miejsca. Całe życie będziesz potrzebował bodźców, nowych dziewczyn, nowych emocji, wyzwania. Po roku z jedną dziewczyną poczujesz nudę. Proza życia zacznie cię zabijać, będziesz potrzebował zmiany. I co wtedy? Kolejna dziewczyna? A gdzie relacja, pogłębianie więzi, rodzina, zaufanie, stabilizacja i bezpieczeństwo?

– Adam, o co tobie chodzi? – zachnął się Cynarski. – Jesteśmy jeszcze za młodzi na rodzinę, relacje, więzi i takie tam pierdoły.

– Piotrek, nie życzę ci źle, ale spotkamy się za dziesięć lat i zobaczymy, kto będzie na jakim etapie życia. Spróbuj poznać tę jedyną kobietę i utrzymaj ją przy sobie do końca swoich dni. Wtedy będę mógł uściśnąć ci rękę. Nie ma niczego piękniejszego niż dwójka starszków, którzy po przeżyciu sześćdziesięciu lat razem, siedząc na ławce przed domem i trzymając się za rękę, patrzą w księżyc pełni miłości i szacunku dla siebie.

Piotrka zemdliło, nie był w stanie niczego powiedzieć, stał niczym wryty i patrzył na kolegę. Czy po to zainwestował w Zarębę tyle czasu i energii, żeby teraz słuchać o takich pierdołach, jak miłość i uczucie?

– Zainteresowanie i rozkochanie w sobie kobiety, jak sam wiesz, to żadna sztuka – ciągnął Adam. – Wystarczy znaleźć czuły punkt, sam mnie tego uczyłeś, na każdego znajdzie się metoda.

Zaręba zrobił pauzę, jakby wyczekując reakcji kolegi.

– Spróbuj sprostać zmienności kobiety, odkrywaj, doświadczaj, kombinuj – kontynuował. – Efekt pierwszeństwa zawsze działa, tak jesteśmy zbudowani. Nie można na nim tworzyć relacji i trwałości związku. Piotrek, ty nie patrzysz na emocje tych kobiet, tylko na swoją przyjemność. Ja tak nie chcę, szukam w życiu czegoś więcej.

– Co zamierzasz? – zapytał Piotrek.

– Wracam na podkarpacie, będę ciulał po swojemu, może otworzę jakąś firmę komputerową. Nie chcę pieniędzy, sławy ani prestiżu. Znajdę sobie jakąś cichą skromną myszkę, z którą się zestarzeję, znajdując szczęście w małych rzeczach, w poświęceniu dla rodziny i dzieci.

– Piotrek, ale to jest bez sensu. Wiesz, że jak już raz spróbujesz, jak rozsmakujesz się w rozkoszach i różnorodności życia, to nie da się z tej drogi zawrócić – podsumował Cynarski.

– Pozwól, że ja sam zadecyduję, jaką pójde drogą. To moje życie. Pokazałeś mi swój punkt widzenia i za to jestem ci wdzięczny. To była dla mnie życiowa lekcja, która pokazała mi, co jest najważniejsze. Bądź szczęśliwy... i odezwij się kiedyś.

Marian Suski nie posiadał się z radości. Cała Polska huczała, oglądając film, na którym szóstka znamienitych osobistości świata biznesu i polityki znęca się fizycznie i psychicznie nad Bogu ducha winną dziewczyną. Prokuratura zawniosowała o dwanaście lat pozbawienia wolności dla Ignacego Cembrzyńskiego i Mateusza Mańkowskiego, stawiając im zarzuty gwałtu ze szczególnym okrucieństwem. Jednak sprawa „listy sześciu” posiadała jeszcze jeden, znacznie głębszy i bardziej istotny aspekt. Uwidoczniła całemu społeczeństwu, że elitami politycznymi rządzi korupcja, zepsucie i prymitywne instynkty, które dzięki pieniądзом łatwo znajdują ujście.

– Co z Moniką Wrześniewską? – dopytywał Trygar, stojąc z Suskim i Foltynskim na korytarzu prokuratury Praga Południe.

– A co ma być? Umieściliśmy ją w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym. Jest pod naszą kuratelą i powoli dochodzi do siebie. Może przyjdzie taki moment, że wróci do społeczeństwa – stwierdził Suski.

– Ma dostęp do komputera? – uśmiechnął się Tymon.

– Przynajmniej będziemy wiedzieć, od kogo zacząć, jeśli znajdziemy w Warszawie trupa ze znakiem szatana wymalowanym na czole – dodał Trygar, uśmiechając się.

– A co z Mańkowskim? – zapytał Foltynski.

– Był doskonałym psychologiem, potrafił na każdego znaleźć haka. To dlatego ludzie byli mu posłuszni. Szantażem można wiele zdziałać, każdego zdyskredytować. To znacznie lepsza metoda niż pieniądze i znajomości

– Ile lat dostanie? – zapytał Trygar.

– Już moja w tym głowa, żeby posiedział w więzieniu do końca swych dni – powiedział prokurator z przejęciem w głosie. – Ignacy Cembrzyński, próbując się wybielać, oczernia Mańkowskiego, a ja nie przepuszczę takiej okazji. Cała piątka pewnie od samego początku podejrzewała Mańka o wszystkie morderstwa. A teraz kiedy został tylko Cembrzyński, trzeba ten konflikt wykorzystać. Przeświecić wszystkie machloje tych panów. Film ukazujący gwałt Wrześniewskiej był tylko kluczem, dzięki któremu udało się otworzyć puszkę Pandory.

– Mańkowski nie podejrzewał, że wojując mieczem, można się niechcący na niego nadziać – podsumował Foltyński.

Suski patrzył w dal, zastanawiając się nad jeszcze jednym tematem.

– Nadal nie wiemy, kto zabił Wojciecha Kratę – wymamrotał Suski.

– Może to jednak był Andrzej Wrześniewski? – zapytał Trygar.

– Co dziś robisz? – spytał Suski, zmieniając temat.

– Idziemy z synem do kina – odpowiedział Rafał od niechcenia.

– Pogodziliście się? – zapytał zdziwiony Marian.

Komisarz uśmiechnął się głupkowato. Dopiero teraz Suski zauważył, że Trygar nie śmierdzi skapcianałym starcem na kacu, tylko roznosi wokół siebie woń perfum.

– Co ci się stało? – zapytał.

– Marzena zapisała mnie na portal randkowy – wyznał komisarz.

– Na co? – zdziwił się Suski.

– Na portal randkowy. Mam jutro randkę w ciemno. Marzena powiedziała, że zrobi ze mnie takie ciacho, że żaden lachon się nie oprze.

Tymon nie wiedział, co odpowiedzieć. Pół roku męczył się, aby zaktywizować Trygara, a tymczasem Gibała z dnia na dzień zrobiła milowy krok w rozwoju komisarza.

– No wiesz. W twoim wieku? – roześmiał się prokurator, klepiąc Rafała po ramieniu.

– W najgorszym razie, jak niczego nie wyrwę, poproszę Marzenę o prywatne korepetycje – uśmiechnął się Trygar.

Koniec

O AUTORZE

Pisanie traktuje jak przygodę życia. Inspiracje czerpie z dalekich podróży i nocnych rozmów z ciekawymi ludźmi, którzy mają ambicję robić w życiu coś więcej, niż pić piwo i oglądać telewizor. Uważa, że wiedza zgromadzona w książkach, to najcenniejszy skarb ludzkości.

Nie zamyka się w jednym nurcie literackim, eksperymentując z horrorem, science-fiction, kryminałem a nawet literaturą obyczajową, thrillerem czy sensacją. Mieszka w malowniczym Rzeszowie. Wraz z innymi pasjonatami tańczy Tango Argentyńskie, Bachatę i Kizombę, chłonec optymizm i energię Latynosów. Jednak największą życiową pasją autora jest realizowanie się w roli ojca, męża i syna. Pracuje w dużej podkarpackiej korporacji działającej w branży IT. Przez kilka lat udzielał się również jako recenzent portalu ArenaHorror.

Chciałby tworzyć coraz lepszą prozę, która dostarczyłaby czytelnikowi nieco wytchnienia i zapomnienia w zabieganym, współczesnym świecie. Nie ukrywa, że ma również aspirację, aby w swoich tekstach stawiać trudne pytania, oraz przemycać uniwersalne zasady, którymi stara się kierować w życiu.

Zadebiutował dwoma opowiadaniem *Rąbanko* i *Pojedynek na szosie* w antologii *Przedświt* wydanej przez Portal Literacki w 2010 roku. Laureat licznych nagród i wyróżnień w konkursach literackich m.in. Poznań Fantastyczny, Literacki Debiut Roku, Międzynarodowy Festiwal Kryminału czy Międzynarodowy Festiwal Opowiadania.

SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[O autorze](#)

[Polecamy również](#)

[Karta redakcyjna](#)

POLECAMY RÓWNIEŻ

NOWE POLSKIE KRYMINAŁY

Kryminały Warszawskie

Wojciech Kulawski

- Lista sześciu. Tom 1.
- Między udręką miłości a rozkoszą nienawiści. Tom 2.
- Zamknięci. Tom 3
- Poza granicą szaleństwa. Tom 4

Komisarz Ireneusz Waróg

Stefan Górawski

- Sekret włoskiego orzecha. Tom 1
- W cieniu włoskiego orzecha. Tom 2

Kapitan Jan Jedyna

Igor Frender

- Człowiek Jatka - Mroczna twarz dwulicowa. Tom 1
- Mordercza proteza. Tom 2

Tim Mayer

Wojciech Kulawski

- Syryjska legenda. Tom 1
- Meksykańska hekatomba. Tom 2

KLASYKI POLSKIE KRYMINAŁY

Kryminały przedwojennej Warszawy

- *Marek Romański*, Mord na Placu Trzech Krzyży. Tom 1
- *Stanisław Antoni Wotowski*, Demon wyścigów. Powieść sensacyjna z za kulis życia Warszawy. Tom 2
- *Stanisław Antoni Wotowski*, Tajemniczy wróg przy Alejach Ujazdowskich. Tom 3
- *Stanisław Antoni Wotowski*, Upiorny dom w Pobereżu. Tom 4
- *Marek Romański*, W walce z Arsène Lupin. Tom 5
- *Marek Romański*, Mister X. Tom 6
- *Marek Romański*, Miss o szkarłatnym spojrzeniu. Tom 7
- *Marek Romański*, Szpieg z Falklandów. Tom 8
- *Marek Romański*, Tajemnica kanału La Manche. Tom 9
- *Marek Romański*, Pająk. Tom 10
- *Marek Romański*, Znak zapytania. Tom 11
- *Marek Romański*, Prokurator Garda. Tom 12
- *Marek Romański*, Złote sidła, pierwsza część. Tom 13
- *Marek Romański*, Defraudant, druga część. Tom 13
- *Marek Romański*, Małżeństwo Neili Forster. Tom 14
- *Marek Romański*, Serca szpiegów, pierwsza część. Tom 15
- *Marek Romański*, Salwa o świcie, druga część. Tom 15
- *Marek Romański*, Życie i śmierć Axela Branda. Tom 16
- *Kazimierz Laskowski*, Agent policyjny. Papiery po Hektorze Blau. Tom 17
- *Walery Przyborowski*, Czerwona skrzynia. Tom 18
- *Walery Przyborowski*, Widmo na kanonii (pierwsza i druga część). Tom 19
- *Antoni Hram*, Upiór podziemi. Tom 20

Inspektor Bernard Żbik

Adam Nasielski

- Alibi. Tom 1
- Opera śmierci. Tom 2
- Człowiek z Kimberley. Tom 3
- Dom tajemnic w Wilanowie. Tom 4
- Grobowiec Ozyrysa. Tom 5

- Skok w otchłań. Tom 6
- Puama E. Tom 7
- As Pik. Tom 8
- Koralewy sztylet i inne opowiadania. Tom 9

Najciekawsze kryminały PRL

- *Tadeusz Starostecki*, Plan Wilka. Tom 1
- *Zuzanna Śliwa*, Bardzo niecierpliwy morderca. Tom 2
- *Janusz Faber*, Ślady prowadzą w noc. Tom 3
- *Kazimierz Kłóś*, Listy przyniosły śmierć. Tom 4
- *Janusz Roy*, Czarny koń zabija nocą. Tom 5
- *Zuzanna Śliwa*, Teodozja i cień zabójcy. Tom 6
- *Jerzy Żukowski*, Martwy punkt. Tom 7
- *Jerzy Marian Mech*, Szyfr zbrodni. Tom 8
- *G.R Tarnawa*, Zakręt samobójców. Tom 9
- *I. Cuculescu (pseud.)/Iwona Szynik*, Trucizna działa. Tom 10

Klasyka angielskiego kryminału

Edgar Wallace

- Tajemnica szpilki. Tom 1
- Czerwony Krąg. Tom 2
- Bractwo Wielkiej Żaby. Tom 3
- Szajka Zgrozy. Tom 4
- Kwadratowy szmaragd. Tom 5
- Numer Szósty. Tom 6
- Spłacony dług. Tom 7
- Łowca głów. Tom 8

Detektyw Asbjørn Krag

Sven Elvestad

- Człowiek z niebieskim szalem. Tom 1
- Czarna Gwiazda. Tom 2
- Tajemnica torpedy. Tom 3

- Pokój zmarłego. Tom 4

LIND&CO

www.lindco.se

e-mail: info@lindco.se

lindcopl (facebook & instagram)

Tytuł oryginału:

Wojciech Kulawski

Lista szczęściu

Seria: Kryminały warszawskie, tom 1

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Lind&Co.

Wydanie I, 2017

Współpraca: Wydawnictwo CM, Warszawa

Projekt okładki: Studio Karandasz

Zdjęcia na okładce: trgowanlock / Adobe Stock, TastyCinnamonn, GeorgyGirl
/ Pixabay.com

Copyright © dla tej edycji: Wydawnictwo Lind & Co, Stockholm, 2021

ISBN 978-91-8019-000-8

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)